

WYDANIE SPECJALNE – NA MAJÓWKĘ

Czy polscy politycy zamierzają
walczyć na wojnie, jeśli wybuchnie?



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 17-18/575-576 22 KWIETNIA-5 MAJA 2024

CENA 11,90 zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY



Co PiS zrobił w sprawie
wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej

PIOTR SEMKA

ŻEGNA

**PROF. JADWIGĘ
STANISZKIS**



Propaganda kontra prawda
– jak Ukraińcy upiększają
swoją historię

TECZOWY ZAMORDYSTA

**Adam Bodnar
chce karać
za wolność słowa**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY”: „PRAWNA OBRONA PRZED POŁONOFOBIA” + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

249,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 462 zł

~~711 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl f9ee7e6f8a

Tęczowa bolszewia w natarciu



PAWEŁ LISICKI

W cieniu wyborów samorządowych gabinet Donalda Tuska przygotował ustawę, którą śmiało można nazwać zamachem nie tylko na praworządność i na demokrację, wiem, wiem, wyświechtane, zużyte słowa, lecz także w ogóle na same podstawy ładu cywilizacyjnego w Polsce. Tak, co się tyczy radykalizmu i szkodliwości, wypichcona przez Adama Bodnara nowelizacja Kodeksu karnego nie ma sobie równych. Jest gorsza od wszystkich innych przejawów naruszania, naginania czy po prostu łamania reguł prawa. Jest bardziej szkodliwa niż pospieszne przejmowanie mediów publicznych, niż bezprawne więzienie dwóch posłów – Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika – a nawet niż najście na dom Zbigniewa Ziobry, byłego ministra sprawiedliwości.

Tak, powtórzę to raz jeszcze: zmiany, które szykuje pan Bodnar, są gorsze, bo uderzają w sam rdzeń polskiej kultury i tradycji. Są gorsze, bo jeśli zostaną wprowadzone w życie, czemu trzeba się ze wszystkich sił przeciwstawić, to uczynią z Polski tęczową dyktaturę, wprowadzą powszechną cenzurę i oddadzą organizacjom LGBT (QIA++) władzę iście inkwizytor-ską. Dlatego odrzucenie tych przepisów i pogonienie z Ministerstwa Sprawiedliwości nowej bolszewii powinno być ważnym, może wręcz kluczowym przesłaniem w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Projekt pojawił się na stronach internetowych Rządowego Centrum Legislacji 27 marca. Zakłada on wprowadzenie kary trzech lat pozbawienia wolności za „nawoływanie do nienawiści” ze względu na „orientację seksualną lub tożsamość płciową”. Taką samą karę może otrzymać osoba, która „znieważa grupę ludności albo po-

szczególną osobę z powodu jej [...] orientacji seksualnej lub tożsamości płciowej”. Co znaczy „nawoływanie do nienawiści”? Co znaczy „znieważa”? W języku tęczowych bolszewików to po prostu stwierdzanie faktów. Moralna ocena perswencji stanie się zakazana. Krytyka gender i LGBT będzie karana.

Wszystko ukryte jest za parawanem pozorowanej troski i szacunku dla drugich. Tyle że w języku radykałów nawoływać do nienawiści to to samo, co „utrwaląc negatywne emocje”. Kiedyś bolszewicy twierdzili, że własność jest grabieżą, a sprawiedliwość polega na tym, żeby „grać zagrabię”. Dzisiaj ich potomkowie twierdzą, że tożsamość płciowa jest grabieżą (czymś narzuconym) i sprawiedliwość polega na tym, żeby to poczucie własnej tożsamości zniszczyć i w ten sposób się wyzwolić.

Kiedy zatem ktoś powie, że istnieją tylko dwie płci biologiczne, to utrwała negatywne emocje wobec tych, którzy twierdzą, że jest tych płci bez liku. Za kratki go. Kiedy matka lub ojciec mówią do swego dziecka, że homoseksualizm jest niemoralny, to utrwalają w nim negatywne emocje i nakłaniają do nienawiści. Odebrać im dzieci. Radykałowie nawet nie ukrywają swoich planów. – Każdy, kto powie jak prezydent Duda, że LGBT to nie ludzie, a ideologia, będzie musiał odpowiedzieć – grzmiała w Sejmie Anna Maria Żukowska z Lewicy. Podobne groźby można usłyszeć coraz częściej z ust lewackich polityków. Nawet nie ukrywają, co chcą zrobić.

Tak, wsadzimy was do więzienia – mówią – jeśli będziecie mówić, że nie da się zmienić płci, bo jest ona zapisana w genach i dana przy urodzeniu; będziemy odbierać wam dzieci, jeśli nie będziecie chcieli się godzić na ich okaleczanie, nazywając w ten sposób obcinanie piersi

i genitaliów. Wraz z wejściem w życie nowych przepisów prokurator z urzędu będzie miał obowiązek ścigać wszystko to, co Polacy uważają za normę.

Nie przesadzam, wystarczy zobaczyć, jak przeraźliwe spustoszenie wywołują takie same przepisy – pan Bodnar i jego ekipa występują tu jedynie w roli pasa transmisyjnego, który przekazuje zdobycze neomarksizmu masom – w innych państwach Zachodu, ze szczególnym uwzględnieniem USA. Wszędzie wygląda to dokładnie tak samo. Jest to jeden i ten sam szatański mechanizm, którego celem podstawowym i najważniejszym jest zniszczenie normy jako takiej. U źródeł tych przepisów tkwi ta sama, jedna, neomarsistowska ideologia, zgodnie z którą to, kim się jest – mężczyzną czy kobietą, ojcem lub matką – jest zawsze i jedynie efektem społecznych, kulturowych konstrukcji, te zaś uformowane zostały przez walkę klas i sił politycznych. Przez patriarchat, przez mężczyzn, przez ludzi heteronormatywnych, przez tych, którzy dali sobie wmówić, że istnieje norma, że istnieje podział na płci, że istnieje biologiczna natura.

Z tego punktu widzenia zachodnia walka z normą (nazywaną przez radykałów binarnością, heteronormatywnością, transfobią, homofobią itd., itp.) jest czymś dalej idącym i bardziej niszczącym dla godności człowieka niż wyczyny komunistycznych poprzedników.

Od tej pory każda rodzina może się znaleźć na celowniku służb i prokuratury. Tak, wiem, prokuratura nie będzie się kwapić do działania. Ale tym większa będzie rola aktywistów i aktywistki. Będą donosić, skarżyć i nakłaniać do działania początkowo niechętne organy ścigania. Wszędzie będą tropić normalność. ©o



TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
MECHANIZM BODNARA
Czy będziemy bać się mówić?

17 WOJCIECH GOŁONKA
DOGONIĆ ZACHODNIĄ HOMOCENZURĘ

20 TERESA STYLIŃSKA
JAK ZAGŁODZIĆ POTWORA

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NARUTOWICZEM W POLSKĘ
Zmiana w Instytucie Dziedzictwa
Myśli Narodowej

25 PIOTR SEMKA
KRÓLOWA JADWIGA
– WSPOMNIENIE JADWIGI STANISZKIS

28 JAN FIEDORCZUK
O SIEM LAT WODZENIA ZA NOS

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
KONSEKWENCJE STRACHU PRZED WOJNĄ

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
DZIEWCZYNI Z DROGERII

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
DWA KOŃCE ŚWIATA
Upadek USA na małym i dużym ekranie

36 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
KAC W POLSKIM INSTYTUCIE
SZTUKI FILMOWEJ

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ROZMOWA Z JERZYM KWAŚNIEWSKIM
CHAOS DOTKNIĘ
KAŻDEGO OBYWATELA
Ład prawny został brutalnie naruszony

47 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
„PORUCZNIK” MORAWIECKI
I „KAPITAN” TUSK?

50 BOGUSŁAW ROGALSKI
TRAKTAT ZŁAMANYCH ZOBOWIĄZAŃ

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
REWOLUCJA FEMINISTYCZNA W KOŚCIELE

RELIGIA

56 ROZMOWA
Z KS. PROF. WALDEMAREM CHROSTOWSKIM
ROZMOWY O ŚMIERCI MESJASZA
W CENIU GOLGOTY
Fragment nowej książki o historii i teologii

HISTORIA

62 GRZEGORZ MAJCHRZAK
SOLIDARNOŚCIOWE
PRAWYBORY 1989 R.
Opozycja nie w pełni demokratyczna

66 ROZMOWA
Z PROF. DR. HAB. WOJCIECHEM POLAKIEM
POLSKA POTĘGA WOLNOŚCI

70 ROZMOWA
Z MARIUSZEM SAMPEM
CARSKE POŻEGNANIA (ZE ŚWIATEM)

ŚWIAT

72 MACIEJ PIECZYŃSKI
KIJÓW NA FRONCIE
PROPAGANDY HISTORYCZNEJ
Przeszłość oczami Ukraińców

76 JAN BOGATKO
NIEMIECKI PACJENT

80 ROZMOWA
Z SIDDHARTHEM KARĄ
KOBALTOWE ŁZY

EKONOMIA

84 TOMASZ CUKIERNIK
BILANS 20 LAT W UNII
Polska traci gospodarczo i politycznie

87 JACEK PRZYBYLSKI
WOJNA W PORTFELU

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
UBIERAĆ SIĘ NA SWÓJ WIEK
– CO TO ZNACZY?
Garderoba stosowna do wieku

FELIETONY: SEMKA (5), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (69), PRZYBYLSKI (75), GABRYEL, WARZECHA (83), KOMUDA (92), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czystka po katolicku

Neunkirchen to niewielka miejscowość w niemieckim Kraju Saary. Półtora miesiąca temu tamtejsza katolicka parafia St. Marien poinformowała, że dotychczasowy członek zarządu parafii Christoph Schaufert, poseł prawicowej partii Alternative für Deutschland do nadreńskiego parlamentu krajowego, został wykluczony z jej składu. Zarząd i rada parafialna parafii St. Marien zwróciły się do ks. Ulricha von Plettenberga, wikariusza generalnego diecezji w Trewirze, o akceptację wykluczenia Schauferta.

Generalny wikariusz Ulrich von Plettenberg zatwierdził decyzję rady parafialnej. Oświadczył, że diecezja także uważa członkostwo w radzie za niedające się pogodzić z zaangażowaniem Schauferta w AfD. Zostanie on odwołany ze stanowiska członka zarządu parafii ze skutkiem natychmiastowym i nie będzie mógł już sprawować takiego urzędu aż do odwołania. Jak wyjaśnił von Plettenberg – na jego decyzję wpływ miała przede wszyst-

kim deklaracja niemieckich biskupów „Etniczny nacjonalizm i chrześcijaństwo są nie do pogodzenia” z lutego 2024 r. „Skrainie prawicowe partie nie mogą być dla nas, chrześcijan, miejscem działalności politycznej” – wyjaśnił von Plettenberg.

Pięćdziesięcioletni Schaufert jest członkiem AfD od 2016 r. Wcześniej przez 20 lat należał do CDU, a następnie przez 10 lat był bezpartyjny. Pytany przez media o swe plany Schaufert odpowiada, że nie zrezygnuje z funkcji w AfD i nie ma ochoty dystansować się od różnych stanowisk polityków swej partii. „Nie znalaziono niczego, co można by mi zarzucić osobiście. Zawsze ściśle oddzielałem swoje urzędy i nigdy nie wykorzystywałem urzędu kościelnego jako sceny politycznej. Jestem dyskredytowany nie jako Christoph Schaufert, ale wyłącznie jako członek AfD” – mówi.

Casus Schauferta rozgrzał dyskusję w Internecie. Zwolennicy AfD wskazują, że po wojnie żadna inna partia obecna w Bundestagu, nie była w ten sposób traktowana.

Członkowie SPD czy Zielonych nigdy nie byli usuwani z rad parafialnych, nawet jeśli ich partie forsowały aborcję na życzenie czy głosowały za legalizacją małżeństw osób tej samej płci.

Kościół katolicki w roli stróża politycznej poprawności? Czystka w radzie parafialnej w Neunkirchen to pierwszy taki przypadek i dlatego pewnie o nim głośno. Nikt jeszcze nie usuwał nikogo z wybieralnych rad kościelnych jedynie z racji legitymacji partyjnej. AfD jest partią, z którą wiążą się kontrowersje, ale jest demokratyczna, odrzuca przemoc i w kwestii programu na pewno jest bliższa zasadom katechizmu niż partie niemieckiej lewicy.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć, że usuwanie członków AfD z rad parafialnych pchnie je bardziej na lewo. Zwolennicy radykalnej „drogi synodalnej” z chęcią użyją metody czystek do usuwania z rad konserwatystów. Kościół w RFN przeżywa swoją własną wersję postępowej rewolucji kulturalnej. ©©



FOT. MICHAEL M. SANTINO/GETTY IMAGES

DUDA SPOTKAŁ SIĘ Z TRUMPEM

Prezydent Andrzej Duda podczas wizyty w USA spotkał się w Nowym Jorku z byłym amerykańskim przywódcą i czołowym kandydatem Partii Republikańskiej w listopadowych wyborach prezydenckich. Przed dwuipółgodzinną rozmową Donald Trump krótko przedstawił Dudę dziennikarzom. – On wykonuje fantastyczną robotę, jest moim przyjacielem – mówił Trump, wspominając „cztery wspaniałe lata” współpracy. – Jesteśmy cały czas za Polską – dodał. (jap)

CZYTAJ TEŻ NA S. 75

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Polska obrona silna jak nigdy”, „DRz” nr 16/2024 – odpowiedź do polemiki

Komentarz Panów Tomasza Cukiernika i Jacka Hogi zmusza mnie do udzielenia kolejnej odpowiedzi na zawarte tam w zdecydowanej większości nieprawdziwe tezy. Argument o „rozbrojeniu Wojska Polskiego” w związku z przekazywaniem sprzętu na Ukrainę jest czysto demagogiczny i po prostu nieprawdziwy. Po pierwsze, należy pamiętać, że Ukraina walczy nie tylko o swoją niepodległość, lecz także o zatrzymanie dalszego marszu Putina na zachód Europy. Zwykła geografia pozwala stwierdzić, że następnym celem – po ewentualnym pokonaniu Ukrainy – byłaby Polska. Pomoc militarna naszym wschodnim sąsiadom skutecznie zatrzymała marsz Rosji i dała nam czas na to, aby dokonać skoku generacyjnego w Siłach Zbrojnych RP, który dzięki działaniom rządu Prawa i Sprawiedliwości się udał. Należy podkreślić, że Ukrainie przekazywaliśmy praktycznie tylko postsowiecki sprzęt, który i tak musiał być w krótkim czasie wycofany ze stanu Sił Zbrojnych RP, choćby ze względu na brak części zamiennych, które produkowane są w Rosji. W krótkim czasie, dzięki moim wysiłkom, zastąpiliśmy go nowocześniejszym uzbrojeniem – m.in. koreańskimi armatohaubicami K9 i czołgami K2, amerykańskimi czołgami Abrams, polskimi armatohaubicami Krab, samolotami FA/50, wyrzutnia-

mi dalekiego zasięgu HIMARS i Chunmoo i wielowarstwowym systemem obrony przeciwlotniczej zbudowanym w oparciu o polskie, amerykańskie i brytyjskie komponenty. Znacznie zwiększyliśmy także zdolności do rozpoznania, pozyskując dwa samoloty wczesnego wykrywania i ostrzegania Saab 340 AEW oraz aerostaty. Warto również zwrócić uwagę, że w latach 2015–2023 podwoiliśmy liczbę żołnierzy. W 2015 r., gdy Prawo i Sprawiedliwość obejmowało władzę, było ich zaledwie ok. 95 tys. W 2023 r. – prawie 200 tys.

ciężarówkach, armatohaubic K9 będą polonizowane, a samoloty FA/50 serwisowane w naszych zakładach.

Nie zgadzam się również z zarzutem zaniedbania rozwoju Marynarki Wojennej RP. To za czasów rządów Prawa i Sprawiedliwości rozpoczęliśmy budowę w polskich stocznich trzech fregat *Miecznik*, które będą m.in. dbały o bezpieczeństwo szlaków wodnych. Do *Miecznika* trzeba dodać zakupione okręty rozpoznawcze *Delfin*, rozpoczęcie postępowania na okręty podwodne *Orka* oraz

odnosić się właśnie do faktów, a nie do opinii i wyobrażeń o rzeczywistości.

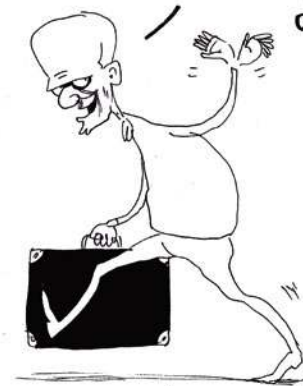
Mariusz Błaszczak,
poseł na Sejm RP,
były minister obrony narodowej

Od autorów

Tak długa polemika jest dosyć nietypową sytuacją, ale z chęcią odpowiemy na wątpliwości. Jak można na wskazanie rozbrojenia Wojska Polskiego odpowiedzieć, że to nieprawda, bo było warto? Jeśli wysyłaliśmy sprzęt zabrany z jednostek, to się rozbieraliśmy. Kropka. Do dziś są bataliony pancerne bez czołgów, w wyniku tej decyzji! Można zaklinać rzeczywistość, twierdząc, że sprzęt był na końcu swojego okresu użytkowania. Jednak był w jednostkach, a na Ukrainie jako służy. Dziś go nie mamy. Twierdzenie, że „zastąpiliśmy” stary sprzęt nowym, wskazuje na problem z rozpoznawaniem rzeczywistości. „Mam” a „mam mieć” jest różnicą ogromną zwłaszcza w czasie kryzysu. Kiedy (jeżeli w ogóle) będą skutki tego „skoku generacyjnego”? W 2028 r.? W 2035 r.? Nawet samoloty FA-50 (nie FA/50), choć są, to nie latają, bo nie ma jeszcze gotowości (certyfikaty etc.). Jak można twierdzić, że „mamy wielowarstwowo system obrony przeciwlotniczej”? Gdzie? W takiej ilości na de-fladę ledwie starczy. Co do planu/programu odsyłamy na stronę MON: „Program [...] jest to dokument niejawnym...”. Pan minister nie rozumie lub jawnie manipuluje liczbą żołnierzy. Jak ich liczyć? Czasu pokoju? Czasu wojny? Zawodowi? Na czas „W” liczba jest podobna, ale rezerwistów mniej (a więc mniejsze zdolności do długiego oporu).

Tomasz Cukiernik, Jacek Hoga

Wyboch wojny zastęczył nas wszystkich,
ale nie martwcie się, jestem już w drodze do Berlina!



Nietrafione są argumenty o uzależnieniu się od zachodniego sprzętu. Zawsze tam, gdzie to było możliwe, korzystaliśmy z zasobów i mocy produkcyjnych polskiej zbrojeniówki. Sprzęt, którego nasz przemysł nie jest w stanie wyprodukować – samoloty czy artyleria raketowa dalekiego zasięgu – pozyskiwaliśmy z zagranicy. Ale zawsze uwzględnialiśmy w tych kontraktach interes polskich przedsiębiorstw, bo przecież czołgi K2 będą docelowo produkowane w Polsce, wyrzutnie Chunmoo są osadzone na polskich

podpisanie umowy na kolejne wyrzutnie do Morskich Jednostek Rakietowych.

W polemice wskazano, że pomyliłem się, przytaczając nazwę dokumentu określającego zadania realizowane przez przedsiębiorców na rzecz Sił Zbrojnych RP. Otóż nie pomyliłem się. Wobec tego apeluję do autorów, żeby zanim ponownie zarzucą mi mijanie się z prawdą, najpierw zapoznali się z faktami, w tym przypadkiem z przepisami Ustawy o obronie Ojczyzny. Ważne jest bowiem, aby w kwestiach obronności

Podwyżki cen prądu? Murem za „ministerkę”!

Posiadam dom jednorodzinny. Węglowego „kopciucha” zamieniłem na przyjazne dla środowiska ogrzewanie elektryczne. Ostatni mój rachunek za prąd (za dwa miesiące) to 6282,57 zł (oszczędna taryfa G12).

Obawiałem się podwyżek, ale pani ministerka klimatu i środowiska Hennig-Kloska zapewniła, że podwyżki wyniosą „kilkanaście, może 30 zł miesięcznie”, czyli

w moim przypadku 0,95 proc. To świetnie, trzymam za słowo i popieram panią ministerkę i cały nasz uśmiechnięty rząd.

dr inż. Georg Nowak-Krogh

Sprostowanie

Na okładce papierowej wersji poprzedniego wydania „Do Rzeczy” (nr 16/2024) błędnie napisaliśmy imię premier Włoch Giorgii Meloni. Za błąd przepraszamy.

Redakcja

NEKROLOG

Z wielkim bólem żegnamy



Jadwigę Staniszkis

wybitną socjolog, profesor nauk humanistycznych

Wszystkim Jej bliskim składamy
wyrazy głębokiego współczucia

zespół tygodnika „Do Rzeczy”



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czałajski, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniejczyk,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Anna Skalska**, **Anna Szczepańska**, **Marcin Bugaj**,
Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **David Sienkowski**, **Łukasz**
Żygadlo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziello** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**

Okładka: **Jacek Dominiński/REPORTER**, oprac. graf. **SUNDAY**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kłoc**

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmppg.pl, +48 500 112 424

Pani Poseł

Elżbiecie Witek

Marszałek Sejmu VIII i IX kadencji
Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



Męża

składa

Szymon Hołownia
Marszałek Sejmu

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmppg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o.

(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumeratawarszawa@kolporter.com

pl, www.kolporter.com.pl

Gammond: tel.: +48 (12) 422 14 85,

e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy



Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Głupia radość

Niejaki Emir Kir, członek belgijskiej partii socjalistycznej, burmistrz jednej z dzielnic Brukseli, wywołał międzynarodowy skandal, nasyłając policję na uczestników Konferencji Narodowego Konserwatyzmu i siłą usuwając ich z wynajętego centrum kongresowego. Pretekstem było rzekome „zagrożenie bezpieczeństwa publicznego”, ale wszyscy doskonale wiedzieli, że chodziło o uniemożliwienie spotkania i dyskusji politycznym przeciwnikom. Zachowanie typowe dla lewactwa, a zarazem bardzo w duchu demokracji, ku której dążą już zupełnie otwarcie europejskie elity, promując coraz bardziej zamordystyczne projekty uderzające w wolność słowa, prawa polityczne i inne podstawy

demokratycznego ładu – i uzasadniające to bezwstydnie koniecznością „ratowania demokracji” przed nią samą, tzn. zagwarantowania im, jako „demokratom”, że zachowają władzę mimo spodziewanej przegranej w wyborach.

Zachowanie burmistrza Kira natychmiast zdecydowanie i publicznie potępił premier Belgii, liberał Alexander De Croo, wyrażając ubolewanie, że nadmierna jego zdaniem autonomia władz gminnych w jego kraju umożliwiła nieodpowiedzialnemu politykowi atak na fundamentalną wartość, którą jest wolność zgromadzeń. Jego zdanie podzielił też belgijski sąd, uznając decyzję burmistrza za nielegalną. Natomiast wiernych kibiców znalazł belgijski totalniak w Polsce. Między innymi

w osobie byłego pisowca, obecnie przewerbowanego na tuskizm Pawła Kowala. Konferencję, w której uczestniczyli politycy tej rangi, co gubernator Florydy Ron DeSantis, premier Włoch Giorgia Meloni czy były premier Mateusz Morawiecki, pozwolił sobie nasz przewerbowany nazwać „putinternem” (!) i z racji jej uniemożliwienia (w istocie to się nie udało, obrady wkrótce wznowiono) wyraził wielkie ukontentowanie. Ot, taka, jak to nazywam, radość impotentnego kibicującego gwałcielowi, by choć w ten symboliczny sposób mieć udział w ich czynnie.

Pawle – pamiętaj, że karma wraca. Pamiętaj o tym, zwłaszcza gdy ciebie samego z innymi peowcami będą wyprowadzać za kołnierz, na co usilnie pracujesz. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Wentyl można zatkać

W demokracji konstytucyjnej partii przeciwne rządowi w parlamencie nie tylko prowadzą kampanię, lecz także uprawiają po prostu opozycję. Bronią dobra wspólnego, odwołując się do wsparcia opinii publicznej, a gdy trzeba – do Konstytucji. To drugie dotyczy sytuacji, gdy wartości i normy konstytucyjne zostały naruszone, ale przecież gdy władzę przejmują ugrupowania wywrotowe – zasady konstytucyjne naruszane są ciągle.

Formalne odwołanie się do Konstytucji to dla opozycji procedura dosyć prosta. Wystarczą konstytucyjne argumenty i poparcie 50 posłów. A skoro Prawo i Sprawiedliwość tak ciężko o Trybunał

walczyło, to chyba przyszedł czas, żeby teraz się do niego zwracać. Tak by się wydawało, a jednak...

Gdy premier Tusk wycofał z Trybunału wniosek premiera Morawieckiego o zweryfikowanie zgodności z Konstytucją genderowej konwencji stambulskiej, PiS w żaden sposób nie wystąpił w obronie (formalnie biorąc) własnego stanowiska. Udał, że decyzji Tuska nie widzi. Wniosek Morawieckiego do Trybunału był parę lat temu potrzebny, by konwencji nie wypowiadać. Dziś już PiS takiej możliwości nie ma, więc i spraw do Trybunału odsyłać nie musi. Wentyl zrobił swoje, wentyl można zatkać.

Co gorsza jednak, PiS nie tylko do Trybunału się nie odwołuje, lecz

także potrafi konstytucyjnie podstemplować pomysły większości. Za odrzuceniem projektu Tomczak i Paślawskiej, depczącego antyeugeniczne Orzeczenie TK z 2020 r., nie zagłosowało grono przywódców PiS, z Jarosławem Kaczyńskim na czele. Uznali tym samym, że eugenika czy uchylanie w referendum praw podstawowych (suwerenności, wolności słowa, swobód politycznych) to kwestie konstytucyjnie otwarte. I to, że tak głosowali wicepremier Błaszczak, pani Lichocka czy Marek Suski, martwi mnie mniej. Ale tam był również kwiat młodszych współpracowników Prezesa: panowie Müller, Bochenek, Fogiel. Biedna Polska, jeśli tak ma wyglądać przyszłość prawicy. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Życie prawem,
nie towarem

k x y 12 t o n e & e z y 12 k o w s z i



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

W domu albo w zagrodzie

W szkole w Pioltello na przedmieściach Mediolanu 40 proc. uczniów to dzieci migrantów z krajów islamskich. Rada pedagogiczna uznała, że w ramach integracji i szacunku w muzułmańskie święto na zakończenie ramadanu trzeba dać wszystkim uczniom wolne. Wybuchły protesty. Minister edukacji powiedział, że szkoły nie mogą sobie same wprowadzać świąt. Prezydent Sergio Mattarella dał do zrozumienia, że wspiera radę pedagogiczną, a lewica natarła na rząd, oskarżając ministra o ograniczanie swobód religijnych i rasizm. Co może nieco dziwić, chodzi o tę samą lewicę, która z ogromnym zapałem walczy z symbolami chrześcijaństwa w szkołach: krzyżami, jasełkami, szopką czy choinką.

W efekcie uczniowie dostali wolne. Rozochocony deputowany lewicy Aboubakar Soumahoro, Iworyjczyk z pochodzenia, w imieniu własnym i całej włoskiej społeczności islamskiej (5 proc. populacji) złożył projekt ustawy wprowadzającej w Italii na zakończenie ramadanu ogólnonarodowe święto wolne od pracy.

10 kwietnia muzułmanie w wielu miastach Włoch, szczególnie na północy, świętowali zakończenie ramadanu na ulicach i placach od samego rana. Włoskie media pokazały kuriozalne obrazy z Mediolanu, Florencji i Mestre: panowie islamscy modlą się i świętują, a za nimi, w specjalnie w tym celu zaimprovizowanej zagrodzie, za zasłoną, siedzą sobie panie

islamskie w burkach jak kury w kurniku. Słowem: demonstracja islamskiej segregacji płciowej i patriarchy w pełnej krasie.

Tak ponoć mówi Koran. Tak mówią prawa szariatu. Wszystko dzieje się w zachodnim kraju, gdzie co rusz mówi się o równouprawnieniu kobiet, zapisanym w konstytucji i artykułach prawa. I nikt nie protestuje. Najbardziej żalosne jest milczenie włoskich feministek na barykadach walki z patriachatem. Zaledwie kilka procent włoskich muzułmanek pracuje, a reszta siedzi zamknięta w domu albo w zagrodzie. Naturalnie nie mówią ani słowa po włosku, mimo że są tu od kilkunastu lat. Apostołowie integracji też milczą. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

KECZUP I EUROWIZJA

Wielkimi krokami zbliża się konkurs Eurowizji, w którym Polskę reprezentować będzie Luna. Kryjąca się pod pseudonimem Aleksandra Wielgomas nie jest osobą „znikąd”. Okazuje się, że to córka „tych” Wielgomasów, czyli właścicieli firmy Dawtona. W wywiadzie dla magazynu „Forbes” piosenkarka odniosła się do zarzutów, że jedzie na konkurs dzięki rodzinnym koneksjom. „Tak. Jestem tą Luną. Ale jestem też osobą dorosłą, niezależną, samodzielną i myślę, że nie ma to większego znaczenia, kto jest moim rodzicem, bratem czy chłopakiem” – odparła na pytanie o osobiste powiązania. Luna przyznała, że rodzice sceptycznie podchodzili do jej planów artystycznych,



jednak uparcie dążyła do celu. „Rodzina była do tego nastawiona tak sobie. To był mój świadomy krok, że chcę tworzyć sama swoje życie. Długo na to pracuję i zajmuję się tym samodzielnie” – podkreśla. Artystka odniosła się też do niesympatycznych komentarzy internautów, określających ją mianem „keczupowej księżniczki”. „Zajmuję się czymś zupełnie innym. Takie komentarze pod moim adresem są niezgodne z prawdą, bo nie dotyczą mnie i tego, co rzeczywiście robię” – zaznacza Wielgomas, dodając, że w każdej chwili mogłaby

porzucić pracę artystki i iść w biznes, co byłoby dla niej korzystniejsze finansowo, ale po prostu nie chce. Najważniejsze to się realizować, a hejterzy cicho!

JAZDA PO MĘŻCZYZNACH

Cicho, hejterzy Luny, i cicho, mężczyźni! Bo wiecie, rozumiecie, ciężko to taka śmieszna sytuacja, w której żadnego udziału nie ma mężczyzna, a skoro nie ma, to niech się nie wypowiada w sprawie aborcji. „Jakoś kobiety nie decydują o losach pindoli, nie mówią panom, czy mogą się zaspokajać, gdzie, jak i z kim. Mamy świadomość, że gdyby to oni zachodzili w ciążę, aborcja byłaby wraz z całą diagnostyką dostępna za każdym rogiem” – grzmi dziennikarka Karolina Korwin-Piotrowska. Występując w roli obrończyni praw kobiet, 53-latką nawiązała też do pigułki „dzień po”. Jej zdaniem to bardzo nie w porządku, że kobiety traktuje się – rzekomo – w tej kwestii jak „wariatki”. „Od dekad trwa ta seksistowska, mizoginistyczna, ohydna debata panów o tym, że kobiety to wariatki, będą jadły tabletkę »dzień po« jak cukierki, będą się p.szczać, aborcję traktować jak antykoncepcję” – przekonuje Korwin-Piotrowska. Następnie każe się mężczyznom „walić”. „Walcie się. Słuchamy swoich ciał i jesteśmy wyedukowane, choć w szkołach nie ma edukacji seksualnej, ale my wiemy, gdzie się dowiedzieć. Są książki, aktywiści, lekarze, Internet. Tak, mamy prawo mieć swoją drogę życia, rozwoju, nie każda czuje się gotowa na bycie matką” – stwierdza. To nie koniec tyrady. „Notabene, w każdej aptece są tabletki pomocnicze, żeby panom stanąć, bo przecież musi, a tabletkę »dzień po«... kiedyś będzie. Może. I na koniec: Żeby się p.szczać, trzeba mieć z kim, ostatnio raczej na tym polu poruta w dziale męskim” – podsumowała Korwin-Piotrowska. Pani Karolino, dwa wdech.

(BEZ)NADZIEJA SCENY MUZYCZNEJ

Trudno uznać, czy to wiadomość dobra czy zła, ale Daniel Martyniuk, syn Zenka

Martyniuka, próbuje swoich sił w muzyce. W mediach społecznościowych zaczął publikować covery znanych piosenek. Martyniuk senior w jednym z ostatnich wywiadów wypowiedział się o talencie muzycznym syna. – On na pewno ma swoje wizje muzyczne. Puszczam mi swoje kawałki i pyta, co bym powiedziała na jakiś kawałek, gdybym w danym stylu chciał coś nagrać. Staram się tego nie komentować. To są jego tematy, jego piosenki, on to śpiewa, a widać, że piosenka się spodobała. Może wyświetlenia nie są milionowe, ale to fajny utwór – stwierdził ostrożnie. Jednocześnie nie wyklucza, że w przyszłości nagra utwór z synem. – Daniel ma jeszcze propozycje nagrania innych utworów, więc niewykluczone, że coś razem nagramy – stwierdził. Może kiedyś, zobaczymy. Z Zenka niezły dyplomata.

HEJT W PRAKTYCE

Sukces twórcy Kanalu Zero, Krzysztofa Stanowskiego, nie wszystkim się podoba. Niedawno w nocy do jego domu przyjechała policja. Funkcjonariusze musieli zweryfikować zgłoszenie, które otrzymali z numeru telefonu dziennikarza. Jakiś mężczyzna twierdził, że poćwiartował swoją żonę i czeka na ich przyjazd (przedstawił się jako Stanowski). „Bardzo miła wizyta policji w nocy. Dostali telefon z mojego numeru, że... poćwiartowałem żonę. Potem jeszcze sporo innych zgłoszeń, rzekomo ode mnie. Funkcjonariuszom bardzo dziękuję za rozśadek i że nie obudzili mi dzieci. Definitywnie trzeba poprzedni numer dezaktywować” – napisał dziennikarz na portalu X. – Podobno była cała lawina zgłoszeń z mojego numeru telefonu tej nocy. To było pierwsze zgłoszenie, a wszystkie kolejne zostały oznaczone jako nieprawdziwe – opowiadał później na swoim kanale. – Nie sądzę, by zgłaszanie tego miało mi szczególnie pomóc. To ja musiałem panom policjantom tłumaczyć, czym jest spoofing. Nie dziwię się im, mają ważniejsze sprawy na głowie. Ale jestem ciekaw, do czego nas to doprowadzi w najbliższym czasie – zastanawia się Stanowski. Oby do niczego naprawdę złego. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w ostatnim czasie obserwujemy coraz więcej protestów w obronie klimatu. Naszym zdaniem aktywiści z pokolenia Z sięgają po bardzo nieoczywiste metody, których za naszych czasów – wiemy, mówimy, jak totalni boomerzy – jeszcze nie było, iż najwidoczniej byliśmy albo mniej kreatywni, albo po prostu w tamtych czasach tak się nie robiło.

Z dużym zainteresowaniem śledzimy więc wszelkie formy wykorzystywane obecnie przez „zetki”, takie jak przyklejanie się do losowych obiektów typu mosty, ulice i ściany, mazanie farbami po obrazach i dziełach sztuki czy wrzaski w filharmonii.

Zastanawiamy się natomiast, dlaczego wśród tych form protestu szczególnie wyraźnie widać akcje podejmowane przeciwko obiektom drogowym oraz sztuce. Wydaje nam się, że przyklejanie się np. do mostu jest niczym innym jak wyrazem sprzeciwu wobec ruchu drogowego, iż gdyby nie taki most, to auta by wpadły do rzeki i się potopiły. Ponadto byliśmy zawsze uczeni, iż należy „budować mosty” i być za tym, co „łączy, a nie dzieli” – a mosty właśnie łączą, no i dlatego mamy z tym kłopot. Cóż, najwidoczniej taka różnica pokoleniowa.

A sztuka? Dlaczego trzeba oblać farbą pomnik albo krzyczeć podczas koncertu? No cóż, jak dla nas to chodzi o to, iż sztukę tworzyli głównie starsi heteronormatywni biali mężczyźni, a ta sama kategoria ludzi odpowiada za współczesny kryzys klimatyczny. Dlatego są to działa-

z herstorii – nawet jeśli PiS nie rządzi oficjalnie, to jego lepkie macki sięgają daleko, a wpływy są głęboko zakorzenione w społeczeństwie, iż nawet pan premier Tusk nie może zrealizować pakietu swoich obietnic wyborczych.

Musimy przy tym zwrócić wam uwagę na jedną rzecz: otóż my od lat pracujemy w korpo, sprzedając pakiety Internet + telefon + (od niedawna) panele fotowoltaiczne, i dobrze wiemy, iż jak coś jest w pakiecie, to się sprzedaje w nim gorsze rzeczy w towarzystwie lepszych.

Dlatego nie naciskajcie na koalicję, bo tak naprawdę nie wiemy, co w tym pakiecie obietnic było spoko, a co nie. Wiadomo, że w kampanii było trzeba dużo obiecać, iż PiS tak

przekupił Polaków, że bez obiecywania im gruszek na sośnie nie da się wygrać teraz żadnych wyborów.

A my po prostu musimy mieć więcej zaufania... tzn. wiary... – no sami widzicie, jak churching nam zawładnął dyskursem – musimy zaprezentować racjonalne podejście zakładające pozytywne intencje koalicji i spokojnie czekać na efekty, a na pewno będzie dobrze, a przynajmniej będzie jakoś xD. ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)



nia o charakterze symbolicznym wobec opresji, która poskutkowała tym, że „zetki” są ostatnim pokoleniem i po nich już niczego nie będzie. Przynajmniej tak nam się wydaje. Ale kto by tam do końca za tymi młodszymi od nas nadążył?

Wiemy, kochani, iż od dawna nie otrzymaliście od nas żadnej wnikliwej analizy politologicznej ani socjologicznej, ale obiecujemy, że się to poprawi. Mamy już nawet pierwszą: iż należy natychmiast odsunąć PiS od władzy, ponieważ – jak dobrze wiemy

PODSŁUCHANE

Prisoner of Tusk

Ty, Jacek, a w tym parlamencie to tam trzeba jakoś po angielsku coś mówić?

Bo ty już tam byłeś. Ja z angielskim to tak średnio trochę... Trochę rosyjski jeszcze ze szkoły pamiętam. Ale się nie przyznaję, oczywiście.

A nie, rosyjski to ci się, Mariusz, nie przyda za bardzo. Na sali to się mówi we własnym języku. A poza tym to może się nauczyć jakiegoś jednego zdania

i wszystkim mów, jakby chcieli po angielsku gadać.

Jakiego zdania?

„Aj em e politikal prisoner of Tusk end aj lost maj hiring in prison”.

Co to znaczy?

Nieważne. Będzie dobrze.

Daj, zapiszę ci na karteczkę. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„15 X 2023 staliśmy o krok od dyktatury”.

RADOSŁAW SIKORSKI, minister spraw zagranicznych, na portalu X

Wybory za nami, wybory przed nami. Konwencja eurowyborcza PiS już za kilka dni, jeszcze przed majówką. Na razie decyduje się kształt list. Układa je komitet. Komitet liczy sześć osób i przewodzi mu szeregowy nadpremier Jarosław Kaczyński. A pozostali członkowie to m.in. Beata Szydło, Zbigniew Rau czy Mario Błaszczak. Niemniej dokooptowany został Piotr Milowański, w nagrodę za robotę przy wyborach samorządowych.

Finisz układania list będzie pasjonujący nie tylko dlatego, że chętnych wielu, a jedynek mało. Także dlatego, że ostatnio chęć wskazania kandydatów bliskich jego sercu zasygnalizował prezydent Andrzej Sebastian. Nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że Andrzej Sebastian posiada serce.

Apropos Andrzeja Sebastiana. Jego spotkanie z Donaldem Johnem odbiło się szerokim, aczkolwiek cichym echem. Panowie przegadali ze sobą aż dwie i pół godziny, ale z całego tego wydarzenia ukazało się zaledwie kilkadziesiąt sekund. Po prostu Secret Service uznał, że skoro spotkanie miało charakter prywatny, to można przegonić polskich dziennikarzy. I tak się właśnie stało.

WPałacu złośliwie komentowano obecność na wstępie spotkania z Trumpem niejakiego Masty. Rzecz w tym, że Masta nie posiadał sztuki lengłydzu. Mamy dla niego jednak pocieszającą wiadomość. Inny Donald, pomniejszy i bardziej zły, obecnie sprawujący funkcję premiera, też nie znał lengłydzu jeszcze kilka lat temu. Ale miał świetną nauczycielkę i poznał. Wiemy, o czym mówimy. Bo osobiście znamy tę nauczycielkę. Ba, jeden z panów G. spędzał nawet z nią urlop. Niestety, nie możemy się podzielić numerem telefonu. Nauczycielka, odkąd poznała Donalda z Sopotu, przestała się do nas odzywać.

Sprawa lengłydzu niby powinna mieć jakieś znaczenie podczas układania list do europarlamentu, ale na dwoje babka wróżyła. Na przykład eurodep Bogdan Rzońca lengłydzu nie znał, ale po

dwaj panowie g

wzięciu mandatu się zawiązał i poznał. Czy innym wystarczy determinacji? Tak tylko pytamy w kontekście Warszawy, gdzie jedynką ma być Małgorzata Gosiewska. Na szczęście dwójką ma być podobno Tobiasz Bocheński – o jego zasoby lengłydżowe akurat się nie martwimy.

Wyniki wyborów samorządowych sprawiły, że układanie list do europarlamentu jest jeszcze ciekawsze niż zwykle. Jak wiecie, wedle ordynacji mandaty dodatkowe potrafią wędrować między okręgami i sztuka wskazać te



FOT. ROBERT CAROZINSKI

miejsca, gdzie są największe szanse na branie fotelu eurodepa także z drugiego miejsca. Symulacje pokazują, że rosną szanse PiS w województwach lubelskim czy łódzkim tudzież zachodniopomorskim. A spadają w Warszawie. Nic więc dziwnego, że paru znanych eurodepów powiedziało, że dwójką ze stolicy być nie chcą.

W Brukseli cierpieli narodowi konserwatyści. Miało to miejsce podczas konferencji National Conservatism (NatCon), na której pojawiła się policja i kazała przerwać antyeuropejskie knucie wszystkim zebranym, wśród których byli także Legutko, Saryusz-Wolski i Morawiecki. Szczegóły znacie z mediów, nas zastanawia jedna rzecz: od kiedy Mateusz Morawiecki jest narodowym konserwatystą? Ech, człowiek uczy się całe życie. Ci, którzy nie lubią Mateusza, już podpowiadają Naczelnikowi, że konserwatyzm konserwatyzmem, ale lepiej dystansować się od brexitowców. A tak się składa, że Nigel Farage w Brukseli brylował.

Wracamy na nasze podwórko. Europa Europą, ale sensacją tygodnia były miłosne perypetie Jacka Protasiewicza (57 lat) i młodej działaczki Trzeciej Drogi (22 lata). Cóż, pisaliśmy o sprawie w połowie lutego. Dla gapciów przypominamy tę notkę: „W PSL aż buzuje w kwestii obyczajówki. Jej bohaterem jest przytulony przez zielonych braci były prominentny polityk Platformy. Niedawno dochrapał się funkcji wicewojewody. O względy pana polityka zabiegają dwie panie. Jedna to dziennikarka, która do tej pory dzieliła z nim życie (co stało się dla niej źródłem poważnych problemów w pracy). Druga stawia swoje pierwsze kroki w polityce i – co tu kryć – jest znacznie młodsza. Sytuacja jest napięta, gdyż – jak wieść niesie – panie donoszą na siebie nawzajem do prominentnych ludowców”.

Sprawa dalej nie byłaby szeroko znana, gdyby nie radosne występy Jacka Protasiewicza na X, czyli kiedyś Twitterze, w których szafował aluzjami homoseksualnymi oraz oskarżeniami o pijaństwo. Od tej pory cała Polska żyje związkiem Jacka i Darii, zwłaszcza

kwestią kanapeczek z szynką, które Jacek przygotowuje w niedzielne poranki dla swej bogdanki, mimo że deklaruje ona, iż nie je mięsa. Potępiamy hejterów! I gołąb, i jego gołąbeczka robią przecież w polityce. Nic więc dziwnego, że mięsożerni są prywatnie, a jaroszami – służbowo.

W sprawie Jacka Protasiewicza najciekawsze dzieje się jednak za kulisami. Bo oficjalnie – Zły Donald z Sopotu go zdymisjonował, a pan Jacek publicznie przeprosił i nawet zasugerował, że nie będzie obejmował mandatu poselskiego po Izabeli Bodnar (gdyby ta została prezydentem Wrocławia). Nieoficjalnie słyszeliśmy od wiewiórek z Peło, że popularny i sympatyczny Protas liczy na szybkie ułaskawienie. Dlaczego? Dlatego, że ma argumenty.

Już tłumaczymy: Protasiewicz to wypróbowany towarzysz partyjnych bojów Donalda, współzałożyciel Kongresu Liberalno-Demokratycznego. I miłośnik pamiątek. Ma więc mnóstwo rozmaitych starych fotografii różnych ludzi z różnymi innymi ludźmi. No i wiecie, różne tam takie stare papiery, wspomnienia. No i tak się dziwnie składa, że miał podobno Donaldowi przypomnieć ostatnio, że być może wszystkie te pamiątki powinny pozostawać w rodzinnym archiwum, a nie znaleźć się w gazetach. Ach, ten Jacek! On myśli, że gazety jeszcze coś mogą...

Skoro o gazetach: gazeta, której nie jest wszystko jedno, zebrała się na odwagę i opublikowała tekst o kulisach wymuszenia na krakowskich klubach sportowych listu popierającego Olka Miszańskiego jako kandydata na prezydenta Krakowa. Niestety, jak się okazało, szefostwu Agory też nie jest wszystko jedno i tekst po pewnym czasie został zniknięty jak sen jaki złoty. Okrzyknięto to fenomenem 404. Jak powszechnie wiadomo, pojawia się oważ liczba w miejsce stron, które kiedyś były w Internecie, a potem przestały być.

Wsporcie w ogóle jest apolitycznie i interesująco. O czym przekonały nas na finiszu kampanii przed drugą turą rozmaite rzeczy. We Wrocławu Sutryk zapowiedział, że już nie da ani złotówki na Śląsk. W Zabrzu Gośka

Mańka-Szulik miała sprzedać wreszcie Górnik. W Radomiu okazało się, że można na stadionie Radomiaka zbudować dwie brakujące trybuny. Cuda, cuda, ogłaszają – czekamy, czekamy. Wszystko to jednak błędnie wobec wyczynu niejakiego Nitrasa. Ale o tym osobno.

Sławomir Nitras, jak niektórym wiadomo, jest aktualnie ministrem sportu. I ogłosił, że da masę kasy na kluby (86 mln). Kłopot w tym, że wedle nowych przepisów na szkolenie pieniądze mogą dostać tylko te, które mają status OPP (organizacji pożytku publicznego). A kluby sportowe to zazwyczaj spółki i takiego statusu nie mają. W ministerstwie zachęcają więc kluby do zakładania fundacji i przenoszenia trenerów tamże na lewe umowy. Dyrektor Departamentu Sportu dla Wszystkich Dariusz Buza rzekł wprost: „Macie stworzyć wehikuł, żeby to rozliczyć”. Zachęcamy więc do zmiany nazwy Ministerstwa Sportu na Ministerstwo Fikcji Stosowanej. Co do wehikułów – najbardziej przydałby się klubom wehikuł czasu, żeby wrócić do czasów Bortniczuka i Morawy.

Właściwie – tak nam przyszło do głowy – to cała ta „koalicja 13 grudnia” jest wehikułem czasu. Ani człowiek się obejrzał, a Zbyszek Derdziuk, ten, który kartki na wódkę oddawał tatowi, znów ma zostać szefem ZUS. A Michał Tusk pracuje w urzędzie marszałkowskim w Gdańsku, gdyż jako wybitny specjalista w swojej dziedzinie nie potrafi znaleźć roboty na wolnym rynku. I o to były te wybory.

Trąd w Pałacu Sprawiedliwości” – tytuł tej sztuki przychodzi nam do głowy, kiedy słyszymy o tym, co dzieje się w gmachu Prokuratury Krajowej przy Postępu. Otóż to miejsce niegdyś tętniące życie kompletnie zamarło. I nie chodzi tylko o śmierć życia towarzyskiego, ale marazm, który zapanował, jeśli chodzi o najważniejsze śledztwa. No, może nie do końca. Uzurpatorzy pracują bardzo intensywnie, usiłując ustalić, co poprzednia ekipa zgromadziła na obecną ekipę. Prokuratorzy tam pracujący określają swoje miejsce pracy dwójako. Po pierwsze: umieralnia. Ale nam się bardziej podoba drugie: umarzalnia. ©



Łukasz Warzecha

Żaden rząd w historii III RP nie przygotował tak daleko idącego uderzenia w sferę wolności słowa, jak obecny. Chodzi o to, by nałożyć cenzurę na tych, którym nie w smak forsowanie skrajnej lewicowej ideologii

W „Roku 1984” George Orwell wskazał, że dla każdego systemu autorytarnego czy totalitarnego najcenniejszy jest taki system cenzury, który działa sam. Nie trzeba go pilnować ani nawet wspierać instytucją. Dobrze, jeśli obywatele cenzurują się nawzajem poprzez donosicielstwo, a już najlepiej, gdy cenzurują się sami – czyli gdy mamy do czynienia ze zjawiskiem autocenzury. W demokracjach – często już tylko pozornych – bywa ono nazywane efektem mrozącym.

Taki system autocenzury tworzy się poprzez odpowiednie nastraszenie obywateli. Tak żeby się bali wykroczyć poza magmowo i niewyraźnie zakreślone granice. Aby takie poczucie strachu wytworzyć, nie potrzeba wcale masy surowych wyroków. Wystarczy kilka – dla przykładu. Adam Bodnar świetnie to wie, proponując zmiany w czterech artykułach Kodeksu karnego. Efekt mrozący i tak zostanie wywołany.

Paradoks propozycji „uśmiechniętego rządu” polega na tym, że koalicja Donalda Tuska przychodziła do władzy z opowieścią o tym, iż oto nadchodzi wyzwolenie z PiS-owskiej opresji, a partia Jarosława Kaczyńskiego na każdym kroku odbierała ludziom wolność. Nie jest to diagnoza pozbawiona podstaw: poprzednia władza za sprawą swoich skrajnie etatystycznych skłonności zrobiła bardzo wiele, żeby naszą wolność ograniczyć. Próbowała również wprowadzać przepisy dotyczące sfery wolności słowa lub też sięgała skwapliwie po te już istniejące. Na tej zasadzie prokuratura – w kontekście skrajnie proukraińskiego nastawienia poprzedniego rządu – przypominała so-

Mechanizm Bodnara



Minister sprawiedliwości Adam Bodnar jest prawnikiem. Rozumie doskonale, jakie będą konsekwencje nowelizacji, którą proponuje FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

bie nagle, że w Kodeksie karnym istnieje art. 117, który grozi karą od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności za nawoływanie lub publiczne pochwalanie prowadzenia wojny napastniczej. Przy czym za taką wojnę uznano jedynie wojnę Rosji przeciwko Ukrainie, choć, formalnie rzecz biorąc, identyczną naturę miała choćby druga wojna w Iraku, w której Polska wzięła udział.

Jednak PiS nie zaproponował niczego, co potencjalnymi konsekwencjami przypominałoby propozycje obecnej władzy. Można śmiało powiedzieć, że jeszcze żaden rząd w historii III RP nie przygotował tak daleko idącego uderzenia w sferę wolności słowa, w dodatku motywowanego najczystsza ideologią, jak propozycje pana ministra Bodnara.

Oczywiście proponując takie zmiany, nie można powiedzieć wprost, że mają one ograniczyć wolność słowa. A już na pewno, że mają ograniczyć wolność słowa głównie jednej strony ideowego sporu. Trzeba to sprzedać jako walkę z „mową nienawiści” czy „hejtem”, a więc jako coś szlachetnego. Tak aby powstało automatyczne skojarzenie: kto nie jest zwolennikiem nowych ograniczeń, ten opowiada się za obrażaniem innych i wywoływaniem napięć. Najlepiej podjąć pod tę narrację jeszcze zabójstwo Pawła Adamowicza.

CZTERY ZMIANY W KODEKSIE

Ministerstwo kierowane przez pana Bodnara proponuje zmianę w czterech artykułach Kodeksu karnego. Do katalogu cech szczególnie chronionych miałyby zostać dodane: niepełnosprawność, wiek, płeć, orientacja seksualna lub tożsamość płciowa.

Pierwszy z mających się zmienić artykułów to 53. Mieści się on w części ogólnej kodeksu, czyli tej, która reguluje generalne zasady karania, a nie odnosi się do poszczególnych rodzajów czynów. Artykuł 53 w paragrafie 2 mówi o tym, co stanowi dodatkową okoliczność obciążającą w przypadku każdego przestępstwa. Obecny katalog mówi o motywacji z nienawiści „z powodu przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej lub wyznaniowej ofiary albo z powodu jej bezwyznaniowości”. Teraz miałyby do tego dojsć wspomnianych pięć nowych przesłanek.

Jednak już w obecnej postaci przepis może budzić wątpliwości. W niektórych przypadkach, owszem, motywacja polityczna może być jasna i daje się ją udowodnić. Spójrzmy jednak na to, jak swoje spisy rzekomych przestępstw z nienawiści buduje organizacja Nigdy Więcej!, od lat żyjąca z tropienia wydumanych przejawów „faszyzmu” w Polsce. Wystarczy mianowicie najdrobniejszy punkt zaczepienia, aby autorzy spisu uznali, że mieliśmy do czynienia z „przestępstwem z nienawiści”. Przykładowo ofiarą rozboju na ulicy może paść homoseksualista kompletnie niczym się niewyróżniający. Z punktu widzenia sprawcy jest wszystko jedno, czy zabiera portfel i telefon komórkowy takiej osobie czy też osobie heteroseksualnej. Dla Nigdy Więcej! będzie to jednak „przestępstwo z nienawiści”.

**Ograniczenie wolności słowa
sprzedaje się jako **walkę**
z „mową nienawiści”
czy „hejtem”**

Na podobnej zasadzie, po ewentualnym wprowadzeniu zmian w Kodeksie karnym, możemy być świadkami doszukiwania się za wszelką cenę przez prokuratorów okoliczności obciążających nowego rodzaju – również tam, gdzie motywacja była inna.

Kolejna zmiana dotyczy art. 119 (jest to już część szczególna Kodeksu karnego): „Kto stosuje przemoc lub groźbę bezprawną wobec grupy osób lub poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5”. Także tutaj miałyby zostać dodane wspomniane nowe kategorie.

O ile pojęcie przemocy wydaje się bezsporne – w Polsce przynajmniej na razie nie odnosi się do tego, co lewica nazywa „przemocą werbalną” – o tyle już pojęcie groźby bezprawnej jest szersze, niż sądzi laicy. Definiuje je art. 115 Kodeksu karnego: „Groźbą bezprawną jest zarówno groźba, o której mowa w art. 190, jak i groźba spowodowania postępowania karnego

lub innego postępowania, w którym może zostać nałożona administracyjna kara pieniężna, jak również rozgłoszenia wiadomości uwłaczającej czci zagrożonego lub jego osoby najbliższej”. Spójrzmy jeszcze w takim razie na art. 190: „Kto grozi innej osobie popełnieniem przestępstwa na jej szkodę lub na szkodę osoby dla niej najbliższej, jeżeli groźba wzbudza w osobie, do której została skierowana lub której dotyczy, uzasadnioną obawę, że będzie spełniona, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Jak widać, pod przestępstwo z art. 119 można podciągnąć znacznie więcej niż tylko fizyczną napaść, a powodem do podjęcia postępowania może być paradoksalnie sytuacja, w której ktoś będzie się chciał bronić przed fałszywym oskarżeniem. Można sobie wyobrazić, że przedstawiciel mniejszości seksualnej nazwie kogoś homofobem. W trakcie słownego spięcia łatwo może się pojawić groźba, o której mowa w art. 115 („Odwołaj to albo trafisz przed sąd!”), co już będzie podstawą do podjęcia postępowania prokuratorskiego.

SUROWE I NIEJASNE PRAWO

Najgroźniejsze są natomiast zmiany zaplanowane w artykułach 256 i 257. Pierwszy z nich grozi karą pozbawienia wolności do lat trzech za propagowanie ustroju totalitarnego albo nawoływanie do nienawiści na tle różnic „narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość” – i tu mają się pojawić dodatkowe przesłanki.

Pojęcie „nawoływania do nienawiści” jest bardzo plastyczne i pojemne. W komentarzu do Kodeksu karnego pod redakcją Marka Mozgawy czytamy: „Nawoływanie do nienawiści [...] to sianie nienawiści, czyli silnej niechęci, wrogości do innej osoby czy osób. Nawoływanie to namawianie, zachęcanie, skłanianie, podburzanie, podżeganie bez względu na to, czy nawoływanie odniosło skutek”.

Mamy tutaj tłumaczenie ignotum per ignotum: „Nawoływanie do nienawiści to sianie nienawiści, czyli silnej niechęci, wrogości”. Problem w tym, że to także są skrajnie nieprecyzyjne pojęcia. Kiedy niechęć jest silna, a kiedy nie, i na jakiej podstawie prokurator – a potem sąd – miałby to oceniać? W rozmowie

■ z „Do Rzeczy” adwokat dr Bartosz Lewandowski wskazuje, że jedną z zasad dobrego prawa jest czytelność formułowanych zakazów dla zwykłego odbiorcy. Obywatel musi rozumieć, czego mu się zabrania. Granice powinny być jasne. Tutaj tak oczywiście nie jest – i o to chodzi pomysłodawcom zmian. Kategorie mają być pojemne, tak żeby motywowani ideologicznie prokuratorzy i sędziowie mogli je wypełnić własną treścią.

Na dodatek mamy jeszcze paragraf 2 tego artykułu: „Karze określonej w § 1 podlega, kto w celu rozpowszechniania produkuje, utrwala lub sprowadza, nabywa, zbywa, oferuje, przechowuje, posiada, prezentuje, przewozi lub przesyła druk, nagranie lub inny przedmiot, zawierające treść określoną w § 1 [...]”. To oznacza, że sankcja mogą być zagrożeni np. wydawcy czy redaktorzy pism, które osmielały się publikować teksty zdaniem prokuratury wypełniające znamiona opisanego przestępstwa.

To samo dotyczy art. 257. Mówi on: „Kto publicznie znieważa grupę ludności albo poszczególną osobę z powodu...” – i tu następuje katalog przesłanek. Kara jest identyczna jak w przypadku art. 256: do lat trzech pozbawienia wolności.

Czym jest znieważenie? Kolejny raz poruszamy się w sferze braku konkretów i niejasności. Oto, co na temat rozumienia pojęcia znieważenia mówi komentarz do Kodeksu karnego autorstwa Violetty Konarskiej-Wrzosek: „Przestępstwo znieważenia sprowadza się do tych zachowań sprawcy, które wyrażają pogardę dla innej osoby, w szczególności mają poniżyć ją, ułagacza godności oraz sprawić, aby poczuła się obrażona”. Problem w tym, że poczucie bycia obrażanym jest całkowicie subiektywne. Przedstawiciele mniejszości seksualnych obrazić może cokolwiek, co podważa prezentowaną przez nich linię ideologiczną. Wystarczy wspomnieć spór o to, czy LGBT to „ludzie” czy ideologia. Reprezentanci środowisk lewicowych twierdzili, że ta druga opinia jest „obraźliwa” i „poniżająca” oraz wyraża „pogardę”.

Działacze lewicy uznają, że pogardliwe może być samo zaprzeczanie istnienia płci definiowanej inaczej niż jako płeć biologiczna. A przecież zmiany mają wprowadzić kategorię „tożsamości płciowej”. Ta kategoria – jak wskazuje dr Lewandowski – nie jest nigdzie w polskim

Aby uzyskać autocenzorski efekt i sparaliżować debatę publiczną, nie potrzeba będzie wyroków sądów

prawie zdefiniowana i byłby to jedyny przepis, w którym by się pojawiała. Byłaby zatem skrajnie niejasna. Można jednak założyć, że należałoby do niej wszystko to, co nie należy do kategorii „płeć”, a co lewica uznaje za rzeczywistość. Ba, powodem do wszczęcia postępowania mogłoby się stać samo zaprzeczenie, że coś takiego jak „tożsamość płciowa” w ogóle istnieje.

Przy czym pamiętajmy, że katalog grup, które mają podlegać szczególnej ochronie, nie został w projekcie poszerzony jedynie o mniejszości seksualne. Przesłanka niepełnosprawności może doprowadzić do tego, że za stwierdzenie „pan X jest jakiś autystyczny” albo „pani Y jest chyba głucha” też będzie można trafić przed sąd. Podobnie kara groziłaby np. za stwierdzenie, że „starsi ludzie mają stępioną percepcję i nie powinni prowadzić samochodu” albo że „starych dziadków należałoby wyeliminować z polityki” (tu mamy nawet dwie przesłanki: wiek i płeć).

CEL MINISTRA BODNARA

Kiedy krytycy proponowanych przepisów zgłaszają swoje obawy, słyszą, że przecież będzie decydował sąd, nie prokurator. To żadne pocieszenie. Sądy działają w granicach i na podstawie przepisów, a te, jak widać, miałyby być i bardzo rozbudowane, i jednocześnie niejasne. A przecież sędziowie mają też swoje poglądy. Może jeszcze nie w Polsce, ale na świecie skazania choćby za cytowanie Pisma Świętego nie są już niczym niezwykłym.

Przed wszystkim jednak – i to jest, jak się wydaje, zasadniczy cel ministra Bodnara – aby uzyskać autocenzorski efekt i sparaliżować debatę publiczną, nie potrzeba wcale wyroków. Mecenase Lewandowski wyjaśnia, jak ten mechanizm będzie działał z prawnego punktu widzenia.

– Mówimy o przestępstwach ściganych z urzędu – tłumaczy rozmówca „Do Rze-

czy”. – Zatem po złożeniu doniesienia – a takich doniesień z pewnością będzie mnóstwo – prokurator będzie podejmował postępowanie przygotowawcze. Zrobi to choćby po to, żeby nie narazić się na zarzut bierności i nieprzyjemności.

Ewentualne penalizowane wypowiedzi w dzisiejszych czasach na ogół pojawiają się w sieci. W przypadku postępowania przygotowawczego – wyjaśnia mecenas Lewandowski – prokuratura będzie zatem musiała zabezpieczyć w celach dowodowych sprzęt potencjalnie używany w celu rozpowszechniania tych opinii. Sprzęt będą badać biegli. To może trwać co najmniej miesiącami. Mówiąc prosto: już samo oskarżenie wystarczy, żeby zaliczyć poranną wizytę policji i stracić na nieokreślony czas cały swój sprzęt elektroniczny, wszystkie posiadane komputery oraz telefon. To nie tylko gigantyczna uciążliwość i dla wielu realny życiowy problem, lecz także groźba znaczącego naruszenia prywatności, a w przypadku przedstawicieli niektórych profesji – jak dziennikarzy czy prawników – również tajemnicy zawodowej.

Dalej osoba oskarżana o „mowę nienawiści” stanie się podejrzanym, a taki status można mieć przez lata. Jeśli nawet ostatecznie zostanie przez sąd uniewinniona, to może się to wydarzyć po latach trwania w zawieszeniu i niepewności, ze wszystkimi konsekwencjami posiadania prawnego statusu podejrzanego czy potem oskarżonego. Ilu ludzi podejmie ryzyko swobodnego wyrażania swojego zdania, choćby w możliwie delikatnej formie, zwłaszcza jeśli dla przykładu zapadnie w tego typu sprawach kilka wyroków skazujących?

Adam Bodnar jest prawnikiem – doskonale zna te mechanizmy. Skrajną naiwnością byłoby sądzić, że nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji. Przeciwnie – rozumie je doskonale. Jego celem jest właśnie sparaliżowanie debaty i odebranie nam wolności słowa oraz wyrażania naszego zdania. Nie jest to jednak cel sam w sobie. Chodzi o to, aby przesunąć okno Overtona i wyprzeć ze sfery publicznej poglądy, które przeszkadzają w forsowaniu skrajnie lewicowej ideologii.

Na razie jest niemal pewne, że zmiany w kodeksie nie zyskają aprobaty pana prezydenta. Jednak co będzie po 2025 r.?

Dogonić zachodnią homocenzurę



FOT. ADRIAN STOK



Wojciech Golonka

Prawo penalizujące mowę nienawiści, które chce zafundować nam władza, będzie po prostu opresyjną cenzurą. A to dopiero początek drogi. Dokąd ona prowadzi, pokazują przykłady ze świata

Biciu na alarm wobec projektu ustawy radykalnie cenzurującej dyskurs w kwestiach obyczajowości i zaburzeń seksualnych (a przede wszystkim zdolnej obalić mocą prawa hierarchię dóbr społecznych, w tym podstawowej komórki społeczeństwa, którą jest rodzina) słusznie towarzyszą mocne przykłady ilustrujące, a zwłaszcza sprowadzające do absurdu

możliwe konsekwencje implementacji podobnej ustawy do polskiego porządku prawnego.

Ponadto to, co przeciętnemu Kowalskiemu może wciąż wydawać się absurdem, dla zwolenników podobnego kneblowania ust jest najwyraźniej pożądanym skutkiem, a sama planowana ustawa – narzędziem do ich osiągnięcia bez najmniejszych skrupułów.

Dlatego przegląd zachodnich przykładów ścigania świeckich i duchowych na tle „mowy nienawiści” w obszernym zakresie agendy LGBT, z uwzględnieniem zachodzących rewolucyjnych trendów prawnych, pozwala uzmysłowić nie tylko to, do czego naturalnie doprowadzi podobna ustawa, lecz także jak ma wyglądać zaplanowany światopoglądowy terror, który równie dobrze można określić prześladowaniem.

PRZYKŁADY ZNAD SEKWANY

Choć przypadek francuskiego księdza Matthieu Raffray nie jest chronologicznie pierwszy w coraz dłuższej, niestety, litanii aberracyjnego ciągnięcia po sądach za chrześcijańskie myślozbrodnie w dziedzinie obyczajowości seksualnej, to złożył się on akurat w czasie z publikacją

projektu ustawy cenzorskiej przez Rządowe Centrum Legislacji w Wielkim Tygodniu. Przytoczenie przykładów znad Sekwany jest też wielce wymowne, skoro dla zakompleksionych polskich Europejczyków, którym z wyroków niemiłosiernego losu przyszło żyć w nadwiślańskiej krainie wciąż tchnącej zaściankowością i obskurantyzmem, to właśnie francuski masoński progresizm jest niedoścignionym przykładem do bezkrytycznego hołdowania i małpowania, a sam Donald Tusk obiecywał nam nie tak dawno temu, że „będziemy mieli Paryż w Warszawie”.

20 marca francuski rząd wpadł w stosowną do powagi sytuacji histerię, gdy tropiąc przejawy homofobii w społeczeństwie „ministra” ze zgrozą odkryła, że w kwestii homoseksualności katolicki kapłan publicznie głosi katolicką doktrynę! W rzeczy samej, ks. Matthieu Raffray z tradycyjalistycznego zgromadzenia Instytutu Dobrego Pasterza w ramach Wielkiego Postu w nagraniu katechetycznym na Instagramie przypomniał, że czyny homoseksualne są grzeszne, jednakże można je w sobie przezwyciężać, podobnie jak inne różne tendencje i słabości, jak np. łakomstwo czy choleryczność. Nawiasem mówiąc, było to dość „łagodne” zestawienie aktów homoseksualnych wśród innych grzechów głównych, podczas gdy akty te, będąc wbrew naturze, nie są li tylko pospolitym przejawem skądinąd ciężkich grzechów nieczystości.

Ta wielkopostna – zdawałoby się banalna – nauka o chrześcijańskiej ascezie mającej zapobiegać grzechowi poprzez pracę nad nieuporządkowanymi popędami spotkała się z kategoryczną reakcją „ministry” „do spraw równości między kobietami i mężczyznami oraz walki przeciw dyskryminacjom”. Aurore Bergé, bo o niej mowa, na portalu X grzmiąca solennym oburzeniem: „W związku z nieznośnymi wypowiedziami odnośnie do homoseksualizmu, których tu powtórzyć nie mogę, wniosłam do DILCRAH [Międzyministerialnego przedstawicielstwa do spraw walki z rasizmem, antysemityzmem i nienawiścią anti-LGBT] o ich zgłoszenie do prokuratury na podstawie artykułu 40. Nie odpuszczę nigdy w kwestii nienawiści, jakiegokolwiek”.

Już 20 minut później – tyle dokładnie czasu wystarczyło Międzyministerialnemu przedstawicielstwu do wypełnienia

Francuski rząd wpadł w histerię, gdy ks. Matthieu Raffray przypomniał, że czyny homoseksualne są grzeszne

formalności – DILCRAH z kolei tweetowała wypełnienie rozkazu, z nawiązką: „Na wniosek Aurore Bergé DILCRAH zgłosiła do prokuratury homofobiczne wypowiedzi p. Raffray w mediach społecznościowych. Rzekome »terapię nawrócenia« są nielegalne od 2022 r. Mówienie o homoseksualności w kategoriach słabości jest rzeczą haniebną”.

Istotnie, z jednej strony, od początku lat 2000 francuski wymiar sprawiedliwości został doposażony wieloma ustawami przeciw przestępstwom homofobii, z drugiej – w 2022 r. przegłosowano zakaz „praktyk, zachowań czy powtarzanych wypowiedzi mających zmienić lub stłumić orientację seksualną lub tożsamość płciową, prawdziwą lub domniemaną, danej osoby i skutkujących pogorszeniem jej zdrowia fizycznego lub psychicznego”. Jeśli według deklarowanych zamiarów ustawa miała zakazać wywodzących się z USA frapujących wyobraźnię (a czasem również i ciało) seansów terapeutycznych, w których dochodzi także do pseudoegzorcyzmów, to, jak widać, niecałe dwa lata później pospolita publiczna afirmacja doktryny katolickiej o potrzebie przezwyciężania swych słabości na tle popędów seksualnych jest okazją do uruchomienia aparatu represji państwowej godnego ciężkich przestępstw.

Nie oznacza to jednak, że francuski kapłan jest na pozycji przegranej (skądinąd, skoro jest on wykładowcą w Rzymie i tam na co dzień rezyduje, to w ogóle nie wiadomo, czy jego rzekome przestępstwo nagranie na Instagramie podlegało francuskiej jurysdykcji), jako że słowa duchownego nie stanowiły obelg, pomówień, prowokacji do nienawiści, przemocy czy dyskryminacji, a samo głoszenie katolickiej nauki jest chronione wolnością wypowiedzi i wolnością religijną, jak zauważył mecenas Jérôme Triomphe.

W analogicznym przypadku francuski działacz katolicki Jean-Pierre Maugendre, który w 2019 r. opublikował na stro-

nie internetowej swego stowarzyszenia Renaissance otwarty, międzynarodowy list katolickich hierarchów (w tym kardynałów) na temat rodziny i obyczajowości seksualnej, był ścigany przez różne organizacje aktywistów LGBT za rzekome dyskryminacje (chodziło o doktrynalne potępienie małżeństw gejowskich) i mowę nienawiści. Maugendre został jednak uniewinniony w obu instancjach, a sąd stwierdził, że publikowane przezeń wypowiedzi są chronione wolnością wypowiedzi i wolnością światopoglądów religijnych.

Obecna uporczywość w tej kwestii ze strony władzy wykonawczej – co ciekawe, manifestowana po raz enty wobec doktryny katolickiej, nigdy zaś islamskiej – która przystąpiła właśnie do boju jako gracz wagi ciężkiej tam, gdzie polujące na rzekomych homofobów NGO okazały się bezsilne, ukazuje jednak, że francuska władza dotychczasowych orzeczeń sądów w tej kwestii podzielać nie zamierza. Francja pod kątem podobnej sekciarskiej postawy nie jest zresztą odosobniona.

DZIŚ PYTANIE, JUTRO ODPOWIEZ

Słynny stał się na świecie, właśnie na tle uporczywości prokuratury, przypadek byłej fińskiej parlamentarzystki i minister spraw wewnętrznych Päivi Räsänen, ściganej za przytoczenie w 2019 r. słów z Listu św. Pawła do Rzymian (1, 24–27) w kontekście oficjalnego ówczesnego uczestnictwa Ewangelicko-Luterańskiego Kościoła Finlandii w tamtejszej paradzie dumy gejowskiej. Räsänen pytała: „W jaki sposób można pogodzić doktrynalny fundament Kościoła, którym jest Biblia, z podnoszeniem bezwstydu i grzechu jako powodu do dumy?”.

Otóż fińska prokuratura, zdaje się, do dziś magluje panią Räsänen (wraz z luterskim duchownym będącym wydawcą jej broszury z 2004 r. pt. „Mężczyznę i kobietę stworzył ich: związki homoseksualne podważają chrześcijańską antropologię”) przez wszystkie możliwe szczeble wymiaru sprawiedliwości – z ostatnich wieści, z listopada 2023 r., Räsänen została po raz kolejny uniewinniona, tym razem przez jednogłosny werdykt trzech sędziów sądu apelacyjnego. Co istotne, uwięzła na nią prokurator, wybrana zresztą na urząd na kanwie obietnicy zwiększenia ochrony osób

LGBT, komentując swe stanowisko, daje nam namiastkę polowania na czarownice, które może spotkać Polaków, gdyby projekt ustawy rządu Donalda Tuska miał wejść w życie: „Potępienie aktów homoseksualnych potępia homoseksualistów jako istoty ludzkie” (tak jakby to ich czyni czy orientacja definiowały zasadniczo ich ludzką istotę), „Można cytować Biblię, ale to interpretacja Räsänen i jej opinia o biblijnych wersetach są przepiękne” (podczas gdy Räsänen nawet nie wyrażała własnej opinii, a pytała o spójność jej Kościoła z jego oczywistą biblijną doktryną).

TO NAWET NIE POCZĄTEK

Głoszenie zatem np. nauki katolickiej może przysporzyć medialnej niesławy i kłopotów z wymiarem sprawiedliwości, z zarzutami o ciężkie przestępstwa włącznie – wkrótce być może zbrodnię przeciw ludzkości, o czym za chwilę; cytowanie Biblii – również.

Nie inaczej w przypadku homocenzury jest z badaniami naukowymi, o czym przekonał się w Niemczech ks. prof. Dariusz Oko, pisząc o lawendowej mafii w Kościele, desygnowany wraz ze swym niemieckim szanowanym naukowo wydawcą jako siewca nienawiści. Niemiecki wymiar sprawiedliwości w tym wypadku ani nie skazał, ani nie uniewinnił rzekomego przestępcy, proponując zamknięcie sprawy kuriozalną, acz wyzwajającą zainteresowanych z mściwości łowców homofobów ugodą w postaci przeprosin i darowizny na cele charytatywne (nie mającej zatem znamion grzywny).

Mniej pobłażliwości ze strony wymiaru sprawiedliwości było wobec kanadyjskiego ojca, którego 14-letni transpłciowy syn (ongiś córka) pozwał za przemoc domową w postaci zwracania się doń w formach żeńskich odpowiadających jego biologicznej płci. Niemogący pogodzić się z wyborami swego niedojrzałego jeszcze dziecka ojciec został skazany na karę sześciu miesięcy więzienia; miał również przeznaczyć 30 tys. dol. kanadyjskich, które zebrał w ramach procesowego crowdfundingu, na cele charytatywne (ostatecznie zdołał zmniejszyć swój wyrok do 45 dni, które spędził już w więzieniu, oczekując na proces, a darowiznę odpuszczono mu z racji niemożności jej realizacji). Ten horrendalny wyrok

w zasadzie nie zaskakuje w Kanadzie pod rządami ultrapoprawnego politycznika Justina Trudeau, przy czym podczas gdy mógłby się on wydawać odległym ponurym żartem, dla nas bez znaczenia, to trzeba sobie uzmysłwić, że Szkocja wprowadziła właśnie w życie prawo penalizujące „wznecanie nienawiści”, które obejmuje m.in. używanie właśnie niewłaściwych określeń płci. Wierna swym kalwińskim tradycjom w zeświecczałym wydaniu Szkocja postawiła przy tym na system delatorski, w którym policja ma być obciążona systematyczną weryfikacją mile pożądaną przez władzę donosów obywatelskich, które policja będzie musiała gromadzić w aktach potencjalnych myślozbrodniarzy, nawet jeśli nie będą one stanowić podstawy do właściwej penalizacji.

Oto w skrócie przegląd najgłośniejszych zachodnich absurdów, których explicite życzy nam rządowy projekt ustawowej cenzury spod znaku agendy LGBT. Jak bowiem zapisano w uzasadnieniu projektu: „Jednocześnie trzeba mieć świadomość, że osiągnięcie poziomu, na którym do dyskryminacji o charakterze kryminalnym już nie dochodzi, nie nastąpiło jeszcze w żadnym kraju zachodniego kręgu kulturowego; nawet stawiane za wzór akceptacji i tolerancji Szwecja, Holandia i Hiszpania nie wyeliminowały dyskryminacji ani – tym bardziej – przestępczości z nienawiści. Tymczasem Polska nie jest nawet na początku drogi do tego celu”.

WROGOWIE RODZAJU LUDZKIEGO

„Nie jest nawet na początku drogi do tego celu” – zatem, proszę państwa, pora zapiąć pasy, gdyż nadrabianie zaległości za zachodnimi wzorcami może być naprawdę gwałtowne i daleko idące.

Jeśli bowiem spojrzeć na trendy w prawie międzynarodowym penalizującym przestępstwa na tle płciowym, to widać, że zachodzi wyraźna wola podpięcia przestępstw mowy nienawiści

na tle orientacji seksualnej, tożsamości płciowej i, ogólnie rzecz biorąc, genderowej agendy pod zbrodnię przeciw ludzkości. Biuro Prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze wydało w grudniu 2023 r. oficjalny dokument pt. „Dyrektywy w sprawie zbrodni na tle płciowym” („Policy on gender-based crimes”), o wdzięcznym podtytule: „Zbrodnie dotyczące przemocy na tle seksualnym, reprodukcyjnym i innym podłożu genderowym”. Autorzy dokumentu uważają, że definicja „płci” według Rzymskiego Statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego, będącego podstawą do działań trybunału, nie odpowiada dzisiejszym realiom, definicja to jest bowiem zbyt binarna i zachowawcza, choć uwzględnia już elementy konstruktów kulturowego: „pojęcie »płci« (gender) odnosi się do dwóch płci: męskiej i żeńskiej w kontekście społecznym. Pojęcie »płeć« (gender) nie ma żadnego innego znaczenia od wskazanego powyżej”.

Litera statutu nie przeszkadza jednak prokuratorom, aby w swej dyrektywie wyłożyć rozszerzoną „perspektywę genderową”, a następnie zdefiniować przemoc na tle płciowym jako „jakikolwiek akt popełniony w oparciu przypisane społecznie różnice na podstawie płci (gender), zazwyczaj ze względu na czyjaś aktualną lub postrzeganą płeć (gender), płeć biologiczną (sex) lub orientację seksualną”. Następnie w przeglądzie rodzajów aktów przemocy uwzględnia się zarówno czyny fizyczne, jak i bliżej nieokreśloną przemoc natury psychicznej, „a także inne formy pozbawienia wolności” pozbawiające osobę jej ludzkich praw. I jeśli, zazwyczaj, jako typowy przykład genderowej zbrodni przeciw ludzkości przedstawia się uniemożliwianie dostępu dziewczynkom do edukacji w Afganistanie, to nie ma wątpliwości, że podobnie zredefiniowana przez prokuratorów perspektywa ma za zadanie przeprowadzić genderową rewolucję w jurysdykcji samego trybunału.

Nie tyle więc czas na żartowanie z zachodniego terroru genderowego, ile na postawienie mu realnej tamy w polskim społeczeństwie, traktując choćby na poważnie zapisy naszej konstytucji – autorstwa przecież lewicy – o ochronie rodziny złożonej z taty, mamy i ich dzieci.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**Nie czas na żartowanie
z zachodniego terroru
genderowego, ale
na postawienie mu tamy**



Teresa Stylińska

Ten, kto z gorliwości, zawiści czy ze zwykłej głupoty złoży doniesienie, w świetle zaleceń sformułowanych przez władze nie jest donosicielem, lecz odpowiedzialnym obywatelem. Trudno oprzeć się wrażeniu, że władze Szkocji doskonale przyswoiły sobie nauki i praktykę stalinowskich nauczycieli

Być może znacie tę istotę. To Potwór Nienawiści. Karmi się emocjami. Gdy czujesz się niepewnie, gdy jesteś zły, on rośnie. Zanim się zorientujesz, co się dzieje, ulegasz nienawiści. Popełniasz przestępstwo. Nie karm Potwora Nienawiści – mówi w krótkim filmiku, przygotowanym przez szkocką policję, czerwona zjawa o żółtych oczach, która na oczach widza rozdyma się i rośnie.

Tak oto władze Szkocji pochyliły się nad morale obywateli, przypominając im, że powinni wystrzegać się uczuć tak zdrożnych jak nienawiść. Filmik o potworze to jednak tylko jeden z wielu elementów kampanii popularyzującej ustawę o zwalczaniu nienawiści, która weszła w życie 1 kwietnia. Może nawet ważniejsze są billboardy na ulicach szkockich miast, podkreślają bowiem, że przejawy nienawiści trzeba tępić także u innych. Ponurej postaci, ukrytej za popękaną niby-maską, towarzyszy napis: „Nienawiść rani”. I przypomnienie: „Jeśli jesteś świadkiem przestępstwa nienawiści, poinformuj o tym”.

Powiadomić należy upoważnione organy i instytucje. Niekoniecznie policję. Na liście miejsc, gdzie można zgłaszać skargi, znalazł się np. pewien sex shop z Glasgow. Przy celu tak złoźnym jak zwalczanie nienawiści każde miejsce i każdy środek, z donosicielstwem włącznie, są dobre.

PREMIER Z ZARZUTEM RASIZMU

I Szkoci wzięli to sobie do serca. W ciągu pierwszego tygodnia obowiązywania ustawy odnotowano ponad 7 tys. dono-

Billboardy na ulicach szkockich miast napominają: „Jeśli jesteś świadkiem przestępstwa nienawiści, poinformuj o tym”

FOT. J. BARLOW/PA IMAGES/FORUM



Jak zagłodzić potwora

sów! W dodatku – czego nikt oczywiście nie był w stanie przewidzieć – ponad 1 tys. to skargi na premiera szkockiego rządu, Humzę Yousafa, jednego z inicjatorów przyjęcia ustawy. W 2020 r., gdy był ministrem sprawiedliwości, na fali uniesienia wywołanego przez ruch Black Lives Matter ubolewał na forum parlamentu, że w Szkocji wysokie stanowiska zajmują prawie wyłącznie biali. Wielu Szkotów mu to zapamiętało i teraz, gdy władze tak gorąco zachęcają do zgłaszania przejawów m.in. rasizmu, skorzystało z okazji, by szefowi rządu, Pakistańczykowi z pochodzenia, zarzucić rasizm wobec białych.

Jak słusznie ktoś zauważył, rzadko się zdarza, by przepisy wprowadzone w małym nawet nie kraju, a ciągle jeszcze tylko autonomicznym regionie były przedmiotem zainteresowania mediów na całym świecie. To nie przypadek. Szkocja pod rządami Szkockiej Partii Narodowej (SNP) stała się istnym laboratorium świata

postępu, poletkiem, na którym wprowadzane są najbardziej nawet nonsensowne pomysły. To, co robią władze Szkocji, dla jednych stanowi wzór do naśladowania, dla innych wprost przeciwnie – prawdziwe memento.

Ustawa o przestępstwach z nienawiści i porządku publicznym w Szkocji, jak brzmi jej oficjalna nazwa, weszła w życie ponad trzy lata po jej przyjęciu przez parlament. Przez cały ten czas trwały dyskusje na temat zawartych w niej rozwiązań, bo od samego początku budziły one obawy. „Uznano ją za jedną z najbardziej kontrowersyjnych ustaw przyjętych przez parlament Szkocji – podsumował obawy dziennik »The Scotsman«.

Wątpliwości podnosili przedstawiciele bardzo różnych grup: politycy opozycji, prawnicy, aktywiści, przywódcy religijni, policja. W rezultacie treść ustawy znacząco zmodyfikowano, wzmacniając te punkty, które dotyczyły wolności informacji [czyli

wolności słowa – przyp. red.]. Jednak obawy, jakie skutki pociągnie za sobą jej wejście w życie, pozostały”.

Chociaż ustawa przeszła wówczas zdecydowaną większością głosów – 82 za, 32 przeciw, przy czterech wstrzymujących się – to upływ czasu i dopracowywanie rozwiązań nie rozproszyły obaw. Dotyczą one w dodatku szerokiego spektrum spraw, bardzo różnego kalibru, od ingerencji przepisów w sferę czysto prywatną do zagrożenia dla wolności słowa, nie mówiąc o braku precyzji sformułowań i w związku z tym przerzuceniu całego ciężaru oceny słów i czynów na policję.

OSTROŻNIE WE WŁASNYM DOMU

Najbardziej szokujące jest to, że można zostać oskarżonym nawet wtedy, gdy niepożądane – czytaj: zakazane – opinie wyraża się we własnym domu czy w gronie znajomych. Ten, kto z gorliwości, zawiści czy ze zwykłej głupoty złoży doniesienie, w świetle zaleceń sformułowanych przez władze nie jest donosicielem, lecz odpowiedzialnym obywatelem, niegodzącym się na to, co arbitralnie uznano za mowę nienawiści czy przestępstwo popełnione z nienawistnych pobudek.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że władze Szkocji doskonale przyswoiły sobie nauki i praktykę stalinowskich nauczycieli. Oto na oficjalnej stronie szkockiego rządu można przeczytać takie oto wyjaśnienie: „Uważamy, że niedostateczne zgłaszanie przestępstw z nienawiści stanowi poważny problem [...]. Jeżeli doświadczyleś nienawiści z powodu swej niepełnosprawności, rasy, religii, orientacji seksualnej czy tożsamości transpłciowej, jeżeli wiesz, że ktoś inny jej doznał – chcemy, żebyś to zgłosił. Każdego, kto doświadczyl przestępstwa z nienawiści lub był jego świadkiem, zachęcamy, by zgłosił to szkockiej policji”.

Dalej następuje szczegółowy instruktaż, jak skontaktować się z policją lub jednym z „ośrodków przyjmujących zgłoszenia”, których długa lista – kilkaset punktów, m.in. stowarzyszenia, ośrodki pomocy społecznej, wspomniany sex shop (sama nazwa, bez słowa wyjaśnienia, co to za miejsce) – jest dla chętnych do dyspozycji.

Tu uwaga: chodzi nie tylko o wykroczenia czy przestępstwa popełniane z nienawiści, takie jak pobicia, groźby czy zniewagi. Przestępstwo – czy może wręcz

zbrodnię – stanowi również nienawiść jako taka. „Siłą Szkocji – czytamy na rządowej stronie – jest jej różnorodność. Przestępstwa dyktowane nienawiścią, a także uprzedzenia narażają na szwank spójność społeczności [lokalnych – przyp. T.S.] i mają destrukcyjny wpływ zarówno na nie, jak i na całe społeczeństwo. Dlatego musimy zwalczać nienawiść”.

Nie przypadkiem więc do ustawy w jej ostatecznej formie wprowadzono przestępstwo „podlegania do nienawiści”. Chodzi przy tym, na co zwracają uwagę specjaliści, nie tylko o słowa, które mogą od razu przynieść niedobre skutki – np. namawianie do bicia. Przestępstwem jest w równej mierze wypowiedzenie opinii, która kogoś kiedyś, w bliżej nieokreślonym miejscu i czasie, może zainspirować do popełnienia złych czynów. To już nawet nie jawnie zły zamiar, lecz mgliście zarysowana ewentualność.

KOBIETY, NIEBINARNI I KOT

Pierwsze przepisy, których przedmiotem jest mowa nienawiści, przyjęto w Szkocji w 1986 r. Wówczas pod ustawową ochroną znalazła się jedna tylko cecha: pochodzenie rasowe i etniczne. Z biegiem czasu i postępu dołączano kolejne. Dziś szkocka ustawa ma chronić przed szeroko pojmowaną nienawiścią – obrazą, dyskryminacją, aktami agresji – również ze względu na wiek, niepełnosprawność, orientację seksualną, transpłciowość i różne formy odmienności seksualnej, takie jak niebinarność.

Szczególną uwagę budzi transpłciowość, również dlatego, że w tej kategorii Szkocja jest chyba światową rekordzistką; już kilka lat temu podliczono, że w pięciomilionowym kraju żyje ponad 5 tys. osób po tranzycji. Tym bardziej trudno nie dostrzec, że podczas gdy nad ludźmi trans rozpięto parasol, płć biologiczna nie podlega ochronie. Co oczywiście sprawiło, że Joanne K. Rowling, od dawna zaangażowana w sprawy ochrony kobiet, a od paru lat zwracająca uwagę, że forsowanie ideologii trans naraża na szwank dobro i bezpieczeństwo kobiet, które są kobietami, nie mogła nie zabrać głosu i zrobiła to już w pierwszym dniu obowiązywania ustawy.

Joanne K. Rowling zwróciła przede wszystkim uwagę, jak poręczne narzędzie zyskali w niej aktywiści ideologii trans.

Zauważyła, że od teraz łatwiej im będzie uciszyć głosy tych, którzy, dostrzegając zagrożenia, choćby dla kobiecego sportu, głośno o nich mówią. Jakimż nonsensem jest rejestrowanie ludzi, którzy popełnili przestępstwa wobec kobiet, w charakterze kobiet! Isla Bryson i inni – wymienieni przez pisarkę z nazwiska (gwałciciele i pedofile, którzy po dokonaniu przestępstw zmienili płć, zostali więc zatrzymani jako kobiety) – to przecież mężczyźni! W Szkocji, dodała Joanne K. Rowling, kończy się wolność słowa i przekonań, skoro opisywanie płci biologicznej jest uważane za przestępstwo.

Po stronie autorki „Harry’ego Pottera” – która od czasu, gdy zaczęła podważać sens zrównywania kobiet trans z normalnymi kobietami, doświadcza wyjątkowo zajadłego hejtu – stanęli m.in. Elon Musk i brytyjski premier Rishi Sunak. Ten ostatni powiedział otwarcie, że „w Anglii nigdy nie zostanie przyjęte coś takiego jak w Szkocji”.

Joanne K. Rowling, choć, jak zadeklarowała, jest gotowa na aresztowanie, nie zostanie zatrzymana, bo według policji jej tweety nie wyczerpują znamion przestępstwa. Przeciwnie niż, według tejże policji, słowa Murdo Fräsera, deputowanego Partii Konserwatywnej w szkockim parlamencie, chociaż jego niedawna wypowiedź wynika z podobnego sposobu widzenia świata. Fräser zauważył mianowicie, że ktoś, kto przedstawia się jako osoba niebinarna, równie dobrze mógłby przedstawiać się jako kot. Fräser, podobnie jak Joanne K. Rowling, ma dystans do szaleństwa, które wiąże się z modą na zmianę płci, i domaga się, by potraktowano go tak samo jak ją.

To wszystko razem wzięte pokazuje, jak niejednoznaczne są wprowadzone przepisy i jak dużą pozostawiają przestrzeń na interpretację. Szkoccy policjanci, świadomi możliwych skutków, nie kryją niezadowolenia. Przerzucenie na nich de facto decyzji, co jest przestępstwem z nienawiści, a co nim nie jest, może zaszkodzić reputacji policji, gdy formułowane przez policjantów oceny będą rozmiącać się z powszechnym odczuciem. Jak np. traktować tzw. misgendering – mówienie o kimś w formie zgodnej z jego płcią biologiczną, a nie tą, którą sobie wybrał? Karać czy nie? Może to i lepiej, że jeszcze tego nie wiadomo?

Wśród innych instytucji, stworzonych przez ostatnie osiem lat, ofiarą zemsty „koalicji 13 grudnia” padł także Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Jana Paderewskiego. Minister kultury, Bartłomiej Sienkiewicz, z właściwym sobie brakiem zahamowań i szacunku dla bodaj pozorów prawa i zwykłej przyzwoitości odwołał szefa Instytutu, prof. Jana Żaryna. Zarzuty sprowadzały się do tego, że Instytut robił to, do czego został powołany – wspierał działania mające na celu odkłamanie i przywrócenie Polakom tradycji polskiego ruchu narodowego, znienawidzonego i oczernianego zarówno przez prosowieckich komunistów, jak i przez prounijną „lewicę laicką”.

Następnie – tego samego dnia – powołał Sienkiewicz nowego szefa Instytutu, Adama Leszczyńskiego. Leszczyński wprowadzie również legitymuje się tytułem profesora historii (pracował w Instytucie Historii PAN, obecnie wykłada nauki społeczne w warszawskiej SWPS), ale w jego dorobku nie ma niczego, co pozwalałoby go podejrzewać o jakąkolwiek wiedzę (nie mówiąc już o sympatii) do polskiej tradycji narodowej. Natomiast w jego dorobku publicystycznym – Leszczyński jest bowiem współzałożycielem i współpracownikiem portali Krytyka Polityczna i OKO.press, autorem licznych publikacji wmawiających Polakom szczególny antysemityzm i oczerniających Kościoła katolicki – roi się od dokonań, które tę nominację Sienkiewicza czynią równie groteskową, jaką byłoby, powiedzmy, mianowanie dyrektorem muzeum Polin Grzegorza Brauna. Jakby sam Leszczyński był nie dość zawziętym wrogiem polskiej prawicy, a szczególnie dziedzictwa Romana Dmowskiego i innych narodowców, jako zastępcę ma mieć przydanego, wedle nieoficjalnych jeszcze zapowiedzi, lewicowego publicystę i od kilku miesięcy członka gabinetu politycznego Sienkiewicza – Przemysła Witkowskiego.

O ile Leszczyńskiemu nie można odmówić tytułów do zajmowania się historią i dorobku – jakkolwiek jego sztandarowe dzieło, „Ludowa historia Polski”, pełne jest uchybień wobec metodologii i przykładów naciągania faktów wybie-ranych dowolnie z fragmentarycznie

Narutowiczem w



Rafał A. Żemkiewicz

Nie ma wątpliwości, że chodzi o coś więcej niż zniszczenie instytucji powołanej dla ochrony tej części narodowej tradycji, której obecna ekipa rządząca nienawidzi. Chodzi o całkowite odwrócenie sensu jej istnienia



Gabriel Narutowicz, prezydent RP, został zastrzelony przez chorego psychicznie zamachowca w 1922 r. FOT. NAC

Polskę

traktowanych źródeł pod z góry założoną, ideologiczną tezę – o tyle Witkowskiego właściwie niż publicystą byłoby określić mianem zadymiarza. Jego mocno reklamowana w lewicowych mediach książka „Faszyzm, który nadchodzi” jest dokumentem skrajnego ideologicznego zaciętrzewienia, w którym „faszyzmem” jest dla autora praktycznie wszystko poza skrajną lewicą. Faszyzm „jest blisko głównego nurtu” współczesnej demokracji, a nawet „w samym głównym nurcie”, „prəsiąka nasze życie” – sposób udowadniania tej sensacyjnej tezy życzliwy Witkowskiemu recenzent podsumował frazą, w sumie zabawną, jeśli się nad nią zastanowić, że książka ta „rzuca wyzwanie politologom”. W istocie rzuca je nie tylko politologii, lecz także każdemu, kto poczuwa się do szacunku dla elementarnego zdrowego rozsądku.

LEGENDA BĘDĄCA TRUCIZNĄ

Natychmiast po ogłoszeniu jego nominacji Leszczyński zapowiedział, że instytut zmieni patrona i odtąd będzie instytutem im. Gabriela Narutowicza. W sumie pod takim zarządem i tak wydaje się to decyzją „lajtową” – mógłby przecież stać się instytutem Róży Luksemburg albo Feliksa Dzierżyńskiego. Jednak wybranie do wypędzania z polskiej świadomości duchów Dmowskiego i Paderewskiego właśnie Narutowicza jest posunięciem wyjątkowo bezczelnym i perfidnym.

Jakież jest bowiem dziedzictwo myśli Gabriela Narutowicza? Nawet człowiek najbardziej życzliwy pamięci tej tragicznie w naszych dziejach zapisanej postaci przyznać musi, że w polityce, a zwłaszcza w dziedzinie myśli politycznej, nie dokonał on niczego. Zasadne byłoby raczej upamiętnienie patronatem nad którąś z politechnik jego dorobku w dziedzinie budownictwa wodnego, hydroelektrowni i elektryfikacji. Był niewątpliwie gorliwym polskim patriotą, bynajmniej nie tak lewicowym, jak głosi legenda, jako pierwszy prezydent RP wybranym wskutek wypadkowej skutków burzliwych starć politycznych stronnictw, bardzo wyraźnie i zręcznie dążącym do porozumienia między nimi; i zdaniem wielu historyków, gdyby nie kule obłąkanego malarza Eligiusza Niewiadomskiego, który zamordował go w warszawskiej

Zachęcie, mógłby przejść do historii jako symbol zgody narodowej, osiągniętej ponad podziałami przez Polaków odbudowujących swe państwo.

Jednak ostatecznie wokół Narutowicza zbudowano zupełnie inną legendę, będącą dla Polski trucizną. Legendę, zgodnie z którą Narutowicz miał paść ofiarą „polskich faszystów”, prawicowego fanatyzmu i antysemityzmu (choć przecież wcale nie był Żydem). W tej legendzie Narutowicz stał się ikoną lewicowej nienawiści do polskiej tradycji narodowej i patriotycznej, symbolem rzekomych zbrodni polskiej prawicy i usprawiedliwieniem dla wszystkich inspirowanych przez tę lewicową nienawiść łajdactw, od zamachu majowego i Berezy Kartuskiej do kolaboracji lewicowej inteligencji ze stalinizmem, w imię maksymy Marii Dąbrowskiej: „Wszystko lepsze od endeckiego ciemnogrodu”. Jeszcze stosunkowo niedawno Adam Michnik, goszcząc u Tomasza Lisa, usprawiedliwiał swe rozliczne podłości argumentem, że „wciąż trzeba walczyć z mordercami Narutowicza”.

O tym, jak bardzo fałszywa jest pokutująca do dziś legenda o zamordowaniu przez „prawicowego fanatyka” pierwszego prezydenta odrodzonej RP, pisałem wielokrotnie, także na łamach „Do Rzeczy” i „Historii Do Rzeczy” – ale kolejna polityczna bandyterka Sienkiewcza zmusza, by przynajmniej kilka podstawowych faktów przypomnieć raz jeszcze. Eligiusz Niewiadomski ponad wszelką wątpliwość był człowiekiem psychicznie chorym. Jeden z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszy psychiatra owych czasów, prof. Maurycy Urstein, w wydanej w 1923 r. broszurze „Eligiusz Niewiadomski w oświeceniu psychiatry” (pisownia oryginalna) nie pozostawił co do tego najmniejszej wątpliwości, a jednodniowy proces Niewiadomskiego, w którym nie próbowano nawet powołać biegłych, nazwał wręcz „zbrodnią sądową”. Z racji choćby pochodzenia profesora, którego ten bynajmniej się nie wypierał, nawet Przemysław Witkowski nie jest w stanie zdyskredytować tej broszury jako „endeckiej”.

W istocie lepiej byłoby ten proces nazwać farsą sądową – farsą, w której paradoksalnie dążenia zbrodniarza zbiegły się z politycznymi potrzebami kontrolujących sąd piśsudczyków

■ i wspierających ich wtedy socjalistów oraz radykalnych ludowców. Niewiadomski chciał stać się męczennikiem i obiektem kultu, po to przecież dokonał swego „czynu”, by „przebudzić naród” i wstrząsnąć sumieniami. Sam domagał się dla siebie kary śmierci, odmówił nawet przyjęcia obrońcy, a co dopiero badań poczytalności (na egzekucję przyszedł, co świadczy o jego wyczuciu zasad nienazywanego wtedy tak jeszcze marketingu, w białej koszuli, z pasową różą w rękę); niewinnienie z racji stwierdzenia choroby psychicznej było ostatnim, czego by sobie życzył. A politycy parlamentarnej mniejszości chcieli przypisaniem dominującej wtedy na scenie politycznej endecji odpowiedzialności za zbrodnię pozbawić ją raz na zawsze dobrego imienia i zniszczyć ją w oczach społeczeństwa, co się udało, last but not least, dzięki arcydziełu politycznej manipulacji i emocjonalnej propagandy, którym był pamiętany do dziś wiersz Juliana Tuwima.

W istocie Niewiadomski nie miał żadnych, poza zamierzchłymi, związków z narodowcami. Był piłsudczykiem, protegowanym samego Kazimierza Sosnkowskiego, który załatwił mu pracę w sztabie elitarnego 6. pułku piechoty Legionów, nieoficjalnie zwanym „dziećmi Piłsudskiego”. Mimo tego to właśnie Piłsudskiego zamierzał zabić w ramach wstrząsania rodakami, by uświadomili sobie, że ta Polska, która powstała, jest Polską fałszywą, „kupiecką”, że trzeba ją odrzucić i zbudować tę prawdziwą, wywieszczoną przez romantyków. Tylko przypadek sprawił, że Niewiadomski nie zdołał się zbliżyć ze swym rewolwerem do Naczelnika Państwa, zanim ten przekazał władzę nowo wybranemu prezydentowi RP. Gdyby prezydentem tym został – jak chciała endecja – Maurycy hr. Zamoyski, oszalały malarz mistyk zabiłby jego. Cała endecka kampania propagandowa przeciwko Narutowiczowi (w istocie z dzisiejszego punktu widzenia haniebna, ale nieustępująca ani trochę w łatwości rzucania oszczerstw ani brutalności oskarżeń temu, czego dopuszczali się współcześnie wszyscy uczestnicy politycznej wojny) nie miała na zbrodniarza najmniejszego wpływu.

Jest osobnym tematem, jak bardzo ta prahucpa wpłynęła na polskie dzieje i jak

bardzo narzuciła potomnym wzorec nekropolityki, tylekroć odtwarzany – choćby w formie Tuskowych tańców na trumnie Pawła Adamowicza. Ale pomińmy to; w tej chwili, w komentarzu do cynicznego użycia legendy o męczenniku Narutowiczu do zniszczenia IDMN, ważne jest tylko, że legenda ta, o ile można zrozumieć jej kultywowanie wbrew faktom przez polityków i propagandystów, w żadnym razie nie powinna być podchwytywana przez historyka, za

Zamiarem ekipy Tuska jest upowszechnianie w Polsce i świecie **najpodlejszych antypolskich kłamstw**

którego uchodzi prof. Adam Leszczyński. Jeśli nie inne prace, to ostateczny kłam narracji tej zadaje choćby wyczerpująca monografia prof. Patryka Pleskota „Niewiadomski. Zabić prezydenta”. Być może właśnie dlatego, że prace takie w ostatnich latach mogły powstawać i być publikowane (choć z tą akurat ani prof. Żaryn, ani IDMN nie miały nic wspólnego), nowy szef tej ostatniej instytucji wielokrotnie domagał się w swej publicystyce likwidacji Instytutu Pamięi Narodowej.

PO CO?

Zarówno osoby, które nominował Sienkiewicz, jak i szalbiercze sięgnięcie po fałszywą legendę śmierci Narutowicza dla usprawiedliwienia diametralnej zmiany misji i celów IDMN (na boku zostawmy pytanie, jak ma się to do prawa – Instytut ma przecież swój statut, który Sienkiewicz i jego pomagierzy bezcerebralnie podeptali) nie pozostawiają wątpliwości, że chodzi o coś więcej niż zniszczenie instytucji powołanej dla ochrony tej części narodowej tradycji, której obecna ekipa nienawidzi. Chodzi o całkowite odwrócenie sensu jej istnienia. To już nie tylko tak, jakby szefem Muzeum Żydów Polskich uczynić, delikatnie to ujmując, judeosceptyka. To tak, jakby ekipa, która się dorwała do władzy, uczyniła z Polin instytucję krzewiącą jawny antysemityzm, i to w oparciu o wielokrotnie w dziejach demaskowaną,

ale beczelnie znowu ogłaszaną świętą prawdą fałszywkę carskiej ochrony, którą były „Protokoły Mędrców Syjonu”.

To, co się stało z IDMN, jest jednak tylko fragmentem, może najjaskrawszym, ogólnej tendencji, z którą mamy do czynienia pod kolejnymi rządami Donalda Tuska, który – jeśli wierzyć życzliwym mu mediom – stale się „wścieka” i żąda od swych pomagierów jakichś spektakularnych sukcesów w „rozliczaniu PiS”. W tym samym czasie co IDMN ofiarą tego „rozliczania” padło wiele działań, także takich, które z polityką w ogóle nie miały nic wspólnego; pożytek z nich nie ulegał żadnej wątpliwości, a jedyną ich „winą” było to, że prowadzono je za czasów, kiedy rządził PiS. Jednym z takich szczególnie oburzających i obrażających posunięć nowej ekipy jest np. zniszczenie inicjatywy Klubów Mam i fundacji Po Pierwsze Rodzina pomagających rodzinom wielodzietnym. Zapewne zastąpią je jakieś „kluby lesbijek i transów” oraz fundacje poświęcone promowaniu aborcji jako sposobu na „ratowanie planety”. Podobnie trudno nie uznać za łajdactwo i barbarzyństwo niszczenie Instytutu Pileckiego, odkłamującego antypolskie stereotypy upowszechniane w świecie przez wrogów naszej niepodległości.

Ekipa Tuska nie zamierza ich odkłamywać. Przeciwnie: jak dowodzą tego nominacje w Instytucie Dziedzictwa Myśli Narodowej, jej zamiarem jest wykorzystanie państwowych funduszy i instytucjonalnej siły państwa polskiego do upowszechniania w Polsce i w całym świecie najpodlejszych antypolskich kłamstw i defamacyjnych stereotypów. O Jedwabnem (jeden z ulubionych wątków publicystyki nowego szefa IDMN), o narastającym w Polsce faszyzmie, w którego zmyślaniu wyspecjalizował się jego następca, o rzekomej polskiej odpowiedzialności za Holocaust, o polskim zacofaniu i rozgrzeszającej niemieckiego „Wielkiego Brata” symetrii pomiędzy Romanem Dmowskim i jego Narodową Demokracją, która zamordowała Narutowicza, a Adolfem Hitlerem i NSDAP.

Wielka szkoda, doprawdy, że nie dożyli tych czasów czołowi propagandyści PRL. Dzięki takim politykom jak Bartłomiej Sienkiewicz mieliby dziś nawet szersze pole do popisu, niż mieli w swoich czasach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Odeszła pierwsza dama polskiej socjologii. Swoją autorytet budowała latami. Nadprzeciętna inteligencja, za którą stała odwaga. Nawet jej adwersarze czuli do niej respekt. Nigdy nawet nie otarła się o posadzenie o polityczny koniunkturalizm. Jeśli coś mówiła, to każdy czuł, że to jest jej pogląd. Można się było z nim zgadzać lub nie, niekiedy był zawiły, trudny do zrozumienia, ale był jej. Dla mojego pokolenia, które po 1989 r. próbowało szukać narzędzi zrozumienia sojuszu byłych opozycyjnych liberałów z postkomunistami, była intelektualnym przewodnikiem. Bez niej w tych niekiedy gorzkich latach byłibyśmy o wiele bardziej samotni.

LITEWSKIE KORZENIE

W rodzinie Staniszkisów nic nigdy nie było proste. Pradziadek Jadwigi Wincenty Staniszkis (1853–1926) był aktywistą litewskiego ruchu odrodzenia narodowego, który w końcu XIX w. zrywał z polskością. Ale już dziadek Witold Teofil (1880–1941), w odróżnieniu od swego ojca, czuł się Polakiem, został działaczem polskiego ruchu narodowego i był gotów za swój patriotyzm zapłacić nawet najwyższą cenę – za udział w wojennej konspiracji Niemcy zamordowali go w obozie w Auschwitzu. Ojciec pani Jadwigi, Witold Wincenty (1908–2008), także był działaczem Obozu Wielkiej Polski, ale okupację przeżył.

Po wojnie przybył do Gdańska, gdzie objął posadę w Biurze Odbudowy Portów. Mała Jadwinia chodziła wtedy do szkoły podstawowej na gdańskim Srebrzysku. Trzy lata później UB aresztowała Witolda Wincentego pod sfigowanymi zarzutami, a rodzinę wyrzuciło z przydzielonego w Gdańsku mieszkania. Jadwiga pojechała wraz z młodszym rodzeństwem do stryja w Łodzi, a matka próbowała wyżywić całą rodzinę, jednocześnie starając się uzyskać zwolnienie męża. Ten wyszedł dopiero w połowie lat 50. i rodzina zamieszkała w Warszawie.

Dla Jadwigi Staniszkis pierwszym doświadczeniem politycznym był marzec 1968 r., kiedy była doktorantem na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Reprezentowała drugą fazę marcowego buntu, kiedy już działacze związanych ze środowiskiem Adama Michnika zastąpili aktywiści drugiego i trzeciego szeregu. Aresztowano ją i przesłuchiowano, ale

w końcu została zwolniona. Wyrzucono ją z uczelni, jednak już w 1971 r. obroniła doktorat. Książka napisana na jego podstawie otrzymała prestiżową nagrodę dla najlepszych prac socjologicznych im. Stanisława Ossowskiego.

Dobrze знаła angielski, więc w 1979 r. jedno z amerykańskich wydawnictw zaproponowało jej napisanie książki o kolejnych rewoltach społecznych w PRL jako regulatorach istnienia systemu.

po latach, zrobiła to „na znak protestu przeciwko wpisaniu do tekstu porozumień gdańskich zapisu o kierowniczej roli PZPR w Polsce”. Jak wskazywała: „Komuniści byli gotowi odpuścić tę formułę, jak stało się to w Szczecinie. Wałęsa lub Mazowiecki obawiali się jednak, że to jakaś podpucha, i zgodzili się na to. To było surrealistyczne”.

Przez kolejne miesiące karnawału Solidarności wspierała kierownictwo

Królowa Jadwiga



Piotr Semka

Jadwiga Staniszkis będzie inspiracją dla ludzi, którzy potrafią wyrwać się ze stadnego myślenia, a jednocześnie wzorem, jak robić to elegancko, z klasą

Nic dziwnego, że po wybuchu strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Krzysztof Wyszkowski zadzwonił do niej do Warszawy, proponując, by przyjechała nad morze i weszła do zespołu ekspertów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Po latach we wspomnieniach śmiała się, że zadziwiła stoczniovców, przybywając na strajk w eleganckiej, letniej sukience w kwiaty. Ze swoją burzą blond włosów rzucała się w oczy w gronie tak szacownych doradców jak Tadeusz Mazowiecki czy Stefan Kurowski. Były to dla niej jedne z najpiękniejszych dni życia. „Uderzyła mnie atmosfera odświętności – wspominała potem. – Robotnicy odkryli język wartości uniwersalnych, byli gotowi ponieść dla tych wartości ryzyko”.

Pod sam koniec strajku opuściła jednak Komisję Ekspertów. Jak wyjaśniała

związku swoimi diagnozami, ale sama do polityki się nie pchała. Zawsze czuła się naukowcem. Opisała fenomen samoostrzegającej się rewolucji Solidarności w książce wydanej na Zachodzie. A potem zaczęły się coraz częstsze wyjazdy na wykłady w USA, Japonii czy na Tajwanie. Kultura Azji zachwycała ją i chętnie wracała do tamtejszych uczelni aż do końca swojej kariery naukowej.

KOT CHODZĄCY WŁASNYMI ŚCIEŻKAMI

Na początku lat 90., gdy Adam Michnik wręcz zahipnotyzował większość postsolidarnościowej inteligencji, pani Jadwiga zachowała niezależną pozycję. Miała własne kontakty na Zachodzie, nie musiała pilnować, by uzyskiwać jakieś referencje od szefa „Gazety Wyborczej”.

■ Zresztą zawsze miała dystans do środowiska rewizjonistycznej, lewicującej inteligencji. Po latach wspominała, jak w grudniu 1970 r. wyjechała do Anglii i odwiedziła w Oxfordzie dom marcowych emigrantów Włodzimierza Brusa i Heleny Wolińskiej. Gdy razem słuchali informacji w Wolnej Europie o wybuchu rewolty stoczniovców na Wybrzeżu i masakrze stoczniovców w Gdańsku i Gdyni, Wolińska rozpoczęła dywagacje, jak to wpłynie na nowe roszady w kierownictwie PZPR. Wyrzała satysfakcję, że wreszcie ekipa Gomułki tąpnęła i zapłaci cenę za marcową awanturę. Staniszkis wstrząsnął wówczas chłodny i czysto polityczny stosunek do wydarzeń na Wybrzeżu. „Przecież oni tam mordują ludzi. Tam giną stoczniovcy, o czym wy mówicie?” – ripostowała.

Ten dystans wobec środowiska „kondosów” przyczynił się do jej osobnej pozycji w establishmencie naukowym lat 90.

W połowie tamtej dekady Jadwiga Staniszkis zaczęła pracować nad swoim ważnym dziełem „Postkomunizm”. Gdy książkę wydano, wrażenie robiła już sama okładka – Stalin w nienagannym zachodnim garniturze bankiera. Postawiła wówczas tezę o istnieniu tzw. generacji 1984. Stwierdziła, że już w połowie lat 80. za zgodą Moskwy ekipa Jaruzelskiego przygotowywała młode elity do ewentualnej transformacji. Tacy ludzie jak Aleksander Kwaśniewski, Włodzimierz Cimoszewicz czy Józef Oleksy wysyłani byli na zachodnie stypendia, aby nawiązywać tam kontakty i prowadzić dialog z zachodnią socjaldemokracją.

Większość środowiska socjologicznego w Polsce nie miała ochoty na takie rozważania, ale Jadwiga mająca silną pozycję na Zachodzie mogła mściwie polemiki lekceważyć. Potrafiła mówić o podejrzanych korzeniach wielkich karier biznesowych, które sięgały styku biznesu i działalności PRL-owskich służb specjalnych. Rzadko mówiła o tym, że środowisko postkomunistów, które opisywała, potrafiło gniewnie reagować. Sam byłem świadkiem, jak w jednej z dyskusji w tamtych latach, reagując na kpiny, że jej rewelacje nic nie kosztują, w ripostę odpowiedziała: „Taki pan odważny? Być może dlatego, że nigdy w życiu nie dostał pan pogróżki, żeby uważać na siebie na peronie EKD w Podkowie (gdzie miesz-

kała), bo można być łatwo wepchniętym pod nadjeżdżającą kolejkę”.

Lata 90. to okres odkrywania postaci pani Jadwigi przez młodą generację, która czuła, że nowa III RP zbudowana jest na niejawnym sojuszu części posolidarnościowej Lewicy z dawnymi komunistami. Młodzi dziennikarze „Życia”, a potem „Faktu” i „Dziennika” z czasów Roberta Krasowskiego byli zachwyceni jej precyzją myśli i odwagą wizji. Z każdego wywiadu z nią wychodzili jak zaczarowani.

Staniszks bardzo zaciekał fenomen młodej generacji konserwatystów zwanych wtedy „pampersami”. Przez pewien czas wierzyła, że stworzą oni jakąś nową formację pod wodzą Wiesława Walendzia, że może być to nowa jakość w polityce. Czas boleśnie zweryfikował te nadzieje. Ale efekty kontaktów młodych konserwatystów z szacowną panią profesor były bardzo odświeżające dla obu stron.

Do polskiego Kościoła miała dystans, raził ją niekiedy „kościółkowy” przepych, ale z sacrum nigdy nie żartowała. Jej mąż, Michał Korzec, wychowany po wojnie w złaicyzowanym, protestanckim Amsterdamie, opowiadał mi, jak kiedyś rozbawił go prześmiewczy skecz z Janem Pawłem II w holenderskiej telewizji. „Nigdy nie widziałem Jadwigi tak zirytowanej jak wówczas – opowiadał mi kiedyś. – Rzadko czymś się oburzała. Zrozumiałem, że dla niej było to coś niezwykle osobistego”.

Zmianie nie ulegała wrogość wobec znanej socjolog ze strony liberalnego salonu. Okazja do intrygi zdarzyła się w styczniu 2005 r. Bronisław Wildstein wyniósł wtedy z IPN i ogłosił listę katalogu zasobów archiwalnych IPN, na której były nazwiska zarówno konfidentów, jak i osób, które były rozpracowywane przez bezpieczeństwo. Była to demonstracja Wildsteina na rzecz przyspieszenia ogólnej lustracji. „Gazeta Wyborcza” szybko rozpoczęła histerię, sugerując, że jest to lista, która w arbitralny, nieuczciwy sposób oskarża bez dowodów ludzi o bycie agentami SB.

Jacek Żakowski, który miał w tym czasie własny program w TVP „Summa zdarzeń według Jacka Żakowskiego”, zaprosił do niego Jadwigę Staniszkis, która właśnie wróciła do kraju i jeszcze nie знаła konkretów związanych z listą Wildsteina. Żakowski zasugerował, że została ona umieszczona na tej liście jako konfident, i w ten perfidny sposób skłonił ją do

Jadwiga Staniszkis, lata 90.

FOT. GRZEGORZ ROGINSKI/REPORTER





wrażenia swojej konsternacji. Zaskoczona Staniszkis mówiła w programie o swoim „szoku, wściekłości i poczuciu bezsilności”, co świetnie wpisywało się w technikę przedstawiania Wildsteina jako samozwańczego prokuratora. Dopiero po audycji Żakowskiego, gdy zorientowała się, jak została wykorzystana, wystąpiła w obronie Wildsteina, który za swój czyn został wyrzucony z redakcji „Rzeczpospolitej”.

Oprócz pisania socjologicznych analiz dotyczących polskiej polityki pani Jadwiga niekiedy bawiła się w polityczne prognozy. Niektóre były bardzo przenikliwe, a niektóre trafiały jak kulą w płot. Tak było, gdy np. komplementowała Sławomira Nitrasa jako młodego polityka Platformy wspierającego Jana Rokitę, w którym widziała przyszłego lidera tej formacji. Po 2005 r. trzymała kciuki za pierwszy rząd Prawa i Sprawiedliwości, choć nie ukrywała, że znacznie bliżej jej do Lecha Kaczyńskiego, którego poznała w Stoczni Gdańskiej

Przy tym całym zaangażowaniu w bieżącą politykę nie przedstawiała jednocześnie być osobowością, która nigdy nie dawała się do końca wyjaśnić

w sierpniu 1980 r., niż do jego brata Jarosława. Ale po tragedii smoleńskiej, bardzo zdecydowanie stanęła u jego boku i komplementowała go w czasie ówczesnej kampanii prezydenckiej.

Dla redakcji tygodnika „Do Rzeczy” pozostanie w pamięci także jako nasza felietonistka w latach 2015–2016.

Po 2015 r. drogi pani Jadwigi i PiS zaczęły się rozchodzić. Pani socjolog zaakceptowała zarzuty, że PiS przeprowadza swoją rewolucję zbyt szybko ze zbytnim lekceważeniem instytucji. Ale możliwości, że tragedia smoleńska może być zamachem, nie odrzucała do końca swojej aktywności.

Coraz chłodniejszy ton, w którym mówiła o PiS, tłumaczono karierą polityczną jej córki Anny w obozie Platformy. Samego Tuska jednak krytykowała jeszcze w październiku 2019 r. w wywiadzie dla *Wirtualnej Polski*. Mówiła krótko: „Nie trawię

Tuska, to cyniczny karierowicz”. Stopniowo jej zdrowie powoli zaczęło szwankować. Postępująca choroba Alzheimera odsuwała ją w cień przygasającego życia.

CZERWONA SZMINKA

Przy zaangażowaniu w bieżącą politykę nie przestawała jednocześnie być osobowością, która nigdy nie dawała się do końca wyjaśnić. Nic dziwnego, że była kimś, wokół kogo krążyły legendy. Na przykład o jej toksycznym związku w latach 60. z pisarzem Ireneuszem Iredyńskim. W wywiadzie rzece wydanym w nowym stuleciu potrafiła mówić o nim z całkowitą szczerością i szokującymi szczegółami. Niekiedy przeceniano jej pozycję, szeptano, że o jej analizy ubiegały się najważniejsze ambasadory zachodnie w Warszawie. Przeceniano jej ekscentryczność, snując legendę o jej rzekomym nawyku wsiadania do byle jakiego pociągu, aby tylko jechać przed siebie.

Ja ceniłem w niej coś innego. Coś w rodzaju dziecięcego zdziwienia, gdy stykała się z ludźmi, którzy z pełnym zaangażowaniem głosili ideologię zniewolenia lub politycznego cynizmu. Panią Jadwigę jakby dziwiło, że można służyć złu. Ale w reakcji nie oburzała się, nie sypała klątw, tylko patrzyła ze zdziwieniem, jakby ze współczuciem.

Po jej śmierci doszło do ciekawej polemiki. Maciej Gdula, wiceszef resortu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego w obecnym rządzie Donalda Tuska, żegnając Staniszkis na łamach lewicowej *Krytyki Politycznej*, napisał: „Chciałbym, żeby na współczesnym uniwersytecie było miejsce na postacie podobne do Staniszkis. Nonkonformistyczne, programowo nienakierowane na poklask i mające odwagę eksperymentować”. Na słowa Gduli zareagował publicysta Rafał Woś: „Problem w tym, że środowisko Maćka Gduli i »KryPolu« w praktyce robi coś dokładnie odwrotnego. Inaczej myślący są z ich otoczenia notorycznie wypychani za brak odpowiednich poglądów”.

I na tym, jak sądzę, polegać będzie twórcza pamięć o „Królowej Jadwidze”. Będzie ona inspiracją dla ludzi, którzy potrafią wyrwać się ze stadnego myślenia, a jednocześnie wzorem, jak robić to elegancko i z klasą. Z tym nieuchwytnym prestiżem, który powodował, że nawet jej wrogowie wiedzieli, że jest kimś wyjątkowym.



Antoni Macierewicz
prezentuje raport z prac
podkomisji smoleńskiej,
11 kwietnia 2022 r.

FOT. PIOTR MOŁĘKO/EAST NEWS

Osiem lat wodzenia za nos

Wkrótce ujawnimy nowe nagrania załogi tupolewa, które dotąd nie były znane – deklarował Antoni Macierewicz w 2016 r. Rzeczonych nagrań do dzisiaj nie opublikowano. To tylko jeden z przykładów tego, jak szef podkomisji smoleńskiej traktował polską opinię publiczną, a także obraz tego, jak PiS zaczął z biegiem lat instrumentalnie wykorzystywać tragedię smoleńską dla politycznych zysków i budowy mitu.

Samo pojęcie „mitu” nie ma tu zresztą wydźwięku pejoratywnego. To oczywiste, że nowoczesna, masowa polityka opiera się na mitach – wielkich narracjach symplifikujących złożone procesy i wydarzenia. Mit smoleński tymczasem stanowił ważny składnik tożsamości PiS po 2010 r. To, że był on oparty na prawdziwej tragedii oraz kompromitujących poczynaniach ówczesnego rządu Donalda Tuska, sprawiał, że miał on w sobie tak wielką moc – scementował PiS, niemal przyniósł Jarosławowi Kaczyńskiemu zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2010 r., a następnie dał politykom partii poczucie uczestnictwa w wielkiej misji. Po tragedii w Smoleńsku nie chodziło już wyłąc-



Jan Fiedorczuk

Przez osiem lat politycy PiS wodzili Polaków za nos w sprawie katastrofy smoleńskiej. Napływające nowe informacje na temat prac podkomisji Antoniego Macierewicza wskazują, że nie tylko niczego nie wyjaśniono, lecz także skompromitowano temat śledztwa oraz hipotezę zamachu

nie o zdobycie władzy, ale o dotarcie do prawdy oraz godne upamiętnienie zmarłych przyjaciół.

Z czasem jednak opowieść o wielkiej narodowej tragedii została zastąpiona teorią zamachu i antypolskiego spisku. Teraz – po 14 latach od katastrofy prezydenckiego tupolewa oraz po ośmiu latach samodzielnych rządów Jarosława Kaczyńskiego, gdy to PiS miał w rękach wszelkie narzędzia do wyjaśnienia tragedii – prezes partii brnie dalej w narrację o zamachu na polskiego prezydenta, mimo że podkomisja smoleńska Antoniego Macierewicza nie tylko niczego nie wyjaśniła, lecz także skompromitowała całe śledztwo. Najnowsze doniesienia

w tej sprawie stawiają byłą władzę w wyjątkowo niekorzystnym świetle.

MANIPULOWANIE FAKTAMI

Kilka miesięcy temu dziennikarze TVN24 informowali, że Antoni Macierewicz ukrywał wyniki zamówionej przez podkomisję analizy amerykańskiego Narodowego Instytutu Badań Lotniczych (NIAR) z Uniwersytetu Stanowego w Wichita w stanie Kansas. Z badań ekspertów miało jasno wynikać, że w Smoleńsku nie doszło do wybuchu, a skrzydło samolotu mogło odpaść w wyniku uderzenia w brzozę. Sam polityk stwierdził w odpowiedzi, że dziennikarze starali się zaatakować komisję, a Władimir Putin

„byłby bardzo zainteresowany” owocami ich pracy. Podpięta pod państwową kropelówkę podkomisja wydała na analizę NIAR 8 mln zł. Ogólnie jej prace kosztowały podatników ponad 30 mln zł.

Pomimo nawarstwiających się wątpliwości co do jakości prac zespołu Antoni Macierewicz skrupulatnie zaostrzał język, aby sięgnąć apogeum 10 kwietnia br., gdy przekazał, że złożył wniosek do Prokuratury Generalnej przeciwko Donaldowi Tuskowi, którego to de facto oskarżył o zamach i zamordowanie polskiego prezydenta i 95 innych uczestników feralnego lotu.

Ten spór odbywa się w tle głośniejszej sprawy prokuratora Krzysztofa Schwartza, który w programie TVN24 zdecydował się opowiedzieć o kulisach prac podkomisji smoleńskiej. Schwartz był szefem powołanego siedem lat temu przez ówczesnego prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę Zespołu Śledczego nr 1, który miał wyjaśnić przyczyny katastrofy. Z jego słów wynika jasno, że Macierewicz manipulował faktami i mimo że z dowodów zebranych przez zespół wynikało, że do żadnego wybuchu na pokładzie prezydenckiego samolotu nie doszło, szef podkomisji smoleńskiej prezentował jedynie te materiały, które uwiarygadniały jego opowieść o zamachu i antypolskim spisku.

Można się zżymać, że Schwartz nabrał odwagi na zwierzenia właśnie teraz, kilka miesięcy po zmianie władzy, że wybrał do tego akurat TVN, są to jednak sprawy bez większego znaczenia. Sama prokuratura, jeszcze pod rządami nominatów poprzedniej władzy, w oficjalnych dokumentach wskazywała na dokonywaną przez podkomisję „wybiórczą interpretację” danych z analiz ekspertów. Macierewicz tymczasem przekonuje, że prokuratura dysponuje dowodami na zamach, tylko je ukrywa przed opinią publiczną. Jednak również byli członkowie podkomisji, którzy musieli się z nią rozstać, gdy sprzeciwili się teorii zakładającej wybuch bomby na pokładzie samochodu, nie zostawiają na pracy Macierewicza suchej nitki. – Przed członkami podkomisji ukrywano ekspertyzy – mówi jeden z nich, Marek Dąbrowski. – Byliśmy długopisami, mieliśmy podpisać się pod raportem bez względu na to, co on będzie zawierał – dodaje w programie „Czarno na białym”. Wiesław Chrzanowski, kolejny z byłych członków podkomisji, przyznaje

wprost, że materiały, które nie pasowały do tezy o zamachu, były po prostu odrzucane. Ostatecznie mało kto mógł być zadowolony z prac podkomisji, a audytu z ośmiu lat jej działalności zaczęły domagać się rodziny smoleńskie, w tym te powiązane ze środowiskiem PiS – Magdalena Merta, Małgorzata Wassermann czy Jadwiga Gosiewska.

Zresztą sprawa podkomisji, która skompromitowała śledztwo, to tylko jeden z wielu punktów świadczących o tym, że PiS przez lata wodził Polaków za nos w sprawie Smoleńska. Dla przykładu: Jarosław Kaczyński dość szybko po katastrofie nabył przekonania, że tylko teoria wybuchu może wytłumaczyć to, do czego doszło w Smoleńsku, gdy jednak w 2015 r. zbliżały się wybory, prezes PiS zaczął tonować swoje stanowisko, ograniczając się do ogólnikowych stwierdzeń, że należy „dążyć do prawdy”. Ten schemat powtarzał się następnie regularnie – mocne tezy rzucane w czasie pomiędzy wyborami i łagodzenie przekazu, gdy na horyzoncie zaczynała majaczyć kolejna kampania. W maratonie wyborczym w latach 2018–2020 właściwie kwestia zamachu zniknęła z przestrzeni publicznej. Był nawet czas, gdy sam Kaczyński dystansował się od Macierewicza. W kwietniu 2018 r., podczas pierwszej rocznicy katastrofy po usunięciu Macierewicza ze stanowiska MON, prezes PiS mówił o całych latach prowadzenia „różnego rodzaju eksperymentów”. Eksperymentów – jak dodawał – „czasem udanych, czasem nieudanych, różnych hipotez, potwierdzanych i niepotwierdzanych”.

KONIEC MITU

Mit smoleński był budowany na realnej tragedii, na prawdziwych emocjach i dlatego okazał się tak silny. Umacniały go insynuacje, że pilot był pijany, że to prezydent Kaczyński kazał lądować albo że to prezes PiS przez telefon wymusił lądowanie. Mit umacniały działania rządu Donalda Tuska, który wbrew polskiej racji stanu oddał śledztwo Rosjanom, mit umacniały antypisowskie media, które z każdego, kto podnosił hipotezę zamachu, robiły wariata. To wszystko dawało PiS paliwo i spajało narrację o tym, że w sprawie Smoleńska nie mówi się Polakom całej prawdy. Z czasem jednak tę opowieść, która miała wymiar bardziej

godnościowy niż spiskowy, przerobiono w historię paktu Tusk-Putin i antypolskiej zмовы wrażliwych sił. Szczególnie po inwazji Rosji na Ukrainę zabrakło miejsca na jakiegokolwiek subtelnosci. – To był zamach Putina. Co do udziału innych, no to może to jest przed nami, byśmy do końca o tym wiedzieli – mówił Jarosław Kaczyński podczas ostatnich obchodów katastrofy przed Pałacem Prezydenckim. Następnie prezes PiS wezwał swych zwolenników do walki z „koalicją 13 grudnia”, co wydaje się być jasną wskazówką, jak widzi on dalszy rozwój mitu smoleńskiego. Tak jak przez lata „dążono do prawdy”, aby dowieść, że to Putin zamordował Lecha Kaczyńskiego, tak teraz będzie się dążyć do prawdy o współnikach rosyjskiego przywódcy.

Sama opowieść o tragedii smoleńskiej przestała już odgrywać rolę mitu, wielkiej historii bazującej na realnym pocuciu straty i niesprawiedliwości. Kierownictwo PiS przez osiem lat miało wszelkie możliwości, by wyjaśnić tragedię, ale zamiast rzetelnego śledztwa i wskazania konkretnych zaniedbań polskich władz wolano zainwestować całą energię w skrajną wersję o zмовie Tuska z Putinem.

W ustalenia podkomisji nie wierzy zresztą chyba nawet kierownictwo PiS. Bo gdyby było inaczej, gdyby 96 przedstawicieli polskiej elity na czele z prezydentem Polski zostało zamordowanych przez Rosję, a państwo miało na to dowody, to co ówczesne władze zrobiły z tą wiedzą? Dlaczego nie zawiadomiono sojuszników z Waszyngtonu? Dlaczego nie wezwano na pomoc przyjaciół z NATO? Gdy Macierewicz ogłaszał raz po raz, że zamach nie jest hipotezą, tylko faktem, to władze państwa pozostawały totalnie bierne. Co robił wicepremier do spraw bezpieczeństwa? Być może zamiast snuć opowieść o spisku, należało przynajmniej podjąć próbę odzyskania wraku? Tymczasem nie tylko takiej próby nie podjęto, lecz także podobno nawet tych nielicznych części samolotu, którymi dysponuje Polska, nie potrafiono prawidłowo zabezpieczyć. Nowe kierownictwo MON przekazało niedawno, że podkomisja smoleńska doprowadziła przez lata do zniszczenia i zagubienia 23 fragmentów tupolewa. Jeżeli te doniesienia okażą się prawdą (co wszak pewnie nie jest), to skala kompromitacji będzie wręcz nieprawdopodobna.

Konsekwencje strachu przed wojną



Przy granicach z Białorusią i Ukrainą przyroda jest wspaniała, ale strach przed wojną odpycha turystów i potencjalnych mieszkańców FOT. ADOBE STOCK



Łukasz Zboralski

Czy wojna tocząca się tuż za granicą Polski odstrasza ludzi od województw na ścianie wschodniej? Turysty już zaczęli omijać te strony. Niektórzy się nawet wyprowadzają, a na ich mieszkania chętni nie ustawiają się w kolejkach

Pierwszy szok mamy dawno za sobą. Dwa lata temu wszyscy zamarli, gdy usłyszeli, że Rosjanie napadli na Ukrainę. Bo gdy rozpoczyna się wojna, nikt nie wie, jak szybko i jak mocno taki konflikt się rozleje na kontynencie. Oczywiście najbardziej zagrożeni poczuli się mieszkańcy województw sąsiadujących z Ukrainą i Białorusią.

Dwa lata nieustannych walk powodują, że strach nieco blednie. Jednak

nie wygasa. Wciąż obawiamy się Rosji, a analitycy i politycy nie pozwalają nam zapomnieć o tym, że na froncie niewiele się zmienia. Nikt nie jest w stanie orzec, jak zakończy się wojna na Ukrainie. Wiele jest za to przekonanych o tym, że Putin nie będzie chciał się zatrzymać tylko na tym kraju – już pomijając to, jak szybko po ewentualnym połknięciu Ukrainy jego żołnierze pomaszerują dalej.

Czy to wszystko wpływa na życie Polaków? Oczywiście, że tak. Widzimy

to w wielu obszarach. Jednym z nich jest ten dotyczący obrony narodowej i zasobów polskiej armii. Jak wskazywał w niedawnej rozmowie z „Do Rzeczy” Mariusz Cielma, redaktor naczelny „Nowej Techniki Wojskowej”, wspierając Ukrainę, praktycznie wypatroszyliśmy nasze magazyny z amunicji, sprzętu wojskowego mieliśmy tyle, co kot napłakał, a wielkie ostatnie zakupy to odległe terminy realizacji. No i na to wszystko musimy wydawać gigantyczne pieniądze, które w spokojnych czasach moglibyśmy przeznaczyć na inne potrzeby (choć paradoksalnie to spokojne czasy, jak pokazuje doświadczenie, są najlepszym momentem, by się zbroić).

Wojna na granicach to też realne wydatki, które ponoszą wszyscy podatnicy, a które płyną do dużej grupy uchodźców przybyłych nad Wisłę. Żeby wspomnieć tylko choćby program „800+” oferowany także ukraińskim rodzicom.

Wreszcie to koszty lokalnych samorządów, które musiały np. pomieścić w szkołach obcokrajowców.

Jednak wojna wpływa na nas w jeszcze inny sposób. Strach przed poszerzeniem się konfliktu zmienia życie zwłaszcza w województwach, które graniczą z Ukrainą i Białorusią, i wpływa zarówno na turystykę, jak i – zdaje się – na chęć osiedlania się na przygranicznych terenach.

ODPŁYW TURYSTÓW

Od jakiegoś czasu w Internecie pojawiały się dyskusje o problemach osób działających w branży turystycznej w pobliżu ukraińskiej granicy. Czas przed majówką był dobrym momentem, by próbować to zweryfikować. Sprawdziliśmy, jak dużego obłożenia spodziewają się na majówkę m.in. pensjonaty i gospodarze agroturystyki na Podkarpaciu. O ile Bieszczady wydają się jeszcze wciąż dość odporne na tego rodzaju zawirowania, o tyle w innych miejscach spustoszenie wojennym strachem jest już gigantyczne.

– Ach, proszę pana, w innych czasach to już dawno mieliśmy rezerwacje majówkowe. Teraz ich nie ma za dużo – wzdycha Mieczysław Narożnowski, właściciel Pokoi Gościnnych Jantar w Przemyślu. Jest wyraźnie rozgoryczony. – Dzisiaj to każdy się boi przyjeżdżać. Boją się ludzie wojny – przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Obecnie to głównie firmy wynajmują tu, w naszych okolicach, miejsca noclegowe, bo firmy to przyjeżdżają zawsze – dodaje.

W swojej opinii nie jest odosobniony. – Na pewno przed wojną więcej Polaków tu do nas na wypoczynek przyjeżdżało. Dużo ich było – mówi nam pracownik jednego z pensjonatów z powiatu przemyskiego. – Dziś jest zupełnie inaczej. Na szczęście nie jest tak, że ludzi w ogóle nie ma. Są, tylko to nie są rodacy. Mamy do czynienia z zupełnie innym ruchem. Zjawiają się tu Ukraińcy, którzy pracują w Polsce lub innym kraju Europy, a do nich przyjeżdżają w odwiedziny żony. Takie miejsce spotkał.

Przedstawiciele całej branży są oszczędniejsi w słowach. W Podkarpackiej Regionalnej Organizacji Turystycznej słyszymy, że nie sposób komentować jednostkowych opinii, a danych dotyczących ruchu turystycznego za ostatni okres jeszcze nie ma. Jest za to „Raport 2023

z badań ruchu turystycznego w województwie podkarpackim”. A z niego wieje chłodem. Liczby najpierw pokazują gigantyczny spadek turystycznych wizyt w pandemicznym roku 2020 (to było cofnięcie branży w tym województwie o dekadę). Ówczesna prognoza na rok 2023 była też niepokojąca. „Ostateczne oficjalne wyniki GUS są bardziej pesymistyczne niż przygotowana rok wcześniej prognoza – prognozowany spadek o co najmniej 26 proc. względem oficjalnych, urzędowych 45 proc. odnotowanych przez GUS” – czytamy w dokumencie.

Problemy ma obecnie ok. 15-kilometrowy pas Polski przy granicy z Ukrainą. Na przykład w Przemyślu ubyłoby polskich turystów, zamiast nich zjawiają się Ukraińcy

Według Money.pl pracujący w branży turystycznej mają też decydować się coraz częściej nawet na sprzedaż swoich nieruchomości.

TAM, GDZIE SPADAJĄ RAKIETY

Czy rzeczywiście strach przy granicy jest tak duży, że ludzie nie bardzo chcą tam zamieszkać? – Wydaje mi się, że to się trochę na szczęście zmieniło. Jeszcze rok temu był taki okres, że ludzie wstrzymywali się z zakupami nieruchomości. Powodem była ogromna niepewność sytuacji. Były różne ruchy koło polskiej granicy, był taki pas wręcz niedostępny dla cywilów – mówi „Do Rzeczy” Rafał Pańczyna z Tomaszowskiego Biura Nieruchomości w Tomaszowie Lubelskim. Zaraz dodaje jednak, że wciąż są takie miejsca, z których po rozpoczęciu wojny na Ukrainie ludzie częściej się wyprawdzają, a nieruchomości dużo trudniej sprzedać. – To taki 15-kilometrowy pas przy granicy. Na przykład okolice Machnowa koło Hrebenego – opisuje Pańczyna. – Do dziś mam takie mieszkanie w Przewodowie na sprzedaż, które ma 87 mkw. i cenę 35 tys. zł, a zupełnie nie ma nim zainteresowania – przyznaje.

Strach przed zamieszkaniem w Przewodowie jest chyba najbardziej realny ze wszystkich uprzedzeń. 15 listopada 2022 r. w tej wsi w gminie Dołhobyczów doszło do wybuchu w suszarni zboża.

Pracowali tam dwaj mężczyźni. Zginęli. Szybko okazało się, że na budynek spadł pocisk przeciwrakietowy typu S-300 rosyjskiej produkcji. Jak wskazywała później „Rzeczpospolita”, powołując się na ustalenia prokuratorskiego śledztwa, była to najprawdopodobniej rakietą ukraińskiej obrony przeciwlotniczej.

Sprawdzaliśmy, jak sprzedają się obecnie nieruchomości w województwie podkarpackim, w okolicach Ustrzyk Dolnych. O tych sprawach ludzie rozmawiają niezbyt chętnie. – Wie pan, to jest teraz bardzo delikatny temat – usłyszeliśmy od

jednego z pośredników, który zastrzegł, by nie podawać jego nazwiska. Dlaczego „delikatny”? – Wiadomo, dlaczego, bo jest wojna – odpowiada. I dodaje: – To, co jest prawdą, to wysyp ofert na rynku. Jednak naprawdę trudno o dokładną analizę. Bo wiele z tych ofert to nowo wybudowane mieszkania. Nie zakładam więc, że można tu dostrzec tak silny trend wyzbywania się nieruchomości. To, co jest zauważalne, to to, że ludzie częściej teraz kupują już zabudowania niż grunty. No i ceny są nadal wysokie, rynkowe, spadku cenowego nie widać.

Niczym zaskakującym dla ekspertów od nieruchomości nie są dziś pytania klientów o to, czy działka lub dom nie sąsiadują aby z żadną bazą wojskową. Z kolei Zdzisław Hułas, starszy Cechu Rzemiosł Różnych i Drobnej Przemysłowości w Biłgoraju na Lubelszczyźnie, przyznawał portalowi Money.pl: „Z jednej strony uciekać specjalnie nikt nie ucieka, ale z drugiej wzrosła liczba sprzedawanych nieruchomości w regionie. Chodzi nie tylko o działki budowlane, lecz także o same budynki, które dotąd absolutnie były »nie na sprzedaż«”.

W Biłgoraju widoczne ma być też coraz większe zainteresowanie mrowianymi piwniczkami. Te ludzie mogą chcieć mieć na działce, by w razie potrzeby służyły im jako forma schronu.

Już dawno nie lalki, klocki, rysunki, plac zabaw czy choćby rówieśnicze interakcje, ale kremy, podkłady, tusze i toniki. Najnowsze, najdroższe, promowane przez influencerów, takie, którymi można pochwalić się w mediach społecznościowych. „Pokolenie Sephora” to termin określający specyficzną, rosnącą grupę konsumentów, zostawiających w luksusowych drogeriach niemałe pieniądze. Chodzi o osoby z pokolenia Alfa, czyli te urodzone po 2010 r., których głównym zainteresowaniem jest makijaż, a ulubioną metodą na spędzenie wolnego czasu – buszowanie po sklepach z kosmetykami.

TIKTOKOWY TREND

O zjawisku zrobiło się głośno najpierw (jak zawsze w przypadku tego rodzaju społecznych trendów) w USA. Platformę TikTok zalała fala nagrań ukazujących zachowanie już nawet 10-letnich dziewczynek w drogeriach. Z jednej strony filmiki budzą niepokój ze względu na niekulturalne zachowanie nieletnich klientek. Potrafią otworzyć produkt (nieprzeznaczony do testowania), nałożyć trochę na twarz lub rozsmarować na półce i po prostu zostawić go odkręconego na miejscu. Chodzą po sklepie grupami i potrafią być bardzo nieprzyjemne dla pracowników. Niekiedy robią to dla rozumianej w specyficzny sposób zabawy, a czasem dlatego, że mają na sponsorowanej przez rodziców karcie na tyle dużo, by zostawić przy kasie nawet kilkaset dolarów – kasjerka zagryza zęby, bo przecież klient (nawet 10-letni) nasz pan. Drugi wymiar to ten bardziej kulturowy, pokazujący, jak ogromnie różni się pokolenie Alfa od swojego poprzednika, czyli pokolenia Z. „Zetki”, które same niemal całkowicie żyją w świecie wirtualnym, nabijają się z „alf” i ich chęci zaistnienia na Instagramie lub TikToku dzięki kupionym za pieniądze rodziców kosmetykom.

Stefanie Eadie, mama 10-latk z Florydy, mówi „People Magazine”, że zmierzyla się z falą krytyki ze strony „zetek” po tym, jak pokazała na TikToku, jak wraz z córką odwiedzają Sephorę.

– Moja córka i jej przyjaciółki uwielbiają Sephorę. Lubią robić sobie makijaż i zawsze chcą tam iść. Tak się złożyło, że zabrałam je tego dnia, ale nie miałam pojęcia, o co chodzi z Sephorą. Fakt, że

Dziewczynki z drogerii



Zuzanna Dąbrowska

Czy 10-latka potrzebuje drogiego kremu na zmarszczki? Albo wszystkich kosmetyków z najnowszej kolekcji Seleny Gomez? I skąd ma na to pieniądze? „Pokolenie Sephora” to zjawisko, które nie dotyczy już tylko USA



opublikowałam film, był tylko zbiegiem okoliczności – tłumaczy. – Czaasy się zmieniają, fascynacje są inne. Wszyscy mieliśmy własne zainteresowania, gdy mieliśmy 10 lat, ale teraz mamy Internet i media społecznościowe. Osobiście nie pozwalałam dzieciom, by z nich korzystały, mogły oglądać jedynie zatwierdzone przeze mnie kanały YouTube. A tam królują trendy typu „przygotuj się ze mną” i zakupy, niezależnie od tego, czy chodzi o ubrania, makijaż czy cokolwiek innego – przekonuje Eadie.

Innego zdania jest 16-lletnia Ellie, która opowiada w rozmowie z „Teen Vogue”, że zobaczyła w swojej lokalnej drogerii 11-letnią dziewczynkę, wyciskającą krem nawilżający z butelki testowej i zostawiającą go na blacie. – Nawet nie wypróbowała tego produktu. Po prostu narobiła bałaganu bez powodu. A ja na to: dlaczego jest tu tak dużo dzieci? – pyta oburzona nastolatka w swoim TikToku. Komentujący nagranie internauci w większości podzielają oburzenie. Jedna z osób stwierdziła, że „w jej wieku do mycia twarzy używała tylko wody”, a inna, że „jako 10-latką interesowała się tym, ile chrupków Cheetos zmieści naraz w ustach”.

Nie wszyscy jednak widzą w zainteresowaniu dzieci kosmetykami coś niepokojącego. Gina, 32-letnia matka, opublikowała nagranie ze swoją czteroletnią córką (sic!), z którą wybrała się do Sephory. „Małe dziewczynki chcą po prostu być takie jak ich mamy, to urocze i zabawne, przestańcie być nieemiłe wobec młodszych dziewcząt” – apeluje do nastolatek, które głośno wyrażają zniechęcenie zachowaniem „alf”.

W wywiadzie dla „Teen Vogue” sprzeciwiła się krytykowaniu rówieśnic swojej córki zainteresowanych makijażem. „Bądźmy otwarci. Po prostu pozwólmy im mieć swoje zainteresowania. Żyj i pozwól żyć – postuluje matka. – Pamiętam, że jak większość młodych dziewcząt chciałam naśladować starsze. Chciałam ogolić nogi i nałożyć makijaż, na długo zanim uznaje się to za stosowne [...]. Pamiętam też moje marzenia o dorosłości i chęci bycia jak Britney Spears. Oburzenie wobec 10-latek z Sephory wydaje się być kolejnym sposobem, w który osądzamy i zawstydzamy młode dziewczyny, ograniczając ich dziewczęcość i uznając

Sieć aptek w Szwecji wprowadziła ograniczenia wiekowe przy zakupie kremów przeciwzmarszczkowych

ich pragnienia za głupie lub niepotrzebne” – dodaje.

Dziesięcioletnia Emma, która uwielbia odwiedzić w drogerii i pokazywanie później w mediach społecznościowych nowych nabytków, nie kryje smutku z powodu fali krytyki, z którą spotyka się w sieci. Podkreśla, że ona nigdy nie zachowuje się podczas wizyt w Sephorze w sposób niekulturalny. Irytuje ją dorośli, którzy twierdzą, że w jej wieku interesowały ich tylko lalki Barbie i jednorożce. – Jestem nowym pokoleniem – podkreśla Emma. Przyznaje, że marzy o byciu pełnoprawną influencerką – chciałaby otrzymywać darmowe paczki PR od dużych marek, aby potem pokazywać je w Internecie. Dziewczynka mówi, że dzięki sięganiu po kosmetyki dla dorosłych kobiet choć przez chwilę czuje, że uczestniczy w tym „lepszym” świecie. Emma zapewnia jednocześnie, że dla niej to po prostu przede wszystkim dobra zabawa.

OSTRZEŻENIE DLA RODZICÓW

Zabawa, która przybierając masową skalę, staje się trendem. Według socjologa Marka McCrindle’a (ukuł pojęcie „pokolenie Alfa”) już teraz wywiera on wpływ na markę, a zwłaszcza konsumencie „alf” wkrótce zrewolucjonizują wiele dziedzin. „Do 2029 r., kiedy najstarsi przedstawiciele pokolenia Alfa osiągną dorosłość, a najmłodszy skończą pięć lat, ich wpływ do gospodarki wyniesie ponad 5,46 bln dol.” – wskazuje w swojej analizie. McCrindle zaznacza, że firmy, znając te dane, już dziś biorą pod uwagę przyszłą generację konsumentów. Co istotne, część z nich – te z bogatszych domów – już teraz dysponuje zasobami finansowymi, które pozwalają na zakup drogich kosmetyków.

W czasie, gdy marki kosmetyczne liczą aktualne i prognozują przyszłe zyski, rodzice – nie tylko amerykańscy – powinni wzmocnić czujność. Po pierwsze, uzależnienie

nie od poklasku w sieci oznacza skrajnie destrukcyjne dla młodej psychiki budowanie poczucia własnej wartości na liczbie polubień i pozytywnych komentarzy. Nie jest to odpowiednia podstawa dla kształtowania silnej, niezależnej osobowości. „Influencerzy w mediach społecznościowych poszerzają swoją grupę docelową, więc istnieje duża presja, aby dzieci dopasowywały się i sprawdzały, co jest modne, aby czuć, że nadążają za rówieśnikami” – powiedziała Ustoday.com Sonia Rodrigues, psychoterapeutka i szefowa działu do spraw usług dla dzieci i młodzieży w ośrodku zdrowia behawioralnego na Uniwersytecie Rutgersa w New Jersey.

Po drugie, sklep kosmetyczny nie powinien być miejscem, w którym 10-latką spędza po szkole i w weekendy długie godziny. O ile wycieczka raz na jakiś czas nie jest niczym nagannym, o tyle marnowanie przez dziecko wolnego czasu na snucie się po galerii handlowej nie wystawia rodzicom najlepszego świadectwa.

Po trzecie, dziewczynki często sięgają po produkty, które są być może odpowiednie dla ich dorosłych matek czy starszych sióstr, ale z pewnością nie dla nich samych. W Szwecji „szturm” dzieci na drogerie przybrał tak dużą skalę, że największa sieć aptek w kraju, Apotek Hjärtat, wprowadziła ograniczenia wiekowe przy zakupie kremów przeciwzmarszczkowych i innych preparatów o działaniu odmładzającym. Inne poszły w jej ślady. „Społeczeństwo szwedzkie jest bardzo, bardzo zamerykanizowane i wszystko, co pojawia się na amerykańskim Instagramie i TikToku, bardzo szybko staje się częścią szwedzkiej codzienności. Dokładnie to zdarzyło się z tym trendem, gdzie młode nastolatki smarują się tysiącami aktywnych substancji, nie wiedząc o tym, że nie potrzebują ich i mogą sobie zaszkodzić” – mówi w wywiadzie dla portalu Aptekarski.com Aleksandra Dziewulska, Polka pracująca w jednym z oddziałów szwedzkiej sieci aptecznej. Wprowadzono tam zakaz sprzedaży preparatów przeciwstarzeniowych osobom poniżej 15. roku życia. „Ograniczenie wiekowe przy sprzedaży niektórych produktów ma być wsparciem, żeby pokierować rodziców i młodych konsumentów na właściwy tor przy wyborze produktów, które będą odpowiednie dla młodej skóry” – wyjaśnia Dziewulska.



Kadr z filmu „Civil War”
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Dwa końce świata



Piotr Gociek

**„Civil War” kontra „Fallout”:
kto zniszczy Amerykę – trumpiści
czy kapitaliści?**

Grana przez Kirsten Dunst reporterka wojenna Lee Smith wyklada moral filmu „Civil War” wprost. „Za każdym razem, gdy uchodziłam cało ze strefy wojny, sądziłam, że wysyłam do domu ostrzeżenie: nie czyńcie tak. A jednak stało się”. Mówiąc biskupem Ignacym Krasickim: „Chłopcy, przestańcie, bo się źle bawicie!”. Tylko tyle? Znam lepsze sposoby wydania 50 mln dol. A jednak się stało.

Alex Garland nakręcił film idealnie kwalifikujący się do ukochanej przez Hollywood kategorii „pretensjonalny film na ważny temat”. Ale – jak celnie zauważyła Stephanie Zacharek w recenzji na łamach tygodnika „Time” – jest różnica między filmem głębokim a takim, który tylko usilnie próbuje nas o tym

przekonać. Garland próbuje z całych sił, a mimo to wychodzi mu film, który jest unikiem. Sam zresztą w wywiadach się kryguje i w unik ucieka: nie, nie chodziło mu o polityczną lekcję, chciał opowiedzieć o odpowiedzialności dziennikarzy za to, co widzą. Oczywiście to sprawa istotna. Szczególnie w strefie wojny: być beznamietnym świadkiem? Relacjonować czy współuczestniczyć? Widząc oczywiście zło, może jednak próbować nieznacznie popchnąć języczek wagi? Co pokazać, a czego nie? Czy będzie to cenzura czy dbałość o wrażliwość widza, a może manipulacja?

Tyle tylko, że filmów o dziennikarzach i fotoreporterach na wojnie widzieliśmy już wiele, a nową wojnę domową w USA na taką skalę widzimy po raz pierwszy. W nieodległej przyszłości część stanów buntuje się przeciw prezydentowi, który przyznał sobie prawem kaduka trzecią kadencję. Wszystkie strony konfliktu sięgnęły po broń (nie jest to trudne w Stanach Zjednoczonych). Widzimy więc na ekranie bombardowania, samobójcze zamachy, obozy dla uchodźców, egzekucje na cywilach itd. Grupa reporterów z Lee Smith na czele wędruje zaś do

Waszyngtonu, by być świadkami szturmów na Białą Dom i zniszczenia Kapitolu.

NA WOJNACH NIE MA SYMETRYZMU

Kto jest winien? Część zachodnich recenzentów ma pretensje do Garlanda, że nie wskazał wprost na zagrożenie; domyślał się, że najchętniej widzieliby prezydenta dyktatora jako figurę o blond włosach i marchewkowej cerze. Zatem unik pierwszy: o co właściwie toczy się gra i kto do kogo ma pretensje? Są i recenzenci, którzy chwala, że to „uniwersalna opowieść o okropieństwach wojny”. Niby tak, ale na wojnach nie ma symetryzmu. Można nakręcić film o tym, jaką wielką tragedią jest śmierć cywilów pod bombami wroga, ale jednak opowieść o Warszawie bombardowanej we wrześniu 1939 r. i Berlinie bombardowanym we wrześniu 1944 r. to dwie zupełnie różne opowieści, prawda?

Alex Garland chowa się za fałszywym symetryzmem: tu niby pravicowy i zachowany w strzelbach Teksas podnosi broń, ale wraz z Kalifornią, w której lewicowe szaleństwo zatacza najszerze kręgi. Serio? Czy sojusz florydzki z kolei ukuty został



Kadr z serialu „Fallout”
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przez desantisowców czy ich przeciwników? Słyszymy o „masakrze Antify”, lecz nie dowiadujemy się, czy to Antifa kogoś zmasakrowała czy sama była mordowana. I tak dalej. Pozostaje więc mgła wojny i ogólne ostrzeżenie: nieładnie, oj nieładnie. Tymczasem każda wojna jest o coś i aby ją zrozumieć, trzeba wiedzieć o co.

Garland jest bardzo zręcznym reżyserem (wspomnijmy „Ex Machine” czy „Anihilację”) i gra tak, by widz mógł sobie, w zależności od poglądów, zdanie wyrobić sam. Efekt jest taki, że powaga ustępuje spektaklowi, a głębia – wspomnianej pretensjonalności. Kto zaś widział kilka tygodni temu w polskich kinach wstrząsający dokument „20 dni w Mariupolu” o prawdziwych dziennikarzach relacjonujących prawdziwą wojnę, ten mógłby nawet pomyśleć – mnie przemknęła taka myśl przez głowę – że ta zabawa efektami specjalnymi jest w obliczu rosyjskich ostrzałów po prostu niemoralna.

Tymczasem widzom to nie przeszkadza i „Civil War” triumfalnie kroczy przez ekrany świata. Jak informuje polski dystrybutor, nad Wisłą w weekend otwarcia film Garlanda obejrzało ponad 40 tys. widzów i był to najlepszy wynik tygodnia. Śmiem twierdzić, że jeszcze więcej musiało obejrzeć w serwisie Amazon Prime inną wersję zagłady Ameryki, czyli serial „Fallout”.

Opowieść inspirowana jest serią popularnych gier wideo pod tym samym tytułem. Kolejne odsłony pojawiały się w latach 1997–2019, cztery gry główne plus siedem spin-offów. Trwają prace

nad „Fallout 5”, ale data premiery nie jest jeszcze znana. Wiadomo za to, że fabuła i postacie z serialu, o którego finalnym kształcie decydowali Jonathan Nolan i Lisa Joy (twórcy serialu „Westworld”), wejdą do kanonu uniwersum „Fallouta”, więc można oczekiwać, że w planowanych grach pojawią się odniesienia do tego, co teraz widzimy na małym ekranie.

A widzimy bardzo wiele, bo serialowy „Fallout” to beczelnie efektowna popkulturowa zabawa za grube pieniądze – każdego wydanego dolara widać w efektach, scenografii i kostiumach. To apokalipsa na bogato, apokalipsa z przybliżeniem oka, bo przecież nie wedle klasyków literatury, tylko na podstawie gier, które mają dostarczać radochy i immersji (nawet jeśli jest to radocha w deptaniu zmutowanych karaluchów i nawet jeśli jest to immersja w świecie po wojnie nuklearnej). Zapomnijcie o śmiertelnej powadze „The Last of Us” – twórcy „Fallouta” oferują widzowi humor rodem z „Z Nation” (serial o zombie apokalipsie) czy czwartego sezonu „Cudotwórców” („Miracle Workers”) nie bez powodu noszącego tytuł „End of Times”.

WALCZCIE, NIM BĘDZIE ZA PÓŹNO

Dostajemy skrzyżowanie westernu, „Mad Maxa”, horroru i fantastyki socjologicznej. Główna bohaterka, Lucy MacLean (energiczna, niewinna i pełna charyzmy Ella Purnell), opuszcza bezpieczny podziemny schron, by odnaleźć porwanego przez bandytów ojca. Minęło ponad 200 lat od wojny nuklearnej, która wytrzebiła niemal całą ludzkość. Niedobitki żyją w ruinach, walcząc ze zmutowanymi potworami, Bractwo Stali przemierza pustkowia w poszukiwaniu ocalałej technologii, tajemnicza buntownicza Moldaver dokonuje krwawych rajdów w imię lepszej sprawy, a ghoul (przypominający Deadpoola Walton Goggins) okazuje się najbardziej cennym łowcą głów do wynajęcia. Dzięki konwencji komediowej dajemy radę przełknąć nawet najbardziej piramidalne bzdury, akcja gna naprzód, pejzaże są zachwycająco dziwaczne, dialogi zabawne i jest tylko jeden problem: to potrawa w całości skomponowana z pustych kalorii, jakbyśmy konsumowali kubał lodów z bitą śmietaną. To

nie zarzut, wiem, że taki był zamysł, po prostu stwierdzam fakt. „Fallout” to czysta zabawa. I o ile concept hodowania społeczeństw w podziemnych schronach, by nimi manipulować, nie budzi zdziwienia (znamy, znamy, cenimy – od Dicka do Bułyczowa), o tyle koncepcja nuklearnej zagłady jako ostatniego etapu rozwoju kapitalizmu (wybicie konkurencji) to już tylko absurdalny żart.

W dodatku żart dla mieszkańca naszej części świata mało śmieszny, bo przypominający czasy słusznie minione. O tym, że chciwi amerykańscy kapitaliści doprowadzą swoimi knowaniami do wojny nuklearnej i zagłady ludzkości, słyszałem przez całe dzieciństwo spędzone w PRL. Do dziś pamiętam z sowieckiej propagandy zwroty typu „amerykańska soldateska” oraz „amerykański kompleks militarno-przemysłowy”. Był to jeden z fundamentów sowieckiej antyzachodniej propagandy: Moskwa hoduje tylko gołąbki pokoju, Waszyngton – wyłącznie grzybki atomowe. Dopóki takie przesłanie niesie parodia, czyli „Fallout”, dopóty śmieję się wraz z innymi. Niestety, są i tacy, którzy dziś powtarzają je na poważnie. Cierpliwość Zachodu wobec ważnych kontestatorów nie ma granic.

Wracając na koniec do „Civil War” Alexa Garlanda: wszystko już było, ale żyjemy w epoce powszechnej amnezji, więc nikt niczego nie pamięta. Szturm na Biały Dom, wojnę domową zwolenników liberalnej Ameryki z autorytarnym rządem opisywał już w 1935 r. Sinclair Lewis w powieści „It Can’t Happen Here”. Wznawiana za prezydentury Trumpa książka miała być memento dla liberalnych czytelników: walczcie, nim będzie za późno. Czytana po latach słabo się broni. Lewis nie rozumiał polityki. Ani rzekomo faszystowski reżim, ani jego wolnościowi przeciwnicy nie są u niego nakreśleni wiarygodnie. Ale jedną rzecz udało mu się oddać znakomicie: po pierwszej wojnie następuje kolejna, a potem jeszcze jedna. Dżina raz wywołanego z butelki nie da się już w niej zamknąć – skoro raz skutecznie zakwestionowano status quo, to każdy czuje się w prawie kwestionować dalej, już po swojemu. Wojna to spirala, wojna to otchłań, wojna to nienasycony potwór. W kilku miejscach film Garlanda zdaje się dotykać tej kwestii. Ale tylko w kilku.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Kac w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej

Radosław Śmigulski, były dyrektor
Polskiego Instytutu Sztuki
Filmowej FOT. ADAM WARZAWA/PAP



Remigiusz Włost-Matuszak

Dziwnie niezręcznie wypadło odejście Radosława Śmigulskiego z PISF. Będzie teraz uchodził za ofiarę ministra Sienkiewicza

Często przejeżdżam przez zepchane warszawskie „rondo z Palmą” i zawsze dopada mnie nieproszony obraz – wspomnienie z filmu pt. „Kac Wawa”, kiedy to czterech koleś (Borys Szyc, Tomasz Karolak i inni) obsikuje palmę, opowiadając sobie długie, nudne i głupie dowcipy.

„Kac Wawa” powstał w 2011 r. i został okrzyknięty najgorszym filmem dwudziestolecia, a w 2013 r. zdobył antynagrodę Wielkiego Węża. Borys Szyc dostał Węża dla najgorszego aktora roku, Łukasz Karwowski za reżyserię, a za najbardziej żenującą scenę – Mariusz Pujso – kopulacja z poduszką, zaś cały film otrzymał dodatkowego Węża „za komedię, która nie śmieszy”. Galę Węży prowadził Tomasz Karolak, który wbiegł na scenę zupełnie goły, zasłaniając się poduszką (tą od sceny z Pujso??). Układny Tomasz Raczek zaapelował do widzów (cytat): „Film jest skandalem artystycznym ostatnich lat. Przestrzegam przed pójściem do kina”. Reżyser zapowiedział proces. Na zapowiedziach się skończyło.

Nie minęło dziewięć lat i oto Tomasz Raczek jako redaktor naczelny kwartalnika Stowarzyszenia Filmowców Polskich „Magazyn Filmowy” (nr 1/2020) zaszerwował nam obszerny, polityczny wywiad z Radosławem Śmigulskim, współproducentem „Kac Wawa”, który witał nas z okładki „Magazynu...” w pozie młodego Jamesa Bonda albo Alaina Delona. Śmigulski wygłosił credo: „Instytut stara się otwierać bardzo szeroko i wrażliwość konserwatywna i wrażliwość lewicowo-liberalna jest wspierana w dofinansowywanych projektach”. Po siedmiu latach kolaudowania w PISF filmów fabularnych, dokumentalnych i nijakich mogą stwierdzić, że o ile „wrażliwość lewicowo-liberalna” była wspierana bez ograniczeń i praktycznie na żądanie,

o tyle projekty konserwatywne spotyka się z licznymi przeszkodami.

W roku 2017, w burzliwych okolicznościach, Radosław Śmigulski rozpoczął swoją kadencję w PISF. Pod MKiDN Jagoda Szelc przewodziła demonstracji przeciw zmianie dyrektora PISF, a minister Piotr Gliński spolegliwie zaprosił delegację demonstrantów do swojego gabinetu na rozmowy. Mainstreamowa prasa była jednak wobec Śmigulskiego bezlitosna. Wypomniano mu, że w 2006 r., w wieku lat 27, wszedł do zarządu Totalizatora Sportowego, a w 2009 r. prezes TVP (od Giertycha z Ligi Polskich Rodzin) Piotr Farfał mianował go szefem Agencji Filmowej TVP. W 2011 r. został dyrektorem generalnym firmy Syrena Film, gdzie właśnie został współproducentem owego cudu „Kac Wawa”. Producent „Kac Wawa” szefem polskiej kinematografii – tak się niosło po mieście w 2017 r.

WYGUMKOWANY ŻYCIORYS

Grom z jasnego nieba o odwołaniu przez ministra Bartłomieja Sienkiewicza kilku dyrektorów, w tym wszechmocnego od lat Radosława Śmigulskiego, spowodował, że odżyły stare wspomnienia. Zajrzałem do Internetu. Zdziwiłem się niewymownie. We wszystkich publikacjach oficjalnych i na stronach Filmupolskiego.pl oraz zbliżonych nie ma słowa, że Śmigulski był dyrektorem Syrena Film i współproducentem „Kac Wawa”. To fatalne potknięcie zostało wygumkowane.

Nie będę sobie schlebiał, że mój tekst w „Do Rzeczy” (nr 15/2024) przeczytał minister Bartłomiej Sienkiewicz i ów artykuł przepełnił czarą gorczy, tak że wyrok na dyrektora Śmigulskiego zapadł. Wcześniej, w lutym, środowisko filmowe w „wielotysięcznej” petycji zarzuciło Śmigulskiemu: „PISF popada w coraz większą ruinę organizacyjną, logistyczną, merytoryczną i moralną”. Ta „ruina moralna” dogłębnie mną wstrząsnęła. Owszem, słyszałam różne dziwne wieści na ten temat, ale nigdy nie dawałam temu wiary, a tu filmowcy to potwierdzili.

Natomiast niepotrzebnie w owym tekście z „DRz” nr 15/2024 „darłem łacha” z zaginionego filmu Szumowskiej pt. „All Inclusive”, ponieważ już 12 kwietnia media wydały okrzyk zachwytu – w czerwcu „All Inclusive” będzie miał światową premierę na 64. KFF w Kra-

kowie (Festiwal Filmów Krótkometrażowych). Druga smutna wiadomość jest taka, że film „Kobieta z...” zszedł z ekranów przy 14555 widzach.

Sądzę, że pozycja Śmigulskiego po zmianie władzy była dość mocna. Miał wcześniej rozeznanie graniczące z pewnością, że 15 października 2023 r. PiS straci władzę. Od września 2023 r. czynił liczne kroki, by przejść na „słuszną stronę mocy”. Sesje PISF 3/23 i 1/24 były wielokrotnie przekładane pod różnymi technicznymi pretekstami. Śmigulski już się ustawiał pod „nowe rozdanie”, tak by nie musieć akceptować prawicowych projektów i nie musieć odrzucać „lewicowo-liberalnych”. Odmówił też MKiDN (dwukrotnie?) organizowania w PISF (lub u producenta) pokazów filmów dofinansowanych z „zachęt”.

Głównym faktycznym powodem odejścia Śmigulskiego z PISF jest jednak raport NIK (KNO.430.4.2023) o finansowaniu kinematografii podpisany przez prezesa Mariana Banasia 13 lutego 2024 r. Dokument zawiera odpowiedź wiceministra MKiDN Andrzeja Wyrobca z 5 marca 2024 r. oraz „Opinię o odpowiedzi MKiDN” wystosowaną przez prezesa Mariana Banasia z 24 marca 2024 r. do ministra Andrzeja Wyrobca w MKiDN.

CO WYKRYŁA NIK

Raport liczy 64 strony. Nie jest to dokument oceniający merytoryczną czy artystyczną działalność PISF i kinematografii. To rozliczenie kosztów – rachunki PISF. Napisany jest ściśle prawniczym metajęzykiem, w pełni zrozumiałym chyba tylko przez prawników specjalizujących się w ustawach i prawie finansowym. Czytałem raport o wynikach kontroli) pół dnia, robiąc notatki i kwerendę w Internecie. Ważna sentencja to zarzut o „długotrwałym procedowaniu spraw”.

Oto kilka innych, które będę się starał przedstawić w prostej formie. Najważniejsze jest to, że w połowie roku zostanie powołane społeczne Forum Rynku Audiowizualnego, które wraz z MKiDN wprowadzi sensowne opłaty rynkowe przeznaczone dla twórców.

W latach 2018–2023 (do czerwca) produkcja audiowizualna (w tym filmowa) miała limit z budżetu państwa w wysokości 1,158 mld zł (plus fundusz z „zachęt”

ok. 240 mln zł rocznie). PISF w latach 2018–2023 (do czerwca) przeznaczył 1,313 mld zł (pewnie wliczono w to niektóre koszty „zachęt”?) na produkcję.

Zarzuty wobec PISF to: „Długotrwałe procedowanie decyzji oraz jego konsekwencje finansowe”. Jest też „nierzetelne rozliczanie dotacji celowej przez PISF” – kontrolerzy NIK wykazali, że PISF nie dokonał zwrotu do budżetu państwa części dotacji w kwocie 7,78 mln zł. I jest to też jedyny formalny zarzut finansowy wyknięty Śmigulskiemu w czasie odwoływania go przez ministra Sienkiewicza.

Dalej jest: „Niedotrzymanie przez PISF terminu na weryfikację raportów” – PISF nie dotrzymał terminu 90 dni – dotyczyło to 73 raportów ze 115 złożonych. W skrajnym wypadku były to 162 dni zwłoki. Kolejne zarzuty: „Nieidentyfikowanie nieprawidłowości w rozliczaniach dotacji celowej” (cokolwiek to znaczy); „Przypadki nieprawidłowej realizacji postanowień umów” – NIK wymienia tu filmy: „Chłopi” i „Kos” – oba artystycznie świetne; „Nierzetelne rozliczenie przez PISF środków dotacji celowej” oraz „Nieosiągnięcie planowanych efektów rzeczowych”. Uff!

Raport kończy się częściowo optymistycznie. Kontrola przedstawia, jak wygląda „finansowanie ze środków publicznych kinematografii w wybranych krajach europejskich”. I tak w Niemczech FFA (odpowiednik naszego PISF) prowadzi kosztowny, skomplikowany i wysoce poprawny politycznie system finansowania swojej upadłej produkcji filmowej.

Wzorowo natomiast prowadzą to Czesi i ich CFF Czeski Fundusz Filmowy – biją na głowę Polskę w koprodukcjach i produkcjach zagranicznych. PISF powinien brać przykład z braci Czechów.

Dziwnie niezręcznie wypadło odejście Radosława Śmigulskiego w towarzystwie kilku innych osób. Będzie teraz uchodził za ofiarę prześladowań ministra Bartłomieja Sienkiewicza (11 kwietnia 2024 r. – polska noc św. Bartłomieja), ale jestem pewien, że w niedługim czasie Śmigulski wypłynie jako wiceprezes TVP, wiceminister do spraw turystyki (ma doświadczenie!) albo ostatecznie jako ambasador RP w Argentynie. Doprawdy nie znam nikogo bardziej godnego do reprezentowania RP w boskim Buenos Aires.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

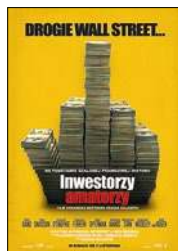
OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Szybka kasa

HBO max

i karabiny maszynowe, lecz ekrany smartfonów.

Tyle że wielcy i wpływowi zawsze znajdą sposób, by na plebsie się odegrać, nawet jeśli będzie w tym celu trzeba nagiąć reguły. „Inwestorzy amatorzy” są więc także filmem w duchu dokumentu „Zbyt wielcy, by upaść” czy fabularnego „The Big Short”. W obu opowieściach przerażające były nie tylko chciwość i beztroska bogaczy, lecz także niesłyszana łatwość, z którą uniknęły odpowiedzialności za swoje czyny. Zawsze bowiem znajdą się zaprzysiężeni politycy, którzy sypną publicznym groszem, albo jeszcze więksi gracze, którzy uruchomią rezerwy kapitału, żeby zmiażdżyć małych samą skalą inwestycji. W ostateczności można zastraszyć tych, którzy uruchomili aplikację służącą małym inwestorom do szybkich transakcji. Lub zamknąć internetowy kanał pod zarzutem „szerzenia mowy nienawiści”. Czujcie się ostrzeżeni. ©©



★★★★★
REŻ. CRAIG GILLESPIE
„INWESTORZY AMATORZY” („DUMB MONEY”) USA 2023

wyst. Paul Dano, Pete Davidson, America Ferrera

„Ile dziś zarobiliśmy?” – pyta żona Keitha Gilla (Paul Dano). „Pięć milionów”. „A wczoraj?”. „Cztery miliony”. Gill to mały inwestor giełdowy opowiadający o akcjach w Internecie pod pseudonimem Roaring Kitty. W domu bogatego finansisty Gabe’a Plotkina (Seth Rogen) odbywa się tymczasem inna rozmowa: „Ile dziś straciliśmy?”. „Miliard”. „A wczoraj?”. „Miliard”. Czy to możliwe, by pospolite ruszenie maleńkich graczy inwestujących drobne kwoty ograło rekiny w Wall Street i wpędziło je w potężne tarapaty? Tak, jeśli rekiny same się o to proszą.

Film „Inwestorzy amatorzy” (oryginalny tytuł lepszy: „Dumb Money”) opowiada jedną z takich historii. Mamy środek pandemii, wielki fundusz hedgingowy gra

na spadek akcji popularnej sieci sklepów z grami GameStop. Kalkulacje zdają się słuszne, w czasie lockdownu detaliści ponoszą ciężkie straty (w tym samym czasie na Wall Street grano m.in. przeciw sieci kin AMC). Według Gilla akcje są warte więcej, a jego przykład skłania innych drobnych ciułaczy do inwestycji. Kurs, zamiast spadać, idzie w górę, dołączają kolejni gracze, zwłaszcza że ma tu znaczenie również sentyment do sklepów, w których gry kupowała cała generacja młodych Amerykanów. Inni zaczynają widzieć w inwestycji nie tylko okazję do zarobku, lecz także do odegrania się na „onych”: bogaczach, Wall Street, banksterach itp. Cóż, taką walkę klas można nawet polubić: narzędziami nie są gilotyny



NOWE SERIALE: „NIEDALEKO PADA JABŁKO”

To samo, tylko inaczej, czyli ekranizacja kolejnej powieści Liane Moriarty („Wielkie kłamstewka” zaadaptowane w HBO) o szczęśliwych członkach wyższej klasy średniej, których życie rodzinne kryje mroczne sekrety. Tu intrygę napędza (i burzy spokój rodziny Delaneyów)

nagle pojawienie się i szybkie zniknięcie pewnej młodej kobiety. Sześć odcinków z Annette Bening i Samem Neilem w rolach głównych. ©©

Piotr Gociek
• miniserial „Niedaleko pada jabłko” („Apples Never Fall”), USA 2024

skySHOWTIME

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Ned Benson „The Greatest Hits”, USA 2024
- reż. Rudy Mancuso „Música”, USA 2024
- sezon 1 „Martwi detektywi” („Dead Boy Detectives”), USA 2024



Kometa z Camden

KINO

Co zabiło królową retro popu? Nadmierna wrażliwość. Tak przynajmniej wynika z filmowej biografii dziewczyny, która śpiewała jak Murzynka, choć z pochodzenia była Żydówką. Brawa za odwagę dla panny Abeli. Ośmieliła się zmierzyć wokalnie z Winehouse, z góry wiedząc, że nie ma szans jej dorównać. Za to urodą Marisa przewyższa Amy, ukrywając kompleksy pod półmetrową peruką, tatuażami i jaskrawą szminką. Na tym lista aktywów „Back to Black” się kończy. Dokument Asifa Kapadii z 2015 r. pozwalał zrozumieć, dlaczego młoda gwiazda stała się kometa, która w zawrotnym tempie przemknęła po nieboskłonie, zostawiając po sobie świetlistą smugę

i wrażenie obcowania z fenomenem zgoła niespotykanym we współczesnym show-biznesie. Fabuła, firmowana przez panią Taylor-Johnson, to baśń pokryta grubą warstwą lukru. Mamy uwierzyć, że z upadkiem



★★★★★
REŻ. SAM TAYLOR-JOHNSON
„BACK TO BLACK.”
HISTORIA AMY WINEHOUSE”
USA/WIELKA
BRYTANIA/
FRANCJA 2024

wyst. Marisa Abela,
Jack O’Connell,
Eddie Marsan

bohaterki nie miała nic wspólnego jej rodzina. Eksmałzonka rozgrzesza to, że zainspirował powstanie najlepszej płyty Winehouse tudzież jej wyrazistego image’u. Żle wypadają tylko paparazzi. No i fatum, które sprawiło, że oprócz głosu jak dzwon w wątłym ciebie Amy zamieszkał gen autodestrukcji. W „Back to Black” publika ekstatycznie reaguje na ekscesy wokalistki. Jest w tym logika. Idole przychodzą i odchodzą, tylko spektakl będzie trwał wiecznie. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SZPITAL BRUKSELA

KINO

Parę lat temu furorę robiła reklama leku na zespół niespokojnych nóg – schorzenie wymyślone przez speców od marketingu. Twórcy owej „Spadającej gwiazdy” cierpią bowiem na podobną przypadłość: często tracą kontrolę nad kończynami, co skutkuje dziwnymi, aczkolwiek synchronicznymi ruchami. Trochę drgawki, trochę taniec. Komedialny absurd jest gatunkiem nader pojemnym i duet Abel/Gordon skwapliwie z tego korzysta. Ona gra prywatnego detektywa, często zaglądającego do butelki. On podstarzałego terrorystę w przebraniu barmana tudzież jego sobowtóra, który asertywności nie wysłał z mlekiem matki. Bruksela wypada tu gorzej niż Zjednoczone Królestwo w „Szpitalu Brytania” Lindsay Andersona – strajkują komunikacja i służba zdrowia, deszcz zaś pada nawet częściej niż w Londynie. Euroentuzjastom do sztabu cha, melancholikom dla rozrywki. ©©



★★★★★
REŻ. DOMINIQUE ABEL/FIONA GORDON
„SPADAJĄCA GWIAZDA”
BELGIA/FRANCJA
2023

wyst. Dominique Abel, Fiona Gordon,
Philippe Martz

NUDZIARZ I NIMFETKA

player

Dwunastolatka mimochodem uwodzi, a potem upokarza dojrzałego intelektualistę. Ryzykowny temat, nawet dla twórcy lubiącego iść pod prąd. Kubrick przekonał się o tym, ekranizując „Lolite” – traktat o hipokryzji i obsesji. Dystrybutora znalazł dopiero po złożeniu obietnicy ocenzurowania oryginału. Słowa dotrzymał. Nymfietce dodał dwa lata, najbardziej zaś erotycznym elementem filmu jest scena malowania paznokci u stóp. Nabokov zgodził się napisać scenariusz, ale reżyser jak zwykle wszystko zrobił po swojemu. Zakończenie umieścił na początku. Finezja powieści wyparowała, jednak „Lolita” i tak nie podbiła serc kinomanów. Powód? Antypatyczni bohaterowie. Każdy zasługuje na los, który go spotka, na czele z Humbertem – obleśnym, zarozumiałym i żalosnym nudziarzem. ©©



★★★★★
REŻ. STANLEY KUBRICK
„LOLITA”
USA/WIELKA
BRYTANIA 1962

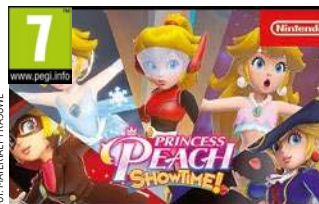
wyst. James Mason, Sue Lyon, Shelley Winters

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „PRINCESS PEACH: SHOWTIME!”

Po latach bycia postacią drugoplanową, ratowaną przez Maria, księżniczkę Peach powróciła na pierwszy plan. I jest to powrót, który może być – i pewnie będzie – początkiem czegoś większego, początkiem nowej serii. Gra to niezbyt wymagająca i krótka,

ale ciekawa, kolorowa (sporo różu, mnogość strojów – młodsze graczki będą zachwycone), zróżnicowana. Wspomniane stroje to nie tylko kosmetyka, lecz także gameplay i zmienne wcielenia (np. Kung Fu Peach, Cowgirl Peach, Ninja Peach)



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

oraz umiejętności bohaterki. Dobry pomysł na prezent dla córki. ©©
Radosław Wojtas

- Gatunek: **akcji**
- Platforma: **Nintendo Switch**
- Producent; wydawca PL: **Nintendo; ConQuest**

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Skąd nasz ród

Poruszającą powieść o problemach wynikających z podwójnej tożsamości, do tego wyjątkowo wewnętrźnie zantagonizowanej, bo polsko-niemieckiej, napisał Wojciech Dutka, kolejny raz (po m.in. „Amerykance” i potrójnym „Kurierze” – z Toledo, Teheranu i Tivoli) dowodzący, że bardzo pewnie czuje się w tematyce XX-wiecznej, ze szczególnym uwzględnieniem drugiej wojny światowej.

Bohaterką swojej „Niemki” uczynił kobietę, której „życie zostało naznaczone przez pogardę jednych i drugich – Polaków i Niemców, sąsiadów skazanych na wieczną nieufność. Ten bakcyl nigdy nie zginie i pewnego dnia znowu postawi ich przeciwko sobie”. Mocno brzmią te ostatnie słowa, ale dowodów na to mamy aż nadto.

Opowiada Wojciech Dutka o trzech koleżankach, na pozór znacznie się różniących, „pocho- dzących z trzech różnych gałęzi, które najpewniej nigdy się ze sobą nie zetknęły – a jednak były częścią tego samego drzewa”. Polskiego drzewa, choć tytułowa bohaterka – Magdalena – była z pochodzenia Niemką, a Lidka Żydówką. Tylko ta trzecia – Wanda – życiorys miała w stu procentach polski. Analogie z „Ziemią obiecaną” Reymonta same się narzucają, po części też dlatego, że Magda była córką zamoznego łódzkiego fabrykanta.

W powieści pojawia się cała masa postaci historycznych, jak np. znany z antyhitlerowskich poglądów graf von Wartenburg, amerykański reżyser i dokumentalista Julien Bryan, a nawet gwiazdy filmu i estrady – Eugeniusz Bodo czy Marlena Dietrich. Czasem wydaje się nawet, że autor przeholo-



FOT. DAMIAN KLAMK/EST NEWS

wał w nasyceniu książki sylwetkami ludzi z pierwszych stron starych gazet, w końcowej części „Niemki” trafiamy bowiem nawet na Mieczysława Moczara, a także zapomnianego ambasadora Polski Ludowej w Waszyngtonie, Droźniaka.

Tytułowa bohaterka w czasie okupacji pracowała w ważnych instytucjach niemieckich, ale za wiedzą Komendy Głównej Armii Krajowej. I wypełniała zadania wywiadowcze na rzecz polskiego podziemia. To wszystko w oczach zbirów, którzy po klęsce Niemiec przejęli władzę w Polsce, było wyłącznie okolicznością obciążającą. Nieprzypadkowo AK nazwano wówczas „zapłutym karłem reakcji”, a żołnierzy podziemnej armii wywożono na Wschód, zamykano do więzień, nierzadko mordowano.

Krzywdą, która spotkała wówczas Magdę, była tym bardziej dojmująca, że polskość była jej wyborem, dokonany wbrew ojcu. Powiadała, że ma „przeklęte polskie serce” i nie potrafi „go z siebie wyrwać”. Ukształtowały ją polska szkoła i wychowanie, które w niej odebrała. Ale niemiecka zadra tkwiła w niej mocno. Gdy jej narzeczony, a następnie mąż mówił, że to gestapo i SS sprowadzili wojnę na Niemcy, odpowiadała: „Mylisz się,

Johannie. To my jesteśmy winni. Ty i ja. Choć to nie my doprowadziliśmy Hitlera do władzy. Jesteśmy winni temu, co się dzieje w Europie: barbarzyńskiej wojnie przeciwko Polsce i wydarzeniom w Rosji, okrucieństwom popełnianym wobec Żydów i ich systematycznemu mordowaniu. Nikt z nas tej hańby nie zmyje. Nikt i nic”.

Zaangażowany uczuciowo Johann przeżyje jednak wstrząs, kiedy ukochana poinformuje go, że jest żołnierzem polskiej armii podziemnej. Wyobrażał sobie bowiem, że należy ona „do jakiegoś kręgu opozycji przeciwko reżimowi albo jest agentką brytyjskiego wywiadu. To by zniósł. Niemcy, szczególnie ci dobrze urodzeni, mieli o Polakach jak najgorsze zdanie. Dla tych wykształconych – ale nie nazistów – Polska to był bantustan, dziki kraj polskiego kołtuna, czyli wiecznie niemytych włosów, zmierzwionych na głowie, pijaństwa, idiotycznego katolicyzmu, wstecznictwa i barbarzyństwa oraz głupoty. Dla Niemców każdy Polak był po prostu gorszym rodzajem homo sapiens. Ich samych Pan Bóg ulepił z gliny, z której oni potem zrobili saską porcelanę, a Polaków – z błota wymieszanego z końskim łajnem. Tak myśleli o Polakach tak zwani dobrzy Niemcy”.

Magda straci męża i dziecko, wszystkich bliskich, a swoje miejsce na ziemi odnajdzie dopiero za wielką wodą. Ameryka nie stanie się jej ziemią obiecaną, ale zawsze ziemią, gdzie można i chce się żyć. Nie pozwoliłono jej być Polką, a Niemką zostać nie chciała. Po tym, co widziała i co przeżyła, była świadoma tego, że „Polacy będą nas nienawidzić jeszcze przez sto lat i będą mieli rację”. Czy się pomyliła? ©



★★★★★
WOJCIECH DUTKA
„NIEMKA”
LIRA,
WARSZAWA 2024



POCZYTANKI

Zapiski ocalonego

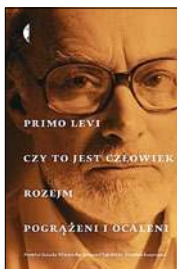
Mamy do czynienia z czystym szaleństwem, ale z metodycznym szaleństwem” – wspominał swoje pierwsze wrażenia z Auschwitz Primo Levi w rozmowie z Ferdinandem Camonem. Prowadzony na rzeź ocalał i opowiedział. W jednym tomie ukazują się teraz jego nieformalna trylogia obozowa, oryginalnie wydawana w latach 1947–1986, rozpoczęta esejem autobiograficznym „Czy to jest człowiek”. „Nie została napisana w celu sformułowania nowych punktów oskarżenia – pisał Levi we wstępie do książki – będzie mogła natomiast dostarczyć dokumentów do obiektywnego studium niektórych aspektów duszy ludzkiej”. Obdarzony wybitną inteligencją, wielkim darem obserwacyjnym i duszą filozofa autor opowiada o piekle zagłady zarazem jako świadek, jak i ofiara oraz badacz.

W kolejnej książce – „Rozejm” – opowiada swą odyseję powrotną, po wyzwoleniu, i to także smutna lektura: mur niezrozumienia. Mało kto słyszał o Auschwitz. Ci, którzy słyszeli, nie rozumieją, ci, którzy rozumieją, nie mają ochoty na zgłębianie tematu – bo nowe czasy, bo polityka, bo nowe życie. Pierwsza książka Leviego czekała parę lat na wydanie, bo wydawcy (lewicowe-

mu zresztą) zdawało się, że nic nowego w niej nie ma. Dopiero drugie wydanie, dużo późniejsze, rozsławiło autora. Książka druga jest literacko najciekawsza w jego dorobku, stawiam ją wśród najwybitniejszych dokonań prozy autobiograficznej drugiej połowy XX w.

U kresu życia wydaje esej „Pograżeni i ocaleni”, „najbardziej może syntetyczne studium świata obozowych katów i ofiar” – pisze we wstępie do zbiorowego wydania Dariusz Czaja. „Chciałbym, żeby ta książka przyczyniła się do lepszego zrozumienia pewnych aspektów obozu, które ciągle jeszcze wydają się niejasne” – deklarował Primo Levi. „Ile z tego świata obozów koncentracyjnych przepadło i nigdy już nie pojawi się powtórnie, podobnie jak ustrój niewolniczy czy jak rycerski kodeks honorowy? I z kolei ile z niego powróciło lub właśnie powraca?”. Nie chodzi o metodykę zagłady, lecz o naturę ludzką, bo działania sprawców to jedno, a psychologia ofiar – drugie.

Każdy bezstronny opis niemieckiej polityki eksterminacji będzie szokującym oskarżeniem ich praktyk; analiza tego, jak pod jej naciskiem pęka człowieczeństwo, będzie już rozważaniem nad naturą ludzką. Wracamy więc do pytania: „Czy to jest człowiek?”. ©©



★★★★★
PRIMO LEVI
„CZY TO JEST CZŁOWIEK. ROZEJM. POGRAŻENI I OCALENI”
CZARNE 2024

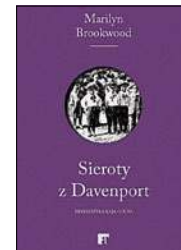
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zaginiona w 1944 r. powieść, odzyskana w roku 2022. Można tę brutalną prozę traktować jako brakujące ogniwo między „Podróżą ku kresu nocy” a „Śmiercią na kredyt”. Broni się też jako osobna całość.



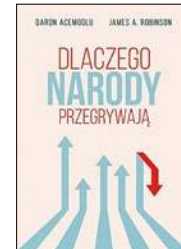
LOUIS-FERDINAND CÉLINE
„WOJNA”
PIW

Z dziejów badań nad ludzkim umysłem: badania IQ nie mówią wszystkiego, wpływ środowiska na rozwój inteligencji jest niezaprzeczalny. Przełomowe prace psychologów z czasów wielkiego kryzysu.



MARYLIN BROOKWOOD
„SIEROTY Z DAVENPORT”
ARTRAGE

Wznowienie jednej z najważniejszych książek politycznych ostatnich dekad: wywód udowadniający, że o rozwoju i potęgę decydują jakość i stabilność instytucji. Dla Polski – smutna lekcja.



DARON ACEMOĞLU, JAMES A. ROBINSON
„DLACZEGO NARODY PRZEGRYWAJĄ”
ZYSK I S-KA

Czoro bohaterów, cztery historie, jedno miasto – nostalgiczna medytacja o Nowym Jorku, powieść wyczelowana jak biżuteria od Tiffany’ego. Dla jednych przerosł formy, dla innych próba uchwycenia niemożliwego. ©©

recenzuje Piotr Gociek

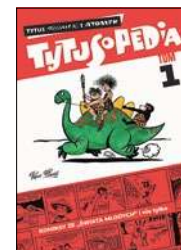


JIM LEWIS
„DUCHY NOWEGO JORKU”
CZARNE

KOMIKS TYGODNIA:

„TYTUSOPEDIA”

Imponujące rozmachem przedsięwzięcie w stulecie urodzin klasyka polskiego komiksu. Trzytomowa edycja wszelkich dzieł rozproszonych, nie tylko ze „Świata Młodych”, których bohaterami byli Tytus, Romek i A'Tomek. Oryginały poddano obróbce cyfrowej, a całość uzupełniono bogatymi materia-



PAPCIO CHMIEL (H.J. CHMIELEWSKI)
„TYTUSOPEDIA”; TOM 1
ONGRYS 2024

łami dodatkowymi. Ukazały się już dwa z planowanych trzech tomów. ©©

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Tygrys w ogrodzie

Wieś Bołotnia położona jest na terenie Polesia, w połowie drogi między Kijowem a Czarnobylem. W roku 1909 przyszła tam na świat, a w roku 1997 zmarła Marija Prymaczenko. Spędziła tam całe życie, przeżyła wielki głód, drugą wojnę światową i katastrofę nuklearną w Czarnobylu. Nigdy nie opuściła rodzinnych stron. Za to jej sztuka – owszem.

Prymaczenko stała się ikoną sztuki ukraińskiej. Ludowa malarka, hafciarka, przedstawicielka prymitywizmu jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych ukraińskich artystek. Jej charakterystyczne prace zaczęły być jeszcze bardziej popularne w świecie po inwazji Rosji na Ukrainę (w 2022 r. spłonęło Muzeum Historii Lokalnej niedaleko Bołotni, skąd udało się uratować część znajdujących się tam obrazów malarki).

Wystawa w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej „Tygrys w ogrodzie. Sztuka Marii Prymaczenko” to pierwsza tak obszerna prezentacja prac artystki w Polsce. ©©

GDZIE? Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie
KIEDY? do 30 czerwca



FOT. DANIEL CHROBAK



FOT. SONA BOBER

KOŁO KLIPSA

Cztery dekady temu w Galerii Wielka 19 zorganizowano pierwszą wystawę poznańskiej grupy Koło Klipsa, zaliczanej do nurtu nowej ekspresji lat 80. Z tej okazji twórczość grupy przypomina Muzeum Narodowe w Poznaniu i czyni to w kontekście undergroundowej sceny muzycznej Poznania. W pierwszej części wystawy prezentowane są obiekty, rysunki i archiwalia poświęcone grupie Koło Klipsa. W drugiej – muzyczna scena lat 80. (m.in. Reportaż, TAZ, Bexa Lala, Ręce do Góry, Pidżama Porno). ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Poznaniu
KIEDY? do 28 lipca

NA SŁUCH

Rzeka radości

W 1979 r. przemierzyłem autostopem siedem krajów Europy Zachodniej. W każdym samochodzie była przynajmniej jedna kasetka Dire Straits. Na najnowszej płycie, w piosence „Watch Me Gone”, Mark Knopfler śpiewa: „Może wyruszę w trasę z Bobem / A może złapię stopa z Vanem”. W lekkim, pulsującym „Ahead of the Game” opisuje nomadyczny styl życia zespołu w trasie, a w „Janine” sławi zaprzyjaźnia miasteczka spotykane w drodze. W „Tunnel 13” snuje opowieści o napadach rabunkowych. Na takich nostalgicznych tekstach czerpiących z życia codziennego gitarzysta zbudował swoją karierę. Do tego Mark jest szczególnie urzekający, kiedy popada w senty-

mentalizm. Rzeka, o której mowa w tytule albumu (widoczna jest na okładce), to Tyne. Przeływa przez Newcastle, rodzinne miasto gitarzysty.

„One Deep River” nie wnosi niczego nowego do muzycznego dorobku Knopflera. To wciąż są perfekcyjnie zagrane utwory łączące bluesa, folk i country z celtyckimi, jazzującymi brzmieniami. Nad wszystkim dominuje gładko brzdąkająca gitara rockowa tak charakterystyczna dla stylu Marka. Album zamyka poruszający utwór tytułowy będący pieśnią pochwalną dla rzeki, która dla autora jest życiowym punktem odniesienia. Przez pół wieku Knopfler przekraczał ją niezliczoną ilość razy, wyruszając w kolejną muzyczną podróż. ©©



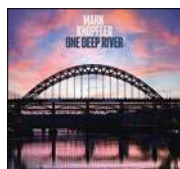
★★★★★
THE BLACK CROWES
„HAPPINESS BASTARDS”
SILVER ARROW
Bracia Chris i Rich

Robinson po 15-letniej przerwie wydał album z premierowym materiałem. Dziesięć utworów trwających niespełna 40 minut składa się na doskonałą lekcję klasycznego southern rocka. Nadszpiekanie dobrego comebacku.



★★★★★
SCHERYL CROW
„EVOLUTION”
VALORY

W ubiegłym roku Sheryl przyjęła do Rock & Roll Hall of Fame i wróciła do studia. Na „Evolution” atmosfera jest znajoma, ale brzmienie jest świeże, a Crow w odróżnieniu od Marka nie uległa nostalgii. Boomerów ucieszy świetna wersja „Digging in the Dirt” Petera Gabriela. ©©



★★★★★
MARK KNOPFLER
„ONE DEEP RIVER”
BLUE NOTE/EMI

Głos pokolenia



Krzysztof Masłoń

Przed laty Andrzej Kijowski nazwał Marka Hłaskę „głosem pokolenia”. Określenie zrobiło karierę, choć jego przesada była oczywista. Prawdziwym głosem pokolenia, i to nie jednej generacji, okazać się miał dopiero Jacek Kaczmarski. Trudno w to uwierzyć, ale już 20 lat minęło od jego przedwczesnej śmierci. Telewizja uczciła rocznicę okolicznościowym koncertem, z którego wynikać miało, że był artystą niepoślednim, napisał wiele tekstów odnoszących się do sztuk wszelakich, z malarstwem na czele, a przegląd jego songów sfinalizowała, rzekomo dorównująca popularnością i znaczeniem sławnym „Muror” – „Modlitwa o wschodzie słońca”, rzeczywiście wielokrotnie wykonywana przez Jacka pospół z Przemkiem Gintrowskim (kompozytorem) i Zbigniewem Łapińskim. Tyle że tekst utworu wyszedł nie spod jego pióra, lecz Natana Tenenbauma.

Paradoksalnie także „Mury” i „Obława” nie są do końca dziełami Kaczmarskiego. „Mury” przecież mają muzykę Lluísa Llach’a wziętą z jego pieśni „L’Estaca”, a i tekst jest polską parafrazą i swoistym komentarzem do koncertu barda z Katalonii. „Obława” zaś to, oczywiście, wprawdzie bardzo odległa od oryginału, ale jednak przeróbka „Ochoty na wółkow” Włodzimierza Wysockiego.

Naturalnie okoliczności te są istotne, ale nie zmieniają tego, że i „Obława”, i „Mury” należą

do najważniejszych utworów artysty, który wyśpiewał nam i wykrzyczał prawdę o nas samych.

Nawiasem mówiąc, to właśnie słuchając „Epitafium...” wykonywanego przez Jacka w amfiteatrze koszański latem 2000 r., 20 lat po śmierci Wysockiego, spostrzegłem pierwszy raz, że Kaczmarski rozumia się z publicznością, wyrażnie znudzoną pewnie długością śpiewanej przez niego „Obławy” i „Epitafium...” właśnie. Tacy to jednak wacyjni odbiorcy – myślałem – przyszli tu dla twarzy znanych z telewizji: Stockingera, Opani, Zborowskiego... Chcą się wyluzować, pośmiać... Do głowy mi nie przyszło, że będzie odtąd już tylko gorzej.

Kaczmarskiemu pozostały wtedy niecałe cztery lata. W ostatnim okresie nie mógł już śpiewać, rak mu to uniemożliwił. Pisał jednak niemal do samego końca. Jego dorobek jest pod każdym względem imponujący, dość wziąć w rękę jego liczącą grubo ponad tysiąc stron „Antologię poezji”. Przekartkowałem ją ostatnio, nie wiem już który raz. I znów te same teksty wałę w łeb jak obuchem, przypominając, czym byli np. w końcu lat 70. tacy „Świadkowie”, opowiadający – rzecz można – historię pewnej marynarki w angielską kratę, która młodzieńskiemu sowieckiemu lejtnantowi, w istocie zbrodniarzowi, „popała prosto darom”. Kończył się utwór wezwaniem:

***Wejdźmy głębiej w wodę kochani
Dostę tego brodzenia przy brzegu.***

To był apel o przyjrzenie się naszej przeszłości – i tej dawnej, i tej ledwie wczoraj-

szej – i wyciągnięcie wniosków z płynących z niej nauk. Po latach w „Przecuciu (Czterech porach niepokoju)” wyartykułuje to tak:

***Pamiętamy, co było,
Więc wiemy – co będzie.***

W latach 80. jego piosenki docierały do kraju po części na przemycanych kasetach, ale najczęściej za pośrednictwem Radia Wolna Europa, gdzie miał swój „Kwadrans Jacka Kaczmarskiego”. I edukował: „Jałta”, „Balladą wrześniową”, „Katyniem”... A także krzepił, dodawał sił jak nikt inny, w kwietniu 1982 r. pisząc „Zbroję”:

***Goręły świeże rany
Harbiona płonie twarz
Lecz nam do obrony dany
Pamięci pancerz nasz
Więc choć za ciosem pada cios
I wróg posilki śle w konwojach
Nas przed upadkiem chroni wciąż
Zbroja.***

Dawał sobie radę z wielkimi słowami, patos mu nie przeszkadzał, przeciwnie. Owszem, w powodzi tekstów, bo pisał ich mnóstwo, zdarzały się rzeczy nie w pełni trafione, czasem przegadane, niekiedy znów niedopowiedziane, ale ich przeciwwagą są dziesiątki songów absolutnie wybitnych, a i arcydzielnich. Urban, pamiętający mu jednoznacznie ocenę („osobnik, którego nie wpuszcza się za próg”), wyzywał go jako redaktor, o zgrozo, poczytnego „Nie” od solidarnościowych szansonistów, rymopisów cierpiących jak Kraszewski na twórczą biegunkę. Naprawdę komplementował twórcę, jak nikt inny kształtującego charakter i światopogląd ludzi, których młodość przypadła na lata 80. zeszłego wieku.



FOT. ANDRZEJ RYBICKI/SPAP

Kiedy w 1994 r. wydał swą pierwszą prozę – „Autoportret z kanałią” – powieść przyjęta została ze zgrozą, śmiał w niej bowiem uderzyć w „nietykalnych”, swoje przecież solidarnościowe środowisko. I choć napisał jeszcze kilka książek, to nigdy pisarze nie uznali go za swojego. Był dla nich bardem, tylko bardem, a to określenie miało charakter może nie pejoratywny, ale na pewno lekceważący. Myśl o Nagrodzie Nobla dla Boba Dylana nie przychodziła jeszcze nikomu do głowy.

Był dzieckiem malarzy doskonale znającym malarstwo i świetnie interpretującym ich obrazy. Ale nie za odczytanie Bruegla i Boscha, Malczewskiego i Linkego, nie za „Encore” według Fiedotowa kochaliśmy go i wciąż niesiemy w sercach pamięć o nim. Ale za to, jak podążał śladami Mickiewicza, w przepięknych „Rozbitych odziałach” opowiadając o tych, którzy „przy stołach współczucia nurzają się w winie / i obcy śpiewają o Tej, co nie zginie”. I jak, w poetyce Herberta, w napisanym w 1995 r. „Niech” poruszał słuchaczy, którym przypominał prawdy, zdawałoby się, najbardziej proste i oczywiste:

***A ty siej – a nuż coś wyrosnie.
A ty to, co wyrosnie – zbieraj.
A ty czuj – co żyje radośnie,
A ty szanuj to, co umiera.
I pamiętaj – że dana ci pamięć
Nie kłam sobie – a nikt ci nie
skłamię. © ©***



Z adwokatem Jerzym Kwaśniewskim, prezesem zarządu i współzałożycielem Instytutu Ordo Iuris rozmawia Karol Gac

Chaos dotknie każdego obywatela



FOT. INSTYTUT ORDO IURIS

KAROL GAC: Panie mecenasie, przyznam, że mam pewien problem z naszą rozmową. Z jednej strony jej temat wydaje się abstrakcyjny, ale z drugiej to, co dzieje się od grudnia w Polsce, też się mogło takie wydawać. Jest pan gotowy?

JERZY KWAŚNIEWSKI: Minęły już szczęśliwe dla prawników czasy, gdy znajomość prawa dawała poczucie panowania nad sytuacją. Od 13 grudnia jesteśmy zaskakiwani wciąż nowymi wydarzeniami, uchwałami i rozstrzygnięciami, które prowadzą do głębokiej zmiany funkcji prawa i konstytucji w Polsce. Z prawa, którego zadaniem było pokojowe rozstrzygnięcie sporów, do prawa, które służy już jedynie jako uzasadnienie stosowania siły.

To dla prawników czas ciekawszy? A może trudniejszy?

Przed wszystkim czas straszniejszy. I to dla wszystkich obywateli. Prawo, które traci swoją funkcję gwarancyjną, staje się pałką w rękach silnych. Dodatkowo, jeśli władza nawyknie do łamania prawa, jeżeli wejdzie jej w krew nieustanne wywracanie całego porządku na podstawie uchwał sejmowych, mamy do czynienia z bezprawiem, które rozprzestrzenia się jak kęgi

po wodzie, z czasem dotykając swymi skutkami każdego obywatela. Nasza rola w tym trudnym czasie jest trudna, bo trzeba szukać dróg przywracania normalności.

Są jeszcze takie kotwice? W czasie, w którym wszystko wydaje się względne albo można coś zrobić wbrew ustawom, jak choćby w przypadku Prokuratury Krajowej.

Przejęcie siłowe Prokuratury Krajowej to doskonały przykład działania, które tu i teraz wywoła skutki w ograniczonym zakresie, ale w ciągu dwóch-trzech lat będziemy świadkami umarzanych postępowań, orzekanych uniewinnień wyłącznie z tego powodu, że dowody winy zgromadzono na podstawie decyzji nieprawidłowo powołanego prokuratora. Ofiary nie doczekają się sprawiedliwości, a przestępcy będą drwić z wyroków. To uderzenie w jedną z kotwic wiarygodnego państwa – zdolność do wymierzania sprawiedliwości.

Mocnych kotwic ładu społecznego, o które pan pyta, właściwie już nie ma. Podręcznikowo powinniśmy wskazać na konstytucję. Ale jakie ma ona znaczenie, skoro rząd postanowił rządzić za pomocą uchwał sejmowych, o których

w konstytucji nic nie przeczytamy? Takimi kotwicami były niektóre instytucje państwa. Jednak od 10 lat toczy się o nie bezwzględna, plemienna wojna, której cechami są system łupów i całkowita, bezwzględna wymiana kadr na ludzi miernych, ale wiernych. To zaskakujące, ale instytucją, która zachowała pewną wiarygodność, jest Trybunał Konstytucyjny. Oczywiście chwiejący się, kwestionowany... ale jednak to instytucja, która nie została przejęta całkowicie ani przez poprzednią, ani na razie przez nową władzę. Stanowi zarazem jedyną, obok prezydenta, siłę hamującą – połączoną partyjnym kierownictwem – władzę ustawodawczą, wykonawczą i, do pewnego stopnia, sądowniczą.

Jak zatem określiłby pan stan, w którym obecnie żyjemy? To jeszcze demokracja czy może już nie?

Próbując spojrzeć na rzeczywistość okiem prawników Donalda Tuska, powinniśmy mówić o „sprawiedliwości okresu przejściowego”. To doktryna wprowadzana obecnie w Polsce, ale zrodzona w obecnej postaci w RPA po

upadku apartheidu. W skrócie polega na tym, że jeśli państwo jest głęboko upadłe, a ustroj został tak skażony, że nie da się go naprawić w ramach procedur konstytucyjnych, to uzasadnione jest działanie siłowe, ale pod warunkiem, że dzieje się to pod nadzorem organizacji międzynarodowych. Taki sam był oficjalny program węgierskiej opozycji dwa lata temu. Tam się nie udało, a dzisiaj ci sami eksperci sprzedali swój przepis na przejęcie państwa w Polsce.

Władzy wolno zatem wszystko, o ile może się uwiarygodnić zdjęciem z amerykańskim ambasadorem, uchwałą Parlamentu Europejskiego czy orzeczeniem międzynarodowego gremium ekspertów. Konstytucja nie ma żadnego znaczenia. Taki system jest oczywiście systemem głębokiego chaosu, ale jednocześnie mieści się w tym postpolitycznym, postdemokratycznym świecie filozofii państwa, gdzie nie ma rzeczy pewnych, a wszystko jest narracją. Jeżeli ekspertom i mediom uda się omamić wystarczającą część społeczeństwa, która zaaprobuje radykalne bezprawie, powiązane z władzą lub powolne międzynarodowym wyrokom sądy zatwierdzą każdą decyzję i utrwala nowy system. Z perspektywy analizy ustrojowej to autorytaryzm. Mamy centralny ośrodek władzy, cieszący się poparciem poważnej części społeczeństwa, niezwiązany normami wyższego rzędu, uprawniony do łamania praw i wolności obywateli.

Czy zatem logiczną konsekwencją tego, o czym pan mówi, nie powinna być próba delegalizacji opozycji? Niedawno, w kontekście używania Pegasus, o ewentualnej delegalizacji PiS mówił minister nauki Dariusz Wiczorek. Wcześniej regularnie o takim scenariuszu wspominały też tzw. autorytety sprzyjające obecnej władzy. Zaczniemy od początku – w jaki sposób delegalizuje się w Polsce partię polityczną?

Tego do końca nikt nie wie, ponieważ nigdy nie zdelegalizowaliśmy partii o istotnym znaczeniu, która miałaby strukturę, majątek i reprezentowałaby znaczną część wyborców. Nie mówiąc już o tym, że byłaby to w tym przypadku partia parlamentarna, i to do tego największa.

Możemy powiedzieć tylko to, na co wskazuje nam konstytucja. Mamy zatem wskazany organ, który jest powołany do oceny zgodności celów i funkcjonowania partii z ustawą zasadniczą. Tym organem jest Trybunał Konstytucyjny. Mamy

również konkretne zakazy, które sformułowano w art. 13 konstytucji. Czytamy w nim, że „zakazane jest istnienie partii politycznych i innych organizacji odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu, a także tych, których program lub działalność zakłada lub dopuszcza nienawiść rasową i narodowościową, stosowanie przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa albo przewiduje utajnienie struktur lub członkostwa”. Głównie, gdy mówimy współcześnie o delegalizacji partii, mamy na myśli organizacje kana-

Z perspektywy analizy ustrojowej to autorytaryzm. Mamy centralny ośrodek władzy, cieszący się poparciem poważnej części społeczeństwa, niezwiązany normami wyższego rzędu, uprawniony do łamania praw i wolności obywateli

powe, które odwołują się do komunizmu. Nie mamy żadnej praktyki orzeczniczej w zakresie pozostałych przesłanek delegalizacji. Nie tak dawno rozgorzała dyskusja nad przesłanką stosowania przemocy w celu zdobycia władzy lub wpływu na politykę państwa.

W tym przypadku taki wniosek do Trybunału miał rzekomo rozważać PiS w sprawie partii tworzących koalicję rządzącą.

To prawda. Wypowiadał się na ten temat np. Rzecznik Praw Obywatelskich, który stwierdził, że nie widzi w działalności tych partii przesłanek z art. 13 konstytucji. Tyle tylko, że wszystko rozbija się o to, co oznacza sformułowanie „stosować przemoc”.

Nie byłoby to więc kwestią zależną wyłącznie od interpretacji? Zwłaszcza że od 13 grudnia mamy przynajmniej kilka punktów zaczepienia do takiej analizy.

Skoro nie mamy do tej pory żadnych wypowiedzi TK, to wyrok w tej sprawie byłby precedensowy, a jednocześnie osta-

teczny. Co więcej, oczekivalibyśmy, że TK taki wniosek potraktowałby jako podstawę do dokładnego, doktrynalnego ustalenia wiążącej wykładni przepisów. A stawiane pytania mają charakter zasadniczy. Jakiego rodzaju działania uważamy za stosowanie przemocy? Czy chodzi o przejmowanie państwa z udziałem bojówek, zamachem wojskowym etc., co zdarzało się w historii? Czy też mówimy o działaniu przemocowym, rozumianym jako stosowanie przeważających sił aparatu państwa w celu przejęcia kontroli nad instytucjami bez podstawy prawnej? Przyznam, że jest mi bliższa ta druga definicja, ponieważ na ogół w systemie prawnym, gdy mówimy o przemocy, mówimy o niej w szerszym kontekście aniżeli o przemocy fizycznej. Każde wykorzystanie przewagi aparatu państwa w celu kształtowania sytuacji prawnej metodą faktów dokonanych, policyjnego przejmowania urzędów i instytucji, byłoby zatem przemocą. Jeżeli mamy do czynienia z faktycznym przejęciem Telewizji Polskiej, Prokuratury Krajowej, sądów apelacyjnych, to mamy wiele działań z pozycji siły i bez podstawy prawnej, w celu przejęcia władzy nad instytucjami państwa. Gdyby tym tropem poszedł TK, to aktualne działania rządzących mogłyby potraktować jako wypełniające znamiona art. 13.

Jakiś czas temu PiS wytoczył lokalnemu dziennikarzowi proces o ochronę dóbr osobistych po tym, gdy ten określił partię mianem „faszystowskiej”. Sąd Okręgowy w Warszawie oddalił jednak powództwo, ponieważ w jego ocenie wypowiedź mieściła się w granicach swobody wypowiedzi, a „dziennikarz realizował konstytucyjną zasadę wolności słowa”. Logicznie rzecz biorąc, orzeczenie to oznacza, że PiS można określać mianem partii faszystowskiej. A skoro tak, to może w szerokiej interpretacji można ją zdelegalizować?

Od lat mamy do czynienia z banalizacją określenia „faszysta”. Sądy uznawały, że nazwanie kogoś „faszystą” jest wyrażeniem ocenym, a nie stwierdzeniem faktu. Jednak czym innym jest ocena metod i praktyk działania właściwych dla faszyzmu, szczególnie że zgodnie z przepisami ustawy o organizacji i trybie postępowania przed TK wszelkie wątpliwości rozstrzyga się na korzyść partii, a ciężar dowodu spoczywa na wnioskodawcy. W związku z tym po stronie wnioskodawcy leży wykazanie, że mamy do czynienia z konkretnymi, niedopuszczalnymi praktykami partii.

■ Załóżmy, że do Trybunału wpływa wniosek w sprawie partii parlamentarnej, a ten rozstrzyga go pozytywnie. Jak by to mogło wyglądać dalej? Co by się wydarzyło?

Mielibyśmy do czynienia z czymś absolutnie bezprecedensowym. Wbrew oczekiwaniom wielu komentatorów trzeba jednak podkreślić, że mandaty parlamentarne obecnych posłów by nie przepadły, ponieważ jako mandaty generalne wykonywane są w imieniu całego narodu i są przypisane do konkretnych osób, a nie do partii politycznej. Z pewnością przepadłyby majątek partyjny i subwencje.

Przejdźmy do spraw bieżących. Przed Wielkanocą funkcjonariusze ABW weszli do domów czterech posłów Suwerennej Polski. Najwięcej emocji wzbudziło przeszukanie u Zbigniewa Ziobry ze względu na to, że ABW weszła na teren posiadłości, gdy nikogo nie było, a pełnomocnik pojawił się kilka godzin później. Jak pan patrzy na to, co się wydarzyło?

To mieści się w logice eskalacji nadużyć, którą obserwujemy od grudnia. W sytuacji, w której nie było skutecznego sprzeciwu ze strony prezydenta lub TK, a wszystkie struktury siłowe posłusznie realizowały wytyczne, bez względu na to, że wykonywały zadania bezprawne, rząd poczuł się ośmielony, by pójść dwa kroki dalej, w stronę naruszenia immunitetu i zastraszania polityków opozycji. Taki jest rzeczywisty cel tych działań.

Wejście ABW nastąpiło wbrew przepisom Kodeksu postępowania karnego, wbrew zasadom, które w tym kształcie obowiązywały nawet w PRL. Niezależnie od naruszenia KPK pojawia się również ważne pytanie o granice immunitetu parlamentarnego. Jeżeli uznajemy, że nie chroni on miejsca zamieszkania posła, to otwieramy furtkę do zastraszania opozycji.

Założmy jednak, że uznajemy, iż immunitet nie rozciąga się na nieruchomości. Jak powinno wyglądać takie przeszukanie?

Jeśli mamy do czynienia z lokalem, w którym nikogo nie ma, to opóźnienie przeszukania o dobę czy dwie nic nie zmieni w tempie prowadzenia postępowania przygotowawczego. Zwłaszcza jeśli lokal można obserwować. Wymóg, by przeszukanie odbyło się w obecności właściciela, osoby przybranej lub pełno-

mocnika, to nie jest żadna czcza gwarancja. Ta obecność ma swoje uzasadnienie. Jeśli służby wchodzą bez żadnego nadzoru, to przecież coś może zniknąć poza protokołem, a coś innego może się wręcz pojawić. To są oczywiste rzeczy. Ponadto, co jest oczywiste dla służb, pozyskane w ten sposób dowody mogą nie zostać uwzględnione w toku postępowania sądowego, a związane z nimi postępowanie będzie nosić znamię nierzetelnego procesu w rozumieniu art. 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

Wiemy, że przeszukanie w domu Zbigniewa Ziobry trwało blisko 24 godziny. To standard czy może nadzwyczaj długi czas?

Z cywilizacji europejskiej wkroczyliśmy w dziką, turańską tradycję prawną

To nadzwyczaj długi czas. Służby wchodzące do obiektu wiedzą doskonale, po co tam wchodzą i w ramach jakiego postępowania, a także czego szukają.

Na drugi plan zeszła przez to sprawa ks. Olśzewskiego, który został aresztowany na trzy miesiące. Relacja jego pełnomocnika, mec. Krzysztofa Wąsowskiego, jest wstrząsająca. Okazuje się, że duchowemu odmówiono prawa do kontaktu z pełnomocnikiem, a temu drugiemu jakichkolwiek informacji.

W dodatku przeprowadzano z zatrzymanym i pozbawionym obrońcy księdzem czynności śledztwa. Mamy do czynienia ze świadomym naruszeniem gwarancyjnych procedur. Oczywiście jest dla mnie, że mamy do czynienia z zastraszaniem i próbą wymuszania zeznań. Mamy konkretną ofiarę, która z powodów politycznych została pozbawiona swoich praw.

Tymczasem sąd bardzo szybko zgodził się na trzymiesięczny areszt tymczasowy.

Nie znam materiału dowodowego przedstawionego w sądzie, natomiast ta decyzja jest dziwna i budzi bardzo dalekie zastrzeżenia, także w kontekście, o którym powiedziałem przed chwilą. W mojej ocenie celem tego aresztu jest takie pogniębienie psychiczne i złamanie

osoby zatrzymanej, by ta była gotowa do współpracy i potwierdziła zarzuty formułowane wobec niej lub osób trzecich.

Czy to nie jest tak, że mamy obecnie dwie rzeczywistości – prawną i polityczną? Z jednej strony prawo jest dosyć jasne, ale z drugiej dokonuje się zmian metodą faktów dokonanych. Jak się w tym odnaleźć?

W czasach zamętu musimy przypominać, że istnieje obiektywny ład prawny, który został brutalnie naruszony. Rzecz w tym, aby nie zapomnieć, że źródłem obecnych stanów faktycznych są naruszenia prawa, które mogą rodzić jedynie zatrute owoce. Wszystkie skutki bezprawia są bezprawne, a prędzej czy później każdy będzie można podważyć. Niebawem nie będzie już wolnych od zastrzeżeń formalnych wyroków ani postanowień prokuratury. Wymiar sprawiedliwości przestanie być wiarygodnym dostarczycielem wiążących rozstrzygnięć. Cała płynność obrotu gospodarczego zostanie zatrzymana. Narastający chaos dotrze do każdego obywatela. Zakończy się to powszechną utratą poczucia bezpieczeństwa. To w moim przekonaniu cena, którą ten rząd jest zdecydowany zapłacić za przejęcie całego aparatu państwa.

Jednak konsekwencje mogą być długofalowe. Rządzący wymontowali bezpieczniki, które później nie będą już przeszkadzać. Skoro teraz wszystko wolno, a rządzi się na podstawie uchwał sejmowych, to co w takim razie stanie na drodze w przyszłości?

Jeżeli zwykła większość sejmowa może uchwałami kontrolować państwo bez udziału prezydenta, to mamy do czynienia z sytuacją, w której nowa władza będzie miała rozwiązane ręce i będzie mogła zrobić wszystko. To oznacza, że z cywilizacji europejskiej wkroczyliśmy w dziką, turańską tradycję prawną. Dlatego głównym zadaniem nowej władzy nie powinno być brutalne przejmowanie państwa, ale systematyczne rozliczenie winnych. Pociągnięcie ich do odpowiedzialności konstytucyjnej i karnej, a wszystkich urzędników uczestniczących w bezprawiu do odpowiedzialności odszkodowawczej za wyrządzone państwu i obywatelom szkody. Przywrócenie poczucia sprawiedliwości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dużym echem odbiły się w polskich mediach słowa marszałka Sejmu, Szymona Hołowni. Właściwym sobie, płaczącym tonem wspomniął on o ponurym losie swojej żony w razie ewentualnego konfliktu zbrojnego. Żona marszałka Hołowni służy w wojsku jako pilot myśliwca. Lotnictwo, jak wiadomo, jest jednym z najkosztowniejszych, a zarazem najnowocześnie wyposażonych rodzajów polskich sił zbrojnych. Zakupy dziesiątków nowoczesnych amerykańskich myśliwców F-16 i F-35, do tego zaś koreańskich FA-50, kosztują podatników dziesiątki miliardów złotych. Wygląda na to, że marszałek Hołownia podchodzi do możliwości naszych „orłów” z zaskakującym pesymizmem. „Moja żona pojedzie na front, proszę pana. Moja żona zginie, jeżeli będzie konflikt zbrojny, nie daj Boże, nie życzę sobie tego, zanim pan ani ja zdążymy zrobić cokolwiek. Dlatego że służy realnie w siłach zbrojnych, a nie wojuje słowem, tak jak my to w mediach czy w polityce robimy” – podzielił się ponurymi przewidywaniami marszałek Hołownia.

Zakładanie z góry, że żona marszałka Hołowni w razie konfliktu zbrojnego zginie, wydaje się co najmniej dziwne. Świadczy ono o wyjątkowym braku wiary nie tylko w jakość polskiego sprzętu wojskowego, lecz także w umiejętności lotnicze pilotów. Ci ostatni nie po to wylatują co roku setki godzin kosztownych lotów ćwiczebnych, żeby zginąć, zanim marszałek Sejmu „zdąży zrobić cokolwiek”. Nie takie jest ich zadanie. Jak zgrabnie ujął to amerykański generał George Patton: „Celem wojny nie jest śmierć za ojczyznę, ale sprawienie, żeby tamci sku.wiele umierali za swoją”.

DUMA Z MUNDURU

Słowa polskiego polityka trudno uznać za reklamę kariery w wojsku. Prędy uchodzić za taką może wyznaczenie polskiego ministra spraw zagranicznych, Radosława Sikorskiego. Ten oświadczył, że jego własny syn jest zawodowym żołnierzem. Niestety, Sikorski junior zdecydował się wstąpić do armii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dla ogromnej większości Polaków, niedysponujących obcym obywatelstwem, służba w zagranicznych jednostkach zbrojnych nie posłuży za powód do dumy i rodzicielskich przechwałek.

„Porucznik” Morawiecki i „kapitan” Tusk?



Dariusz Wieronieczny

Czy ostatnie sondaże, wskazujące, że tylko dość niewielu Polaków (11 proc.) gotowych jest w wypadku agresji aktywnie bronić swojego kraju, nie powinny skłonić rządzących do aktywniejszego działania? Nic tak nie motywuje obywateli jak przykład płynący z góry, ta zaś, co skonstatować należy ze smutkiem, raczej się do wojskowej służby nie garnie

Na tych co nieco dziwnych i wysoce nietypowych przypadkach kończy się niestety lista polskich polityków, którzy wzmiankowaliby w przestrzeni publicznej o wojskowych aspiracjach najbliższych. Łatwo odnieść wrażenie, że wśród polskich polityków, parlamentarzystów i uczestniczących w polityce „autorytetów moralnych” znacznie popularniejsze jest kierowanie żon i potomstwa do pracy w sektorze paliwowym, biurach Unii Europejskiej lub międzynarodowych instytucjach finansowych. Czynią tak także ci z naszych polityków, którzy do wartości patriotycznych przykładają, sądząc po treści ulotek wyborczych, ogromną wagę. Czy dzieje się podobnie także w innych rejonach świata?

Najporęczniejszy wydaje się w tym względzie przykład Wielkiej Brytanii. Służba wojskowa mężczyzn z rodziny królewskiej to wielowiekowa tradycja. Jest ona dla mieszkańców królestwa nie

tylko źródłem dumy ze swoich sił zbrojnych, lecz także przekonania, że w razie zagrożenia obywatele ze wszystkich szczebli drabiny społecznej gotowi są do obrony swojego państwa. Nawet przyszła królowa Elżbieta II służyła w latach 40. ubiegłego wieku w formacji Auxiliary Territorial Service, w której znalazło się podczas wojny ponad 200 tys. brytyjskich kobiet. Przyszła królowa odbywała służbę „pełnoetatowo”, a zaczęła ją jako 18-latką w jednostkach zmechanizowanych. W marcu roku 1945 rozpoczęła szkolenie kierowcy i mechanika samochodowego, specjalizując się w obsłudze ciężkich pojazdów wojskowych, a później kierując ambulansem. Nie była to bynajmniej zabawa, podczas wojny zginęło 335 kobiet służących w ATS, jeszcze więcej zaś doznało różnego rodzaju ran. Dzisiejszy król Karol służył jako pilot odrzutowców na pokładzie brytyjskiego lotnictwa morskiego. Został też pilotem

helikopterów, operujących z pokładów lotniskowców i fregat. Służba pilota w lotnictwie morskim uchodzi za szczególnie niebezpieczną i wymagającą najwyższych umiejętności. Karierę w marynarce wojennej przyszedł król zakończył jako dowódca trałowca HMS „Bronington” pod koniec roku 1976. Jego syn, książę Harry, był pilotem śmigłowca Apache. Co warto podkreślić, latał także w Afganistanie, uczestnicząc w patrolach nad terytorium wroga.

WOJNA, NIE ZABAWA

Założenie munduru było zawsze cennym przywilejem brytyjskich parlamentarzystów. Już w czasie pierwszej wojny światowej 264 z nich wzięło udział w zmaganiach wojennych. Na froncie poległo 23 posłów z Izby Gmin i 20 członków Izby Lordów. Na front poszły całe roczniki elitarnych brytyjskich szkół, straty wśród studentów Oxfordu i Cambridge były szczególnie wysokie. Z pięciu studenckich przyjaciół pisarza J.R.R. Tolkiena we Francji poległo czterech. Pierwsza wojna światowa w podobny sposób zdziesiątkowała elity innych biorących w niej udział państw. Swojego syna, służącego jako oficer kawalerii, już w jednej z pierwszych bitew stracił naczelny wódz armii austro-węgierskiej, gen. Hötzenendorf. Podobne tragedie spotykały wtedy dowódców francuskich i niemieckich – ich synowie służyli w jednostkach bojowych, szli na front jako pierwsi, a w bitwach dawali przykłady poświęcenia i odwagi. Nie mogło być inaczej – przywódcy wzywający do narodowej mobilizacji i społecznej solidarności w obliczu wroga nie mogli oszczędzać potomstwu losu, który zgrywali swoim poddanym. Były to czasy, kiedy wierzono jeszcze w honor i chwałę, a rządzeni oczekiwali od rządzących najzupełniej dosłownego wypełniania składanych publicznie obietnic.

Podobnie działo się podczas drugiej wojny światowej, kiedy najbogatsze i najbardziej wpływowe rodziny wszystkich walczących stron wysyłały synów do niebezpiecznych, czasem niemal straszących misji. W wojsku amerykańskim służył przyszły prezydent JFK Kennedy. W czasie starcia z Japończykami na Pacyfiku jego okręt zatonął, a Kennedy został ranny. Mniej szczęścia miał jego starszy brat Joseph P. Kennedy Jr. Brał on udział

w tajnym projekcie „Anvill”, polegającym na wykorzystaniu napakowanych materiałami wybuchowymi ciężkich bombowców jako rodzaju sterowanych radiowo bomb, które niszczyć miały niemieckie umocnienia we Francji. Odważny pilot miał doprowadzać swoją maszynę bezpośrednio nad cel, a w ostatniej fazie ataku wyskakiwać na spadochronie. Były to misje o charakterze niemal samobójczym. Samolot Kennedy’ego eksplodował w powietrzu, zabijając pilota.

Nie inaczej od elit wolnego świata zachowały się sfery przywódcze sowieckie, niemieckie i japońskie. Obaj synowie Stalina służyli na froncie, starszy dostał się do niewoli i zginął zastrzelony w niemieckim obozie jenieckim. Ginęli synowie

członków Politbiura i KC, a także potomstwo niemieckich i japońskich dowódców. Na morzu polegli obaj synowie niemieckiego admirała Karla Donitz’a: starszy, Peter, na pokładzie okrętu podwodnego U-954, młodszy, Klaus, jako członek załogi ścigacza torpedowego. Syn japońskiego admirała Seeichi Ito, ostatniego dowódcy dumy japońskiej floty, pancernika Yamato, zginął 10 dni po swoim ojcu, atakując jako pilot kamikaze amerykańskie okręty pod Okinawą. Każdy z tych młodych ludzi mógłby zostać od służby z łatwością „wyreklamowany” przez wysoko postawionych tatusiów. Całkiem niedawno media informowały o synu izraelskiego generała i ministra, byłego szefa sztabu Gadiego Eisenkota, który poległ w ubiegłym roku





Żona marszałka Hołowni służy w wojsku jako pilot myśliwca. Na głównym zdjęciu: F-16 używany przez Siły Powietrzne Polski

FOT. ADOBE STOCK, INSTAGRAM.COM/SZYMON.HOLOWNIA

podczas walki z bojownikami Hamasu. Syn ministra służył na pierwszej linii frontu jako oficer w oddziale komandosów. Bez przesady można powiedzieć, że kariera w elitarnych jednostkach wojskowych jest w Izraelu nieformalną przepustką do kariery politycznej lub biznesowej. Uchylenie się od obowiązku wojskowego to powód do wstydu nie tylko dla młodego człowieka, lecz także dla całej jego rodziny.

Służba wojskowa w wielu rodzinach królewskich na Bliskim Wschodzie traktowana jest nie tylko jako narzędzie budowania propagandowego wizerunku domu panującego, lecz także jako metoda oddziaływania na nastroje poddanych. Dzisiejszy król Jordanii Ab-

dullah II przez lata służył w elitarnych jednostkach pancernych, po ukończeniu brytyjskiej akademii wojskowej Sandhurst. Przyszły król przesłużył rok jako porucznik w brytyjskim pułku pancernym, stacjonującym na terenie Niemiec, potem zaś 15 lat dowodził wojskami w swoim kraju. Owocem pancernych pasji monarchy jest znakomite muzeum czołgów w Ammanie, które polecieć można każdemu odwiedzającemu ten kraj, a zainteresowanemu militariami turyście. Wspomnianą już akademię wojskową Sandhurst kończyli też ojciec króla Abdullaha, król Jordanii Husajn, król Bahrajnu Hamad, emir Kataru szej-

Tamim, sułtan Omanu Quaboos, emir Kuwejtu szejk Saad oraz Winston Churchill.

KIEROWNIK NIE STRZELA

Co ciekawe, wzorce te wydają się obce współczesnej, polskiej elicie politycznej. Przykład schodzi niżej. Wydane niedawno rozporządzenie, realizujące zapisy ustawy o obronie ojczyzny z roku 2022, prezentuje imponująco szeroki katalog stanowisk upoważniających do zwolnienia ze służby w razie ogłoszenia mobilizacji. Są to nie tylko setki posłów i senatorów, lecz także dziesiątki tysięcy radnych i urzędników, tak państwowych, jak samorządowych. Zwolnieni są skarbnicy i sekretarze gmin i powiatów, skarbnicy i marszałkowie województw, dyrektorzy generalni i dyrektorzy wydziałów administracji wojewódzkiej, kierownicy i zastępcy kierowników naczelných i centralnych organów administracji rządowej. Nie będą mieli okazji zasłużyć się dla obrony ojczyzny dyrektorzy i zastępcy dyrektorów we wszystkich ministerstwach, doradcy ministrów, główni specjaliści do spraw legislacji, dyrektorzy w NBP, IPN i sądownictwie. Towarzyszyć im będą na tyłach funkcjonariusze policji, służb specjalnych, Służby Więziennej, straży pożarnej, Służby Celno-Skarbowej, Służby Ochrony Kolei, straży marszałkowskiej i Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Pełny wykaz stanowisk upoważnionych do mobilizacyjnych zwolnień równałby się długości tego artykułu i trudno nie odnieść wrażenia, że jest on zarówno elastyczny, jak i pojemny. Czy ostatnie sondaże wskazujące, że tylko dość niewielu Polaków (11 proc.) gotowych jest w wypadku agresji aktywnie bronić swojego kraju, a znacznie więcej (20,2 proc.) wyjechać z niego, nie powinny skłonić rządzących do aktywniejszego działania? Nic tak nie motywuje obywateli jak przykład płynący z góry, ta zaś, co skonstatować należy ze smutkiem, raczej się do wojskowej służby nie garnie. Czy zdołamy to zmienić? Widok znanych z telewizji polityków i ich potomstwa w mundurach wojsk pancernych i piechoty zmechanizowanej z pewnością podziałałaby na Polaków lepiej niż najokraglejsze hasła i wiecowe zapewnienia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Traktat złamanych zobowiązań

Nowe otwarcie w stosunkach polsko-litewskich nastąpiło po odzyskaniu przez oba państwa suwerenności. Wzajemne popieranie na arenie międzynarodowej, wspólne aspiracje do członkostwa w NATO i Unii Europejskiej miały stworzyć dobre warunki do dalszej współpracy. Problemem pozostawała jednak kwestia niezbyt przychylnego traktowania mniejszości polskiej na Litwie. Ale to miało się zmienić – jak zapewniali politycy litewscy – po podpisaniu traktatu, który miał rozwiązać wszelkie wątpliwości i uregulować status mniejszości narodowych po obu stronach granicy. W takiej to, prawie że sielankowej atmosferze prezydenci Lech Wałęsa i Algirdas Brazauskas podpisali w 1994 r. w Wilnie traktat zwany powszechnie



Bogusław Rogalski

Mija 30. rocznica zawarcia Traktatu o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy między Polską a Litwą. Smutna to jednak rocznica. A wszystko z powodu niewypełniania, a wręcz jednostronnego łamania przez Litwę traktatu. Są to praktyki urągające wszelkim standardom europejskim, sprzeczne z podpisanymi przez Litwę umowami międzynarodowymi. Przeciąganie liny z Polską trwa od lat, a w cieniu tej gry łamane są prawa polskiej mniejszości

dobrosąsiedzkim. Niestety, traktat pozostał martwy w części dotyczącej polskiej mniejszości na Litwie.

Przed analizą jego zapisów warto przypomnieć kilka faktów. Polacy na Litwie mieszkają od prawie 700 lat i są mniejszo-



wiązywać do szczególnego traktowania Polaków na Litwie.

TRAKTATOWE ZOBOWIĄZANIA

To dlatego w traktacie polsko-litewskim, w artykule 13, zapisano, że układające się strony zobowiązują się do poszanowania międzynarodowych zasad i standardów dotyczących ochrony praw mniejszości narodowych, w szczególności zawartych w Powszechnej deklaracji praw człowieka. Ponadto dodano, że osoby należące do mniejszości polskiej, które są polskiego pochodzenia albo przyznają się do narodowości, kultury lub tradycji polskiej oraz uznają język polski za swój język ojczysty, mają prawo indywidualnie lub wspólnie z innymi członkami swej grupy do swobodnego wyrażania, zachowania i rozwijania swej tożsamości narodowej, kulturowej, językowej i religijnej, bez jakiejkolwiek dyskryminacji. Zwrot „bez jakiejkolwiek dyskryminacji” ma tu kluczowe znaczenie.

Mimo to, dla jasności interpretacyjnej, w dwóch kolejnych artykułach traktatu doprecyzowano i dookreślono szczególne prawo do swobodnego posługiwania się językiem mniejszości narodowej w życiu prywatnym i publicznie oraz używania swych imion i nazwisk w brzmieniu języka mniejszości narodowej. Kropkę nad i postawił w traktacie zapis mówiący wprost, że strony powstrzymają się od jakichkolwiek działań mogących doprowadzić do asymilacji członków mniejszości narodowej wbrew ich woli oraz zgodnie ze standardami międzynarodowymi powstrzymają się od działań, które prowadziłyby do zmian narodowościowych na obszarach zamieszkałych przez mniejszości narodowe.

Co z tego zostało? Polska ze swej strony wywiązała się ze wszystkich zobowiązań traktatowych. Dodatkowo w gminie Puńsk wprowadzono 30 litewskich nazw dla wsi i osad. Litwa zaś do tej pory nie wywiązała się ze swoich zobowiązań.

WBREW UMOWOM

Od samego początku Litwa dokonuje obstrukcji traktatu i działając w złej wierze, łamie jego zapisy. Tak samo jak z premedytacją narusza inne konwencje i traktaty, które podpisała i ratyfikowała. Wbrew zasadom wprowadziła natomiast ustawę o języku państwowym przewi-

dującą nazewnictwo wyłącznie w języku litewskim. Jest to sytuacja nader kuriozalna, gdyż do niedawna na dwujęzyczność pozwalała ustawa o mniejszościach narodowych, której po 19 latach obowiązywania, w roku 2010, nie przedłużono (sic!). Doszło w ten sposób do niespotykanego w Unii przypadku, gdzie w kraju członkowskim o znacznym odsetku mniejszości narodowych zlikwidowano przewidzianą dla nich ochronę prawną. To ewidentny regres prawny, niezgodny z zaleceniami OBWE i Komisji Weneckiej. A co najważniejsze – niezgodny z duchem prawa międzynarodowego. Traktat z Lizbony także kładzie wielki nacisk na ochronę dziedzictwa kulturowego i językowego, wspierając różnorodność językową jako jedną z zasad podstawowych Unii Europejskiej. Jest to prawo przyznane obywatelom Unii w art. 21 i 22 Karty praw podstawowych, co oznacza, że próba wprowadzenia wyłączności danego języka stanowi ograniczenie i naruszenie podstawowych wartości Unii. Samo zaś pojęcie różnorodności językowej obejmuje w prawie unijnym zarówno języki urzędowe, jak i „współurzędowe”, regionalne oraz języki, które nie są oficjalnie uznane na terenie państwa członkowskiego. To ważna definicja w kontekście haniebnego, urzędowego zwalczania języka polskiego na Litwie.

Podobnie zresztą Litwa ignoruje Konwencję Ramową Rady Europy o Ochronie Mniejszości Narodowych, którą władze litewskie podpisały i ratyfikowały. Wbrew zasadom i dobremu obyczajom międzynarodowym nie implementowały jej do swojego systemu prawnego i tym samym jej nie przestrzegają. A konwencja mówi wprost, że w rejonach tradycyjnie zamieszkałych przez znaczącą liczbę osób należących do mniejszości narodowej będą umieszczane również w języku mniejszości nazwy lokalne, nazwy ulic i inne oznakowania topograficzne o charakterze publicznym. Nadto zapewnia się możliwość używania języka mniejszości w stosunkach pomiędzy mieszkańcami a organami administracyjnymi. Jest jeszcze jedna ważna konwencja, o której Litwa nie chce słyszeć. To Europejska karta języków regionalnych i mniejszościowych. Litwa należy do niechlubnego grona nielicznych państw, które nie ratyfikowały karty. W tej sprawie zdecydowane

ścią autochtoniczną. W wyniku powojennej zmiany granic, tzw. zdrady jałtańskiej, regiony etnicznie polskie znalazły się poza Macierzą. Pomimo niemieckiej okupacji, ponarskich mordów i wysiedleń, półwiecza sowietyzacji oraz eufemistycznie brzmiącej repatriacji społeczność polska na Litwie przetrwała i stanowi ok. 7 proc. ludności kraju. Jest też bardzo dobrze zorganizowana, a jej sztandarowe organizacje to Związek Polaków na Litwie i jej polityczne ramię Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin. Tradycyjnie największe skupiska Polaków są na Wileńszczyźnie. W rejonie wileńskim Polacy stanowią ok. 50 proc., w stołecznym Wilnie prawie 20 proc., a w rejonie sołecznickim aż 80 proc. ogółu mieszkańców. Liczby te powinny zobo-

■ stanowisko zajął w 2014 r. Parlament Europejski i wezwał do potępienia wszelkich praktyk, które poprzez dyskryminację językową lub poprzez narzuconą bądź ukrytą asymilację zwracają się przeciwko językowi i tożsamości innych wspólnot. A Litwa milczy.

JAWNA DYSKRYMINACJA

Przykładów jawnie dyskryminującej polityki wobec mniejszości polskiej jest wiele. Jeszcze w 1996 r. ustanowiono zawyżony próg wyborczy dla mniejszości. Przed wyborami wielokrotnie zmieniano granice okręgów wyborczych na niekorzyść polskiej mniejszości, mimo że stoi to w sprzeczności z wytycznymi Komisji Weneckiej przy Radzie Europy zalecającymi ochronę okręgów wyborczych zamieszkałych przez mniejszości narodowe. A jednak władze litewskie przeprowadzają co jakiś czas skrajnie niekorzystny dla Polaków podział okręgów, włączając znaczne obszary zamieszkałe przez ludność polską do okręgów z przewagą ludności litewskiej. W sposób bezprecedensowy we współczesnej Europie Litwa prowadzi politykę asymilującą mniejszości narodowe. Niezgodnie z konwencją i traktatem powoduje zmiany składu narodowościowego na obszarach zamieszkałych przez polską mniejszość. Widać to doskonale w procesie zwrotu ziemi skolektywizowanej w czasach sowieckich. W okolicach Wilna znaczną część ziemi będącej ongiś własnością miejscowej polskiej ludności teraz przekazuje się osadnikom pochodzenia litewskiego. W tym celu wykorzystuje się procedurę tzw. przeniesienia ziemi polegającą na tym, że osoba z głębi Litwy może ją „przenieść” pod Wilno, jakkolwiek niedorzecznie to brzmi. W rezultacie prowadzi to do sukcesywnej zmiany w strukturze demograficznej i własnościowej na Wileńszczyźnie.

Inna rzecz to sprawy oświaty. Utrudniane są funkcjonowanie i rozwój szkolnictwa polskiego. Ostatnio zdegradowano dwie sztanदारowe szkoły w rejonie trockim. Na obszarach, na których Polacy stanowią większość mieszkańców, władze litewskie stworzyły dodatkowy, alternatywny i uprzywilejowany system szkolnictwa państwowego, wyłącznie litewskojęzycznego. Tylko dzięki determinacji polskiej społeczności, strajkom szkolnym oraz dzięki skutecznej politycznej aktyw-

Zamiast hucznie otwieranego szampana z okazji 30. rocznicy traktatu politykom po obu stronach granicy przydałby się zimny prysznic

ności AWPL-ZChR, pod przewodnictwem jej lidera, niezłomnego Waldemara Tomaszewskiego, udało się zachować polskie szkolnictwo na Wileńszczyźnie.

Pamiętamy też dobrze, jak litewska Inspekcja Języka Państwowego nakładała grzywny na osoby prywatne, przedsiębiorców i samorządowców za używanie dwujęzycznych tablic informacyjnych i nazw ulic na obszarach, gdzie Polacy stanowią zdecydowaną większość mieszkańców. Na wniosek pełnomocnika litewskiego rządu nałożono drakońską karę w wysokości ponad 12 tys. euro na dyrektora administracji Samorządu Rejonu Solecznickiego Bolesława Daszkiewicza za używanie tablic informacyjnych z nazwami ulic w języku polskim, znajdujących się na prywatnych posesjach.

Wspomniana kara nie była jedynym przypadkiem rugowania polskości, polskiej kultury i języka polskiego z przestrzeni publicznej Litwy. Na panią Lucynę Kotłowską, dyrektorkę administracji Samorządu Rejonu Wileńskiego, sąd administracyjny również wielokrotnie nakładał grzywnę za zwłokę w wykonywaniu nakazu usuwania dwujęzycznych nazw ulic z domów mieszkańców, w tym przypadku rejonu wileńskiego. Był to bez wątpienia rodzaj państwowych represji i zastraszania polskiej społeczności. Przykłady takich działań można by mnożyć. Wszystkie one są sprzeczne z zapisanymi przez Litwę zobowiązaniami wynikającymi z zapisów traktatu i umów międzynarodowych. Co dalej?

ZIMNY PRYSZNIC ZAMIAST SZAMPANA

Sprawa wbrew pozorom jest nader oczywista. Dyskryminacja polskiej mniejszości narodowej na Litwie jest pogwałceniem prawa międzynarodowego i wyrazem złej woli państwa w podejściu

do ratyfikowanych traktatów i konwencji. Pacta sunt servanda, umów należy dotrzymywać, to jedna z podstawowych norm w stosunkach międzynarodowych, potwierdzana w wielu aktach prawa międzynarodowego. W konwencji wiedeńskiej o prawie traktatów zapisano, że każda umowa jest wiążąca, powinna być wypełniona w dobrej wierze i nie można usprawiedliwiać złamania umowy postanowieniami prawa wewnętrznego. A to właśnie od lat czyni Litwa, usprawiedliwiając swoje działania wobec polskiej mniejszości prawem wewnętrznym. W tej sytuacji inicjatywa leży po stronie państwa polskiego, którego obowiązkiem jest ochrona swojej mniejszości poza granicami. Jak widać, Litwa nie przejawia zamiaru wypełnienia zawartych wcześniej umów. A zatem Polska może skorzystać z dozwolonych prawem międzynarodowym form nacisku na celu wyegzekwowania zawartych zobowiązań.

Możliwości jest wiele. W przypadku rocznicowego traktatu polsko-litewskiego, na podstawie art. 60 wspomnianej wcześniej konwencji wiedeńskiej, Polska może wygasic lub zawiesić działanie traktatu w następstwie jego naruszenia przez Litwę, gdyż „istotne naruszenie traktatu dwustronnego przez jedną ze stron upoważnia drugą stronę do powołania tego naruszenia jako podstawy wygaśnięcia traktatu bądź zawieszenia jego działania w całości lub w części. W rozumieniu niniejszego artykułu istotne naruszenie traktatu polega na pogwałceniu postanowienia istotnego dla osiągnięcia przedmiotu i celu traktatu”.

To mocny środek w dyplomacji, ale być może konieczny do powstrzymania systemowego niszczenia polskości na Wileńszczyźnie oraz konieczny do ochrony mieszkających tam Polaków. Zamiast hucznie otwieranego szampana z okazji 30. rocznicy traktatu politykom po obu stronach granicy przydałby się zimny prysznic i dogłębna refleksja nad stanem dwustronnych relacji. Litwa musi zrozumieć, że w pełni dobre relacje z Polską będą możliwe tylko wtedy, gdy szanowane będą prawa Polaków na Litwie, a traktat wypełniany bez żadnych wyjątków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Bogusław Rogalski jest ekspertem do spraw międzynarodowych i polonijnych, w latach 2004–2009 był posłem do Parlamentu Europejskiego.



Kod rabatowy:
DORZECZY24

Poślubiła **ateistę**.
Po jej śmierci **Został** księdzem.

Z tym kodem w dn. 22-28.04 książka na stronie WYDAWNICTWOM.PL w cenie 47 zł.

Rewolucja feministyczna w Kościele rozpoczęła się wraz z drugą falą feminizmu, zbieżną w czasie z zakończeniem Soboru Watykańskiego II. Bezpośrednią inspiracją byli oczywiście protestanci. Kościół Ewangelicki Unii Staropruskiej wprowadził diakonat kobiet już w 1927 r., a od późnych lat 50. u niemieckich luteranów zaczęły pojawiać się pierwsze pastorki. W latach 70. i 80. ordynacja kobiet stała się normą w większości wspólnot protestanckich, w tym u wcześniej relatywnie bliskich katolikom anglikanów. Do Kościoła takie idee jako pierwsi chcieli wprowadzić Holendrzy.

W latach 1966–1970 obradował tzw. niderlandzki sobór duszpasterski pod nieformalnym kierunkiem franciszkanina o. Waltera Goddijna, zwanego „papieżem Holandii”. Na samozwańczym soborze powołano wiele reformistycznych komisji; kilka z nich zajmowało się tematem kapłaństwa. Holendrzy zaproponowali wprowadzenie wyświęcania kobiet. Holenderski projekt został przez Watykan zdecydowanie odrzucony, ale dyskusja już się nie zatrzymała.

NOWA „OCENA KOBIECY”

Duży impet debacie o roli kobiet w Kościele katolickim dały decyzje papieża Pawła VI. W 1967 r. opublikował motu proprio „Sacrum diaconatus ordinem”, którym ustanowił posługę diakonatu stałego, otwartego również dla żonatych mężczyzn. Wcześniej diakonat był elementem przygotowania do kapłaństwa. Teraz – już niekoniecznie, mógł być celem samym w sobie. Skoro tak, to zrodziło to naturalne pytanie: Dlaczego wykluczać z diakonatu stałego kobiety? Nie udzielono na to nigdy logicznej spójnej odpowiedzi. Paweł VI zrobił jednak dla pośredniej promocji feminizmu o wiele więcej. Roli kobiet dotyczyła też encyklika „Humanae vitae” ogłoszona przez tego samego papieża w 1968 r. Paweł VI pisał w niej o zakazie stosowania antykoncepcji. Tekst ma powszechną opinię odważnego i kontrkulturowego. Nie bez przyczyny, bo jest prawdą, że w tamtym czasie wielu domagało się od papieża udzielenia zgody na antykoncepcję. Encyklika zawiera jednak elementy myślenia rewolucyjnego. Papież pisał np. bezkrytycznie o mającym grozić ziemi przeludnieniu; stwierdzał też, że posiadanie większej liczby dzieci jest często „uciążliwe” z powodu nowych

Rewolucja feministyczna w Kościele



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki przez blisko dwa tysiąclecia nauczał, że wzorem kobiecości jest Matka Boża: w aspektach macierzyństwa i czystości. W latach 60. tę tradycyjną doktrynę zaczęła zastępować rewolucyjna teologia feministyczna. Na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci doprowadziło to do wielu zmian. Jesteśmy właśnie u progu kolejnej: diakonatu kobiet. Ostatecznym celem jest pełne „równouprawnienie płciowe” w Kościele, czyli wyświęcanie kapłanek

oczekiwań społecznych oraz nowej „oceny kobiety”. Dla ograniczenia liczby potomstwa zalecił małżonkom korzystanie z okresów niepłodności. W powszechnym odbiorze zaczęto szybko przedstawiać to jako „antykoncepcję naturalną”. Rozróżnienia, które Paweł VI poczynił między taką metodą a sztuczną antykoncepcją, były bardzo nieprzejrzyste i do dzisiaj wzbudzają krytykę – zarówno ze strony środowisk liberalnych, jak i konserwatywnych. Mentalność ograniczania liczby dzieci zaczęła zakorzeniać się wśród katolików na dobre. Co więcej, po „Humanae vitae” w Kościele rozwinęło się duszpasterstwo przedmażeńskie, które starało się pogodzić ze sobą dwie sprzeczności: powołanie kobiety do macierzyństwa z aktywnym udziałem też w życiu zawodowym i społecznym. To mniej więcej ta sama idea, która każe współczesnym rządom europejskim walczyć o wysoką dzietność, promując pracę kobiet i opiekę żłobkową. Efekty demograficzne tej polityki są dobrze znane.

Pontyfikat św. Jana Pawła II nie był wolny od napięć pomiędzy tradycyjną a rewolucyjną perspektywą na kwestię kobiety. Jeszcze jako kardynał Karol Wojtyła przypominał o podstawowym powołaniu kobiet. wielokrotnie przypominał o pod-

stawowym powołaniu kobiet. W kazaniu wygłoszonym 12 września 1976 r. stwierdził, że „życiowym powołaniem [kobiet] jest dawać ludziom życie”. Z kolei w przemówieniu do włóknarek z Łodzi wygłoszonym w 1987 r. mówił krytycznie o pracy zawodowej kobiet, wskazując, że ta praca musi być „traktowana wszędzie i zawsze z wyraźnym odniesieniem do tego, co wynika z powołania kobiety jako żony i matki w rodzinie”, a jako pracę kobiet należy docenić przede wszystkim to, „co kobieta czyni w domu: całą działalność matki i wychowawczyni”. W 1988 r. ten sam papież opublikował list apostolski „Ordinatio sacerdotalis”, gdzie w sposób kategoryczny odrzucił możliwość udzielania kobietom święceń kapłańskich. Z kolei w roku 1994 ogłosił list „Mulieris dignitatem”, gdzie za wzór postawił kobietom Matkę Bożą, w dwóch powołaniach: do macierzyństwa oraz do czystości.

Zgodnie z Tradycją? Tak, ale z drugiej strony dokładnie w tym samym 1994 r. Stolica Apostolska zezwoliła biskupom na kierowanie kobiet do służby przy ołtarzu jako ministrantki. Znalazło to potwierdzenie w instrukcji „Redemptionis sacramentum” z 2004 r. Dokument zawierał dziwne sprzeczność. Z jednej strony wskazano



W 2016 r. w nagraniu promującym papieskie intencje na maj pojawiły się wypowiedzi kobiet, które deklarowały: „Moja praca ma taką samą wartość jak praca mężczyzny” czy: „Dość dyskryminacji pracowniczek!”. Na skutek rewolucji feministycznej w Watykanie już przed Franciszkiem coraz chętniej korzystano też z pracy kobiet. W momencie, w którym Tron św. Piotra objął Bergoglio, pracowało tam w sumie 846 kobiet. Franciszek znacznie zwiększył ich udział: po 10 latach w Watykanie pracuje prawie 1,2 tys. kobiet, co stanowi w sumie 23,4 proc. wszystkich miejsc pracy.

OSTATECZNY CEL REWOLUCJI

Franciszek jako pierwszy zaczął też powierzać kobietom kierownicze zadania w urzędach Kurii Rzymskiej. W 2021 r. mianował sekretarzem Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka siostrę salezjańską Alessandrę Smerilli. Kilka innych kobiet uczynił podsekretarzami w różnych dykasteriach. Jedną z twarzy Synodu o synodalności została np. siostra ksawerianka Nathalie Becquart. W 2022 r. ogłosił konstytucję apostolską „Praedicate evangelium”, w której pozwolił na to, by watykańskimi dykasteriami kierowały osoby świeckie – zarówno mężczyźni, jak i kobiety. We wstępie do książki wydanej w 2023 r. Franciszek stwierdził, że „jest słuszne, by kobiety mogły wyrażać swoje zdolności w każdej sferze, nie tylko w obrębie rodziny”.

Papież z Argentyny znacząco zwiększył też liturgiczne zaangażowanie kobiet. W 2021 r. ogłosił motu proprio „Spiritus Domini”, w którym dopuścił kobiety do posług akolituatu oraz lektoratu. W tym samym roku wydał motu proprio „Antiquum ministerium”, tworząc posługę katechetatu, otwartą dla katolików obojga płci. To wszystko jednak dopiero wstęp do prawdziwej zmiany: realizacji jednego z głównych postulatów progresywnych rewolucjonistów, czyli diakonatu kobiet.

W 2016 r. Franciszek powołał specjalną komisję historyczną, która miała przyrzeć się żeńskiemu diakonatowi w starożytnym Kościele. Komisja nie doszła do żadnych konkretnych wniosków. W 2019 r. postulat wprowadzenia diakonis postawiła na ostro niemiecka „droga synodalna”. Temat był żywo dyskutowany na Syno-

dzie Amazońskim i znalazł aprobatę jego uczestników. Papież powołał w 2020 r. drugą komisję do spraw zbadania diakonatu kobiet. W 2021 r. ruszył Synod o synodalności, a kwestia feministyczna od razu znalazła się w jego centrum. Po kilku latach dyskusji nie ma już cienia wątpliwości, że wiodące siły stojące za projektem synodalnym Watykanu chcą wprowadzić żeński diakonat. Mówił o tym niedawno sam sekretarz generalny synodu kard. Mario Grech, ogłaszając, że diakonisy są „wołą Pana”. Papież Franciszek od ubiegłego roku organizuje regularnie spotkania z elitarną Radą Kardynałów poświęcone właśnie roli kobiet. Organizuje je m.in. włoska zakonnica s. Linda Pocher, która optuje za diakonatem kobiet. W lutym tego roku Pocher przeprowadziła na obrady papieża i kardynałów anglikańską biskup Jo Bailey Wells. Opowiadała o ordynacji kobiet w jej wspólnocie, a papież – jak zaświadczyła – słuchał z ogromną otwartością. Według Pocher Franciszek jest „zdeteterminowany”, by wprowadzić diakonat kobiet; szuka do tego tylko odpowiednich narzędzi.

Niedawno papież powołał do swojego Synodu o synodalności nowych ekspertów, wśród nich wskazując kilka kobiet otwarcie walczących nie tylko o diakonat, lecz także o żeńskie kapłaństwo. Ostatecznym celem rewolucji feministycznej w Kościele jest osiągnięcie tego samego, co było celem feminizmu politycznego: „równouprawnienia”. Według ideologów kościelnego feminizmu kobiety powinny mieć dostęp nie tylko do diakonatu, lecz także do kapłaństwa czy episkopatu.

Na pozór wydaje się to całkowicie niemożliwe, ale jeszcze do niedawna takie samo wydawało się błogosławienie związków tej samej płci. Tymczasem po latach urabiania katolickiej opinii publicznej czas w grudniu ubiegłego roku dojrzał do wprowadzenia takiego rozwiązania. Tak samo może być wkrótce z kwestią kapłaństwa. Kościół katolicki jest przecież strukturą domagającą się wewnętrznej spójności. Jeżeli tradycyjną naukę o powołaniu kobiety do macierzyństwa zastępuje feministyczna teologia aktywności i płciowej inkluzji, to musi wywołać to określone konsekwencje. Od ministrantek, przez akolitki i lektorki, do diakonis – a ostatecznie do kapłanek. Taka jest logika rewolucji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

tam, że służba przy ołtarzu „chłopców lub młodzieńców, zazwyczaj nazywanych ministrantami” „na przestrzeni wieków zrodziła wielką rzeszę wyświęconych szafarzy”. Z drugiej, w instrukcji postanowiono, by do tej właśnie służby – kolebki kapłaństwa – dopuszczać „dziewczeta lub kobiety”. Zaraz, zaraz... Jeżeli ministrantura historycznie zachęcała do zostawania księdzem – to w jakim celu ministrantkami mają być kobiety? W wielu krajach liberalnych doprowadziło to do poważnych perturbacji, a nawet narodzin schizmatycznych ruchów, w których kobiety, przyzwyczajone do służby przy ołtarzu, zaczęły mówić o odczuwaniu powołania do kapłaństwa albo decydowały się nawet „sprawować” Mszę Świętą. Były karane, ale trudno zaprzeczyć, że w pewnym sensie ich działania sprowokował sam Watykan.

Papież Franciszek zdecydowanie przyspieszył wysiłki na rzecz feminizacji Kościoła. Chociaż w wystąpieniach wielokrotnie podkreślał macierzyński aspekt kobiety, to wiele jego wypowiedzi czy działań szło w inną stronę. W 2015 r. stwierdził, że katolicy nie powinni „mnożyć się jak króliki”, ale „ćwiczyć się w odpowiedzialnym rodzicielstwie”. Socjalistyczny model kobiety traktorzystki nadal żywy?



Z ks. prof. Waldemarem Chrostowskim
rozmawia Paweł Lisicki

Rozmowy o śmierci Mesjasza w cieniu Golgoty



Kiedy pierwszy raz na początku chyba 2020 r. odezwał się do mnie Krystian Kratiuk z propozycją zrobienia filmu odwołującego się do mojej książki „Kto zabił Jezusa?”, ale nakręconego w Izraelu i z udziałem ks. prof. Waldemara Chrostowskiego, nie wahałem się ani chwili. Z realizacją projektu trzeba było jednak poczekać. Wiadomo, Izrael był jednym z państw najbardziej zaangażowanych w tzw. walkę z pandemią i dotarcie tam oraz swobodne poruszanie się były długi czas praktycznie wykluczone.

Kiedy jednak histeria się skończyła, do pomysłu wspólnego wyjazdu można było wrócić. Dawno się tak nie cieszyłem. Czym innym jest bowiem pisać książkę, opierając się na dokumentach, analizach, wykładach, przekazach i źródłach, a czym innym znaleźć się w Ziemi Świętej i kroczyć śladami Zbawiciela.

W tej książce tak ja jak mój rozmówca, ks. prof. Chrostowski, skupiamy się na historii i teologii. Na pytaniach, które od początku zawsze poruszały chrześcijan. Jak doszło do procesu Jezusa? Dlaczego tak popularny początkowo Nauczyciel

z Galilei skończył ostatecznie na krzyżu? Kim byli Jego sędziowie i oskarżyciele? Do jakich frakcji religijnych należeli i czym się one od siebie różniły? Dlaczego doszło do procesu przed rzymskim prefektem? Na czym dokładnie polegało oskarżenie i czym różniło się postępowanie przed Sanhedrynem od tego przed trybunałem namiestnika? Co w nauce Nazarejczyka było nowe, a co należało do dziedzictwa Starego Testamentu? Kim był dla ówczesnych Żydów Mesjasz? Czy wszyscy oni mieli jeden jego obraz, czy też – przeciwnie – oczekiwania były różne i niekiedy



FOT. ADAM STUCK

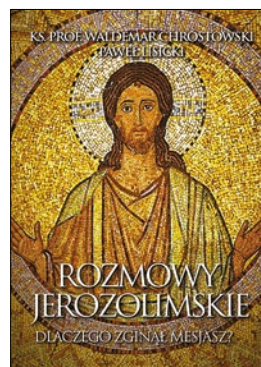
PAWEŁ LISICKI: Rozmawiamy w jerozolimskim Ogrodzie Oliwnym, patrząc na rzesze pielgrzymów, którzy przybywają do bazyliki Agonii Jezusa, upamiętniającej Jego modlitwę w Ogrójcu i pojmanie. Historycy od niepamiętnych czasów spierają się o to, co naprawdę było główną przyczyną procesu i skazania Jezusa Chrystusa. Z tych różnych teorii możemy wymienić kilka najważniejszych. Wszystkie są oczywiście oparte na przekazach ewangelicznych. Po pierwsze, z lektury Ewangelii według św. Jana wynika, że głównym powodem było wskrzeszenie Łazarza. Po czterech dniach oczekiwania Jezus przybywa do Betanii i wskrzesza Łazarza, który trzy dni wcześniej został złożony do grobu. Zgromadzeni Żydzi, widząc ten cud, zaczynają się zastanawiać, czy nie jest to oczekiwane objawienie Mesjasza. Udają się do Jerozolimy, powiadamiają starszyznę oraz faryzeuszy i arcykapłanów. Wkrótce odbywa się posiedzenie, czy też spotkanie, pod przewodnictwem Kajfasza, na którym padają słynne słowa, że lepiej, aby jeden człowiek zginął za naród, niż żeby miał zginąć cały naród. I zapada decyzja, że Jezus ma umrzeć.

Wielu komentatorów podkreśla jednak, że ten zapis znajduje się tylko w Ewangelii według św. Jana. Odwołują się oni do trzech pozostałych Ewangelii kanonicznych i wskazują na trzy zasadnicze ich zdaniem wydarzenia, kluczowe dla zrozumienia przebiegu wydarzeń. Najpierw namaszczenie Jezusa w Betanii przez Marię, która wylewa na Niego flakonik olejku nardowego. Tę formę namaszczenia, jak twierdzą niektórzy historycy, można uznać za przygotowanie mesjańskie. Gdy wieści o tym, za pośrednictwem Judasza, docierają do żydowskich kapłanów i starszych, wywołują ich reakcję. Drugim wydarzeniem jest triumfalny wjazd Jezusa do Jerozolimy. Zgromadzone tłumy i okrzyki „Hosanna!” nasuwają skojarzenia z Synem Dawida, a tytuł ten wiązano z Mesjaszem. Trzecie zaś wydarzenie, które wskazuje się jako kluczowe, to wypędzenie kupców ze Świątyni Jerozolimskiej i zapowiedź jej zburzenia, co zresztą później, podczas procesu Jezusa przed Sanhedrynem, się przewija.

Co książd profesor o tym sądzi? Które z tych wydarzeń i czy w ogóle możemy uznać za przyczynę? Myślę, że one się uzupełniają, a nie przeciwstawiają sobie. Jednak wiadomo, że historycy zawsze szukają jakiegoś jednego kluczowego momentu i starają się go ustalić.

KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI:

W spojrzeniu na te sprawy, jak w każdej innej sytuacji, trzeba odróżnić przyczyny od pretekstów. Pretekstem może być wszystko, natomiast przyczyny bywają bardzo głębokie. Gdy chcemy ustalić przyczyny pojmania Jezusa i skazania Go na śmierć, musimy postawić pytanie,



KS. PROF. WALDEMAR CHROSTOWSKI
„ROZMOWY JEROZOLIMSKIE”
FRONDA 2024

skąd pochodziła wielka wrogość, która doprowadziła do dramatycznych wydarzeń Jego męki i śmierci. Nie zrodziła się ona tydzień czy miesiąc wcześniej, a tym bardziej dopiero kilka dni przed pojmaniem Jezusa. Przeciwnie, narastała od dawna i w pewnej chwili wybuchła w aktach narastającej, niesprawiedliwej przemocy.

Żeby to zrozumieć, potrzebna jest ogólniejsza refleksja nad złożonością ówczesnego życia żydowskiego. W czasach Jezusa judaizm, religia żydowska, był zjawiskiem wielopostaciowym. W jego obrębie mieściły się rozmaite stronnictwa czy ugrupowania, zarówno o charakterze religijnym, jak i politycznym. Najbardziej znanymi z nich byli faryzeusze i saduceusze oraz eseneńczycy, których pisma znaleziono w Qumran nad Morzem Martwym, a także zeloci i sykaryjczycy. Ci ostatni, sykaryjczycy, byli wręcz terrorystami; pozostałe ugrupowania prezentowały zaś mniej lub bardziej rygorystyczne poglądy i postawy, a w wielu sprawach były między sobą zwaśnione. Od początku swej publicznej działalności Jezus nie pasował do żadnego z tych ugrupowań i w każdym z nich budził niechęć, przeobrażającą się we wrogość. Bodaj najbliższe było Mu do stronnictwa faryzeuszy – które jednak nie powinno być postrzegane z późniejszej perspektywy, kiedy wielu jego przedstawicieli drastycznie zwróciło się przeciw wyznawcom Jezusa Chrystusa i przeciw Kościołowi, dając początek judaizmowi rabinicznemu.

Trzy lata publicznej działalności Jezusa obfitowały w wiele wydarzeń, wybranych i streszczonych w Ewangeliach kanonicznych. Stosunkowo wcześniej, niemal od początku Jego działalności,

wzajemnie się wykluczały? Kim byli kapłani i jaką rolę odgrywali w Świątyni? Dlaczego jeden z uczniów Jezusa Go zdradził i na czym dokładnie polegało jego wiarołomstwo? Jak to się stało, że Mesjasz przyszedł do swego ludu, a ten Go odrzucił?

Czytelnicy zauważą na pewno różnice perspektyw. Ja starałem się zawsze pytać o tło historyczne, polityczne, społeczne i je pokazać, mój interlokutor; książd profesor, podkreślał wymiar teologiczny i religijny. To naturalne i mam nadzieję, że z punktu widzenia odbiorcy korzystne.

■ zastanawiano się nad pytaniem, które On sam postawił swoim uczniom pod Cezareą Filipową: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?”. Gdy usłyszał różne odpowiedzi, zapytał: „A wy za kogo Mnie uważacie?”. Pytanie o tożsamość Jezusa – o to, za kogo On się uważa i kim naprawdę jest – powracało w różnych okolicznościach.

Mogło to być pytanie bardzo podobne do tych, które zadawano Janowi Chrzcicielowi. Mamy opisy ewangeliczne mówiące, że z Jerozolimy wysłano do Jana delegację złożoną z faryzeuszów i z kapłanów, i nad Jordanem rzeczywiście padło pytanie: „Kim ty jesteś?”, czyli: Jakie masz prawo, aby prowadzić swoją działalność? Zakładam, że również Jezus mógł zostać poddany podobnemu badaniu czy sprawdzeniu, połączonemu z pytaniem, kogo reprezentuje, skąd pochodzi Jego autorytet i jaką ma władzę. Może warto – zresztą książkę profesor o tym wspominał – przedstawić w kilku słowach te żydowskie stronnictwa, gdyż historycy rzeczywiście spierają się np. co do tego, czy zeloci byli drugą po sykaryjczykach frakcją zbrojną, przypominającą współczesnych radykalnych muzułmanów, która była przekonana, że wpłynąć na Imperium Rzymskie oraz wyrzucić Rzymian z Judei i terytorium Ziemi Świętej, zaprowadzając Królestwo Boże, można tylko przemocą. Z kolei sykaryjczycy byli radykalną wersją zelotyzmu, która rozwinęła się w latach 40. i 50. po Chrystusie. Dokonywali zamachów terrorystycznych, zbliżając się do upatrzonych ofiar z ukrytym sztyletem i szybko zadając cios. Ciekawe, ale nierozstrzygnięte pytanie dotyczy tego, czy wybierając strategię zakładającą, że rządy Rzymian da się obalić tylko zbrojnym powstaniem, zeloci byli przekonani, że kiedy to nastąpi, Izrael stanie się panem wszystkich narodów. Jak Bóg jest jedynym Bogiem, tak Izrael będzie panował nad wszystkimi. Inne pytanie dotyczy tego, czy i w jakiej mierze takie przekonania i nadzieje wywodziły się z faryzeizmu. Józef Flawiusz, wspominając o zelotach, wzmiankuje niejakiego Sadoka, nauczyciela faryzejskiego, który był ojcem duchowym tego ruchu, jak on go nazywa. Jest to więc również pytanie, jak ściśle były związki między grupą radykalną a tą, która zajmowała się przede wszystkim interpretacją Prawa, i w jakim stopniu przyczyniły się one do wybuchu powstania przeciw Rzymianom.

Sprawy te są na pewno ciekawe i ważne, ponieważ ustalenie wszystkich przyczyn wrogości wobec Jezusa ma duże znaczenie. Jednak Jezus, chociaż wpisany w cały ówczesny kontekst religijny, kulturowy, społeczny, ekonomiczny i polityczny, prowadził swoją działalność ewange-

lizacyjną niejako obok tego wszystkiego. Utrzymywał rezerwę wobec wszelkich żydowskich stronnictw czy ugrupowań i nie utożsamiał się z żadnym z nich.

To ja dopowiem, dlaczego uważam, że ów związek między faryzeuszami a sykaryjczykami istniał. To bardzo ważne, co książkę profesor powiedział, że Jezus był obok tych wszystkich stronnictw żydowskich. Ale co je ze sobą łączyło? – Wszystkie były oparte na kulcie i przynależności narodowej, czyli na zdecydowanym przeświadczeniu, że Żydzi, i tylko Żydzi, są „światłem dla narodów”. Stąd brały się wykluczanie myślących inaczej oraz mocny sprzeciw wobec pogan. Paganie byli traktowani nie jako ktoś, do kogo należy dotrzeć z uniwersalnym przesłaniem, lecz jako ktoś, kogo należy podbić albo się go pozbyć. Krótko mówiąc, różnica między Jezusem a zapatrywaniem ówczesnych stronnictw dotyczy kwestii uniwersalizmu. Jest on wpisany w misję Jezusa, ale pojawia się przeciw już w nauczaniu Jana Chrzciciela, który na Pustyni Judzkiej powiedział, że „z tych kamieni może Bóg wzbudzić dzieci Abrahamowi”. Nauczanie to było przez ogół ówczesnych Żydów odrzucane, ponieważ poczucie wybrania, własnej tożsamości i wyodrębnienia było wśród nich bardzo powszechne.

Przy wnikliwej lekturze wszystkich czterech Ewangelii kanonicznych zauważymy, że nie odnosią się one w ogóle do rozmaitych ruchów i ugrupowań żydowskich o orientacji politycznej. Nie ma w nich śladów oddziaływania tego wszystkiego, o czym pod koniec I w., czyli kilkadziesiąt lat później, już po zburzeniu Świątyni Jerozolimskiej, pisał Józef Flawiusz. Opisujący przez niego świat był już inny niż świat Jezusa i Kościoła apostołskiego. Chociaż nadal był to ten sam świat żydowski, to nie był on już taki sam, jak przed rokiem 70. Ewangelie odzwierciedlają sytuację istniejącą ok. 40 lat przed zagładą Jerozolimy. Zatem, mimo że jest to ten sam świat, to jednak oglądany z całkiem innej perspektywy. W spojrzeniu na Jezusa trzeba przede wszystkim uwzględnić tę perspektywę, którą odzwierciedlają Ewangelie. Natomiast Józef Flawiusz i jego dzieła to późniejsza epoka, kiedy spory i konflikty w obrębie świata żydowskiego znacznie się zaostrzyły.

Ewangelie przedstawiają świat żydowski z pierwszych dekad I w. jako różnorodny, ale w tej różnorodności od samego początku brakowało miejsca dla Jezusa. Jezus jest kimś, kto – tak czy

inaczej – przychodzi z innego świata i nie pozwala się wpisać w ograniczenia istniejących wówczas realiów. Dlatego Ewangelie zgodnie zaświadczały, że obok zainteresowania i uznania, obok entuzjazmu i podziwu wobec Jezusa, obok pójścia za Nim i pragnienia naśladowania Go, od początku niemal stale objawiały się nieskrywana rezerwa i silny sprzeciw. Pojawiły się one bardzo wcześniej, bo przecież Ios, który miał się stać udziałem Jezusa w Jerozolimie, zapowiedziało już dramatyczne odrzucenie Go przez mieszkańców rodzinnego Nazaretu. Kiedy na samym początku działalności wystąpił On w tamtejszej synagodze i po przeczytaniu fragmentu Księgi Izajasza stwierdził: „Dziś spełniły się te słowa Pisma, które słyszeliście”, wyrzucono Go z miasta i wyprowadzono na urwisko góry, aby Go stamtąd strącić. Nie było dla Niego miejsca w rodzinnej miejscowości, co podsumowała gorzkimi słowami, że „żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie”.

Czyli można powiedzieć, że Jerozolima była dopełnieniem, ukoronowaniem czy przypieczeniem tego, co zaczęło się wcześniej. A propos wystąpienia w Nazarecie, to podczas lektury Ewangelii – opis ten pochodzi z Ewangelii według św. Łukasza – rzeczywiście może nasunąć się pytanie, co wzbudziło aż taką wrogość. Spotkałem się z całkiem przekonującymi argumentami wskazującymi na to, że kiedy Jezus cytuje proroka Izajasza, urywa czytanie w miejscu, w którym – gdyby kontynuował lekturę – pojawiłaby się zapowiedź, że Bóg przygotował zemstę na innych narodach i pokona wszystkich pogan. Tego w nauczaniu Jezusa w ogóle nie ma. To znaczy nie ma elementu Jego wrogości nastawienia wobec pogan. Nie ma nadziei na to, że wkrótce rozpocznie się świeckie, doczesne, polityczne panowanie Izraela. Jezus ucinął to proroctwo w momencie, w którym Jego słuchacze oczekiwali na słowa, że wreszcie pokonamy Rzymian i się wyzwolimy. Takie zadanie miał spełnić oczekiwany potomek Dawida i to miała być jego główna misja.

Nie widzę tego w ten sposób. Reakcja słuchaczy w nazaretańskiej synagodze dotyczyła nie tego, czego Jezus nie przeczytał, ale tego, co przeczytał i co natychmiast wzbudziło ich wrogość. Historycy, snując rozmaite hipotezy, powinni brać pod uwagę realia. To nie było tak, że Jezus przerwał czytanie Księgi Izajasza w momencie, który uznał za odpowiedni. Wydarzenie to nastąpiło w dniu szaba-

tu, w synagodze, do której Jezus – jak zaznaczył ewangelista Łukasz – „udał się swoim zwyczajem”. Trzeba wiedzieć, że czytania synagogałne, przewidziane na szabaty roku liturgicznego, były starannie rozpisane i składały się z dwóch części. Pierwszą stanowił wyznaczony na dany szabat fragment Tory, czyli Pięcioksięgu Mojżesza, druga zaś, zwana haftara, pochodziła ze zbioru Proroków. Oba czytania były ściśle ustalone, podobnie jak w Kościele katolickim ustalone są czytania w Liturgii Słowa podczas Mszy Świętej. Nie jest tak, że sprawujący Mszę ksiądz może przerwać w dowolnym miejscu jakieś czytanie lub je przedłużyć, gdyż pasuje mu to do koncepcji jego homilii. Owszem, może je w niej dopowiedzieć, lecz istnieje wyraźna różnica między czytaniem liturgicznym a homilią czy kazaniem.

Nie inaczej było w przypadku wystąpienia Jezusa w synagodze w Nazarecie. Odczytany przez niego tekst ma wyraźną nośność i dynamizm mesjański, ale – wbrew sugestiom autorów wspomnianej hipotezy – nie w rozumieniu politycznym. Kiedy słuchacze usłyszeli, że „dzisiaj spełniły się te słowa Pisma, które słyszeliście”, słusznie uznali, że Jezus, który był mieszkańcem ich miasta, przypisuje sobie godność Mesjasza. W ich reakcji nie było podtekstów politycznych, natomiast był silny sprzeciw wobec tego, co możemy określić jako konsekwencje tajemnicy Wcielenia – a więc również tego, kim jest Mesjasz. Ich sprzeciw można przełożyć na język kolokwialny tak: „Ty Mesjaszem? Ty, wywodzący się spośród nas? Ty, którego dobrze znamy? Ty uważasz siebie za Mesjasza?”. Był to lokalny sprzeciw wobec „ziomka”, który zaskoczył, a nawet wręcz zaszokował uczestników szabatowej liturgii synagogałnej. Powszechnie wyobrażano sobie, że Mesjasz będzie kimś, kto przyjdzie jako Wielki Oczekiwany, kto będzie wykraczał poza ramy doczesności i doraźnego umiejscowienia w przestrzeni, a za pewnie i w czasie. W gwałtownej reakcji mieszkańców Nazaretu dochodzą do głosu te same zarzuty, które będą się powtarzały jeszcze wielokrotnie, co niemal za każdym razem będzie mogło skończyć się dla Jezusa bardzo źle.

Można spróbować jeszcze coś powiedzieć na temat owego szoku słuchaczy Jezusa. Jeden z nas, mieszkańców Nazaretu,

sugeruje, że jest Mesjaszem, a przecież my go znamy. Skoro to sugeruje, to chcemy wiedzieć, na czym polega ta godność mesjańska. Samo to stwierdzenie, przytoczone z Księgi Izajasza, że „Duch Pański spoczywa na mnie”, wydawało się absolutną uzurpacją i czymś niesprawdźdalnym. Owszem, jeden z nurtów nadziei i oczekiwań mesjańskich rzeczywiście miał w tym okresie silne zabarwienie polityczne. Józef Flawiusz, pisząc z późniejszej perspektywy o buncie antyrymskim, który wybuchł w 6 r., czyli w czasach Jezusa, wspomina o narastaniu wrogich wobec Rzymian nastrojów politycznych. Bardzo prawdopodobne, że właśnie wtedy zniszczone zostało Seforis, miasto położone ok. 6 km na wschód od Nazaretu. Dzieje Apostolskie wspominają o buncie Judy Galilejczyka, krwawo uśmierzonego przez legiony rzymskie, które dokonały masakry kilku tysięcy powstańców. Tak, nurt polityczny mesjanizmu politycznego na pewno był obecny...

Nie wiemy oczywiście, czy i w jakim stopniu nurt ten wpłynął na odrzucenie Jezusa w Nazarecie, ale mógł być jedną z jego ważnych przyczyn. Natomiast rzeczywiście, Ewangelie praktycznie od samego początku mówią o wrogości wobec Jezusa. Pierwsze symptomy, o których mowa w Ewangeliach według św. Marka i według św. Mateusza, pojawiają się wówczas, gdy Jezus uzdrawia paralityka, po czym dodaje: „Dziecko, odpuszczone są twoje grzechy”. Ewangelista Marek mówi, że kilku uczonych w Piśmie, będących świadkami tego wydarzenia, pomyślało wówczas w swych sercach: „Czemu On tak mówi? Błuzni! Któż może odpuszczać grzechy, prócz jednego Boga?”. W ich przekonaniu Jezus wypowiadał bluźnierstwo. Zatem pojawia się nowy element: Jezus nie tylko czuł się tym, na którym spoczął Duch Pański, lecz także występuje w roli tego, kto ma władzę odpuszczania grzechów. W przekonaniu uczonych w Prawie i świadków uzdrowienia paralityka oznaczało to przypisanie sobie władzy należącej wyłącznie do Boga. Po raz pierwszy pojawia się zarzut bluźnierstwa, który powróci podczas procesu przed Sanhedrynem.

W kilku zdaniach znalazło się kilka kwestii wartych skomentowania. Najpierw powróćmy jeszcze raz do Nazaretu i do tego, co się tam wydarzyło. Jakkolwiek nastroje polityczne wśród Żydów w I w. na pewno się ujawniały, to były jednak mocno zróżnicowane, co potwierdza także Józef Flawiusz. Nie sądzę, żeby zdominowały one prowincjonalny

Nazaret, gdyż nic na to nie wskazuje. Żydzi zebrani w tamtejszej synagodze dobrze zrozumieli, o co chodzi Jezusowi. Odczytując i rozważając w każdy szabat fragmenty Prawa i Proroków, ożywiali w sobie nadzieje i oczekiwania mesjańskie. Wszystkie one były ukierunkowane ku przyszłości, która miała dopiero nadejść. A oto Jezus – jeden z nich – obwieszcza, że ta przyszłość już nadeszła i właśnie się spełnia. Właśnie to roszczenie Jezusa wywołało ogromną konsternację – ty, teraz i tutaj?! W takim wypadku podtekst polityczny nie odgrywał wielkiej roli i historycy nie powinni go przeceniać kosztem posłannictwa religijnego i duchowego dynamizmu, którym nacechowane były oczekiwania mesjańskie, od dawna obecne w biblijnym Izraelu.

Sprzeciw i wrogość wobec Jezusa, kiedy się już raz uwidoczniły, stałe otąd narastały i przybierały rozmaity kształt. Zawsze jednak ujawniały się w okolicznościach religijnych. Co się tyczy uzdrowienia paralityka, to po ludzku rzecz biorąc, takie uzdrowienie jest czymś absolutnie niemożliwym. Jeżeli ktokolwiek deklaruje zdolność uzdrawiania, to skutki tej deklaracji widać albo ich nie widać.

Albo ktoś wstaje, albo nie i nadal leży sparaliżowany...

Właśnie tak! Jezus dokonał uzdrowienia, co zszokowało wszystkich świadków tego wydarzenia w Kafarnaum, ale nie położył nacisku na samo uzdrowienie. Zadał natomiast pytanie, którego sens ci świadkowie doskonale zrozumieli, mianowicie: „Cóż jest łatwiej powiedzieć paralitykowi: odpuszczone są twoje grzechy czy też powiedzieć: Wstań, weź swoje nosze i chodź?”.

To była Jego odpowiedź na ich pytanie: „Któż może odpuszczać grzechy, prócz jednego Boga?”.

Jezus nie odpowiedział wprost na to pytanie ani nie podjął dyskusji, lecz zadeklarował: „Dziecko, odpuszczone są twoje grzechy”. Tym mocniej więc nasuwa się pytanie, kim On jest, bo odpuszczać grzechy może jedynie Bóg. Podobnie jak w Nazarecie, Jezus także w innych okolicznościach przypisuje sobie władzę należną tylko Bogu. I właśnie to budzi niezwykle silny sprzeciw. W środowisku rzymskim byłoby inaczej, ale przecież cały czas pozostajemy w obrębie świata

żydowskiego. W świecie żydowskim wciąż dają o sobie znać podteksty specyficznie religijne. Jezus właściwie poza ten kontekst religijny nie wychodzi albo wychodzi bardzo rzadko, nakierowując otoczenie na taką czy inną kwestię natury bardziej społecznej czy kulturowej niż politycznej. W każdych warunkach w Jego nauczaniu zdecydowanie dominuje perspektywa religijna, zakorzeniona w wierze i pobożności biblijnego Izraela.

Zapewne z tego powodu Jezus niechętnie i bardzo ostrożnie używa w odniesieniu do siebie określenia „Mesjasz”. Czy przyzwolenie na to określenie następuje dopiero podczas procesu przed Sanhedrynem? Ponieważ wcześniej tylko Piotr pod Cezareą Filipową wyznał: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Jest to w zasadzie jedyna taka deklaracja, i to złożona nie przez Jezusa. Choć nie – Ewangelia według św. Jana zaświadcza, że także Samarytanka, pytając w rozmowie z Jezusem o Mesjasza, usłyszała: „Jestem nim Ja, który z tobą mówię”. Do rozpoznania mesjańskiej godności Jezusa doszła również Marta, siostra Marii, na krótko przed wskrzeszeniem Łazarza. Jednakże Jezus, mówiąc o sobie, często posługuje się określeniem „Syn Człowieczy”, a nie „Mesjasz”.

Oczywiście zgadzam się, że główna misja i przesłanie Jezusa nie miały charakteru politycznego. Ale przecież przesłanie to wybrzmiało w świecie, w którym wszystko było w niemałej mierze polityczne; związki między religią a polityką były w ówczesnym judaizmie bardzo silne. Patrząc w tych kategoriach, można by powiedzieć, że judaizm był formą teokracji z arcykapłanem, Sanhedrynem oraz zarządzającymi życiem religijnym, społecznym i politycznym. Wszystko zatem zahaczało o religię – trochę inaczej niż w naszym dzisiejszym świecie, gdzie można te sfery oddzielić. Niechęć do określania się wprost „Mesjaszem” wynikała z pragnienia uniknięcia owego fałszywego rozpoznania. Dobrze pokazuje to ewangelista, opowiadając o reakcji powstałej po rozmnożeniu chlebów. Kiedy Jezus nakarmił lud, tłum był gotowy porwać Go i obwołać królem. Jest to jedno z tych wydarzeń, które wyjaśniają, dlaczego Jezus, głoszący misję religijną, musiał uważać, żeby nie została ona odczytana jako forma politycznego mesjanizmu, co mogłoby wypaczyć całe Jego posłannictwo.

Groźba politycznego rozumienia Mesjasza na pewno stale istniała i dochodziła do głosu. Przebija się ona zwłaszcza w dociekaniach współczesnych historyków, którzy uznają istnienie silnego sprzężenia między religią żydowską

a światem polityki. Również w dzisiejszym świecie jest ona obecna, wskutek czego przerzuca się współczesne kategorie na starożytność albo kategorie ze starożytności przenosi na nasze czasy. Jeżeli jednak pozostaniemy na gruncie Ewangelii – a są one najważniejszym źródłem do poznania Jezusa i świata, w którym On żył i działał – to koncepcja Mesjasza była przede wszystkim religijna. Wywodziła się z Biblii Izraela, czyli pierwszej części Biblii chrześcijańskiej, określanej jako Stary Testament. W nazewnictwie chrześcijańskim wyróżnia się trzy jej części: księgi historyczne, dydaktyczne i prorockie. Na gruncie Biblii Hebrajskiej – nie tak obszernej jak Stary Testament, bo nieobejmującej ksiąg napisanych lub przekazanych w języku greckim – mamy do czynienia z odmiennym podziałem: Tora, Prorocy i Pisma. W żadnym z tych zbiorów nie ma wielu sposobności do politycznego rozumienia Mesjasza. Istnieją wprawdzie elementy, które można uznać za polityczne czy też tak je zinterpretować, lecz dominuje perspektywa religijna.

W deklaracjach Jezusa, dotyczących Jego prawdziwej tożsamości, na pierwszy plan wysuwają się dwa wydarzenia. Najpierw wspomniana rozmowa z uczniami pod Cezareą Filipową, w której padają pytania: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?” oraz: „A wy za kogo Mnie uważacie?”. Jezus uznał, że po pewnym czasie nauczania i działalności, który właśnie dobiegał końca wskutek Jego decyzji o udaniu się do Jerozolimy, doprowadzi swoich uczniów do prawidłowego rozpoznania Jego godności mesjańskiej. Innymi słowami, uznał, że osiągnął zasadniczy cel dotychczasowej pedagogii. Wiemy, że mimo wyznania Piotra sprawy wkrótce przybrały inny obrót, niemniej jednak właśnie to jego wyznanie rozpoczyna nowy etap. Po nim, jak czytamy w Ewangelii według św. Mateusza, „Jezus zaczął wskazywać swoim uczniom na to, że musi udać się do Jerozolimy i wiele wycierpieć od starszych i arcykapłanów oraz uczonych w Piśmie; że będzie zabity i trzeciego dnia zmartwychwstać”. Jezus deklaruje: „A teraz pójdziemy do Jerozolimy. Tam Syn Człowieczy zostanie pojmany i będzie cierpiął”. Zapowiedź ta wywołała gwałtowne oburzenie Piotra: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie

przyjdzie to nigdy na Ciebie!”. Piotr wyobraża sobie wypełnienie misji Jezusa bez cierpienia i tego wszystkiego, co Jezus właśnie zapowiedział. Wyznał, że Jezus jest Mesjaszem, ale pozostaje przy swojej koncepcji Mesjasza, w której nie ma miejsca na mękę i śmierć. Reakcją Jezusa jest oburzenie na Piotra: „Zejdź mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo nie myślisz po Bożemu, lecz po ludzku”. Jezus surowo napomina Piotra, mówiąc, że nie może Go powstrzymywać przed losem, który ma Mu przypaść w udziale.

Drugim kluczowym wydarzeniem jest przesłuchanie Jezusa przed Sanhedrynem. Po wszystkich oskarżeniach, które padły w sfingowanym procesie, arcykapłan stawia najważniejsze, wręcz fundamentalne pytanie, które jest zrozumiałe tylko w języku hebrajskim, aczkolwiek zostało przełożone na grecki i inne języki. Pytanie arcykapłana, zachowane w Ewangelii według św. Mateusza, brzmiało: „Atta Mašijach Ben Baruch?” – „Czy ty jesteś Mesjasz, Syn Boży?”. Wtedy Jezus, jedyny raz, odpowiada: „Tak, Ja nim jestem”. Nie jest to zwyczajna deklaracja, potwierdzająca prawdziwość słów arcykapłana, lecz coś znacznie większego. Jezus nawiązuje do objawienia Imienia Bożego na Synaju, najświętszego Imienia Boga, czyli Jahwe, którego ortodoksyjni Żydzi nigdy nie wymawiali i nadal nie wymawiają, zastępując je słowem „Adonaj”, „Pan”. W przekładzie Biblii Hebrajskiej na język grecki, opracowanym w III i II w. przed Chrystusem w Aleksandrii i znanym jako Septuaginta, „Adonaj” zostało przełożone jako „Kyrios”. Dlatego wyznając Boską godność Jezusa, mówimy „Pan Jezus”. Nie jest to wyraz uprzejmości, lecz nawiązanie do odpowiedzi, którą u stóp Synaju usłyszał Mojżesz: „Moje Imię jest: JESTEM”.

W wyznaniu Piotra aspekt religijny otrzymuje bardzo mocne podkreślenie wtedy, gdy ewangelista Mateusz przytacza słowa Jezusa, stanowiące odpowiedź na deklarację: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Jezus odpowiada, że słowa te nie pochodzą wyłącznie „z ciała i krwi”, lecz są owocem objawienia. Uznanie mesjańskiej godności Jezusa, jej wymiaru religijnego, zostało więc udzielone przez Boga. W tym sensie całe to wydarzenie było przełomowe: z jednej strony Jezus swymi czynami ukazywał, kim jest, z drugiej zaś Jego uczniowie stopniowo dochodzili do prawidłowego

rozeznania – nie sami z siebie, lecz wspomagani przez objawienie, które zostało im dane i bez którego nie mogliby dostrzec tego, czego nie widzieli inni.

Właśnie tak! Pedagogia Jezusa doprowadzała do rozpoznania Go oraz wyznania Jego mesjańskiej godności. Odbywało się to w klimacie codziennej bliskości Jezusa, przenikniętej wsłuchiwaniem się w Jego słowa i modlitwą, wspomagany przez Boga. Pod Cezareą Filipową Jezus ujrzał, że został właściwie zrozumiany i rozpoznany przez grono swoich uczniów. Oprócz tego wydarzenia było wiele innych, nazywanych cudami, lecz Jezus traktował je jako znaki przeznaczone przede wszystkim dla swoich najbliższych, z którymi związał życie. Miały one na celu nie zaskakiwanie czy budzenie zdziwienia, lecz wskazywanie, kim On naprawdę jest. Dlatego Jezus z satysfakcją, po ludzku biorąc, stwierdził: „Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie”.

W tym doprowadzaniu przez Jezusa uczniów do wyznania wiary uwidacznia się zatem wyraźnie przede wszystkim element religijny?

Pod Cezareą Filipową nie było miejsca na politykę. Powtórzmy: bardzo ważne jest to, co nastąpiło zaraz później, czyli zapowiedź udania się do Jerozolimy. Nie ma ona nic wspólnego z polityką i ówczesnymi realiami politycznymi, które – tak czy inaczej – będą się przewijały. To, co nastąpi, będzie stanowiło dalszy ciąg wcześniejszej pedagogii Jezusa; zostanie ona doprowadzona do miejsca, w którym rozmawiamy – do Ogrodu Oliwnego, do Getsemani. Istnieje bardzo ścisły związek między wydarzeniem pod Cezareą Filipową i złożonym tam przez Piotra wyznaniem a tym, co wydarzyło się tutaj, w Ogrodzie Oliwnym.

[...]

Wróćmy do wątku zadanego podczas przesłuchania przed Sanhedrynem pytania arcykapłana, kim jest Jezus, i Jego odpowiedzi, uznanej przez niego za wyznanie Jego boskości. Arcykapłan, zwracając się do pozostałych członków Sanhedrynu i rozdierając szaty, stwierdził: „Zbliźni! Na cóż nam jeszcze potrzeba świadków? Oto teraz słyszeliście bluźnierstwo. Jak wam się zdaje?” „Jak wam się zdaje?”. Wielka debata, która toczy

się na temat tych słów, dotyczy pytania, na czym dokładnie polegało bluźnierstwo Jezusa. Gdyby uznawał siebie tylko za Mesjasza, to ogłoszenie się Mesjaszem samo w sobie nie było bluźnierstwem. Natomiast Jezus odpowiedział: „Tak, ja nim jestem” i dodał: „Odtąd ujrzycie Syna Człowieczego, siedzącego po prawicy Wszechmocnego i nadchodzącego na obłokach niebieskich”. Wypowiedź ta składa się z dwóch cytatów: z siódmego rozdziału Księgi Daniela oraz z Psalmu 110. Obydwa wskazują na boską godność Jezusa Chrystusa, co tłumaczy, dlaczego arcykapłan dostrzegł w nich bluźnierstwo, polegające na uzurpowaniu sobie – jak on to rozumiał – miejsca równego Bogu. Tłumaczy to również jego gwałtowną reakcję oraz skazanie Jezusa na śmierć przez cały Sanhedryn. A być może wyjaśnia też inny, bardzo ciekawy fakt: Jezus, który nieco wcześniej, wjeżdżając do Jerozolimy, spotykał się ze znaczącym uznaniem, z głosami „Hosanna Synowi Dawidowemu!”, po wydaniu przez Sanhedryn wyroku śmierci nie miał już zwolenników. Jego uczniowie uciekli, a głos ludu umilkł albo opowiedział się po stronie Barabasa.

To, czego nie rozumieją ci współcześni komentatorzy, którym brakuje wyczucia żydowskiego kontekstu tych spraw, doskonale zrozumiał arcykapłan. Po sformułowaniu oskarżeń i wstępnym przesłuchaniu rozmowa toczyła się między arcykapłanem a Jezusem. Arcykapłan stawia pytanie i spodziewa się, że odpowiedź będzie bardzo wyrazista. Przypomnę jego pytanie: „Atta Mašijach Ben Baruch?” – „Jesteś Mesjaszem, Synem Błogosławionego?”. Jezus nie poprzestał na objawieniu swojej mesjańskiej godności, ponieważ istniały rozmaite koncepcje Mesjasza, a On nie wpisywał się bez reszty w żadną z nich. Odpowiedział słowami nawiązującymi do objawienia się Boga na Synaju. Kiedy Mojżesz zapytał: „Jakie jest Twoje imię?”, usłyszał w odpowiedzi: „Ja Jestem”. Imieniem Boga jest Jego życiodajna i skuteczna obecność. Nawiązując do tego, Jezus wyznaje swoją Boską godność. Do arcykapłana docierały głosy o uzurpowaniu sobie godności mesjańskiej, a teraz arcykapłan usłyszał, że oto ten stojący przed nim człowiek, związany i bezradny, rzeczywiście przypisuje sobie Boską tożsamość. Natychmiast zareagował tak, jak podpowiadały mu jego urząd i posiadane rozeznanie: „Zbliźni!”. Uznał Jezusa za groźnego zwodziciela. Starotestamentowa Księga Powtórzonego Prawa nakazuje, aby takiego człowieka wykluczyć ze wspólnoty i ukarać śmiercią.

Dlatego arcykapłan dodał: „Na cóż nam jeszcze potrzeba świadków? Oto teraz słyszeliście bluźnierstwo!”. A wszyscy zebrani zawołali: „Winien jest śmierci!”.

Jest to perspektywa religijna. Nie ma tu miejsca na politykę ani nie potrzeba polityki, ponieważ Jezus w oczach arcykapłana posunął się zdecydowanie za daleko w sferze religijnej. Powrócimy do tego, gdy będziemy rozważali mękę i śmierć Jezusa, starając się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak wielu Żydów nie uznało Jego mesjańskiej i Boskiej godności. Dlaczego nie przekroczyło – jak określił to Jan Paweł II – progu wiary w Niego. To jest właśnie zasadnicze pytanie.

Żydzi nie mieli władzy wykonywania wyroków śmierci. Mogli te wyroki wydawać, ale ich egzekwowanie – to znaczy władza wykonawcza – należało do Rzymian; i dlatego Jezus został zaprowadzony przed namiestnika rzymskiego, którym w tym okresie był Poncjusz Piłat. Ale namiestnika nie interesowały żydowskie spory religijne co do tożsamości i posłannictwa Mesjasza.

Proces przed Piłatem musiał być polityczny.

I tak się stało. Radykalna zmiana polegała na tym, że namiestnikowi rzymskiemu przedstawiono Jezusa jako króla żydowskiego. Mimo to w przytoczonej przez św. Jana wypowiedzi władz żydowskich, oskarżających Jezusa, pojawia się wątek religijny. Gdy Piłat powiedział: „Zabierzcie go i sami ukrzyżujcie! Ja bowiem nie znajduję w nim winy”, żydowscy oskarżyciele odpowiedzieli: „My mamy Prawo, a według Prawa powinien on umrzeć, bo sam siebie uczynił Synem Bożym”. Nie pojawia się wprost zarzut bluźnierstwa, ale oskarżenie nawiązuje mimo to do wydanego wcześniej wyroku. Tak otrzymujemy kolejne potwierdzenie zgodności między Ewangelią według św. Jana a trzema wcześniejszymi Ewangeliami. Widzimy ten sam wspólny element, który wielu współczesnych egzegetów pomija, twierdząc, że jest to rzekomo zupełnie inna historia i cztery relacje ewangeliczne nie są ze sobą spójne. Analizując je bez uprzedzeń i zaprogramowanej podejrzliwości, stwierdzamy, że jest wręcz przeciwnie: Ewangelie nawzajem dopowiadają się i uzupełniają.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Grzegorz Majchrzak

W wyborach czerwcowych 1989 r. strona solidarnościowa zdobyła niemal wszystkie możliwe do zdobycia miejsca w Sejmie i Senacie. Dla startujących w jej barwach prawdziwe wybory dokonały się kilka tygodni wcześniej. Wówczas to wyłaniano „drużynę Wałęsy”

Zgodnie z ustaleniami Okrągłego Stołu opozycja (strona solidarnościowa) mogła w wyborach – zaplanowanych w dwóch turach, na 4 i 18 czerwca 1989 r. – wywalczyć 161 miejsc w Sejmie PRL i 100 w Senacie. I – poza jednym – w izbie wyższej (wbrew swoim obawom oraz oczekiwaniom władz PRL) je zdobyła. Paradoksalnie w tych pierwszych częściowo wolnych i demokratycznych (całkowicie w przypadku Senatu) wyborach przyczyniła się do tego nie do końca demokratyczna procedura przyjęta przez Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Dla zwiększenia szans wyborczych wystawiono nie po kilku kandydatów, lecz tylko po jednym na każde możliwe do obsadzenia miejsce w parlamencie. Jak do tego doszło?

BEZ WOLNEJ KONKURENCJI

Pod koniec marca 1989 r. liderzy KO przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie (m.in. Bogdan Borusewicz, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Janusz Pałubicki, Andrzej Wielowieyski czy Henryk Wujec) podjęli decyzję o utworzeniu regionalnych sztabów wyborczych, których zadaniem miało być m.in. wytypowanie kandydatów do Sejmu i Senatu. Ich działania miało koordynować centralny sztab wyborczy, a akcję wyborczą firmować Komitet Obywatelski. Podjęto również inną – mało demokratyczną – decyzję, że nie należy dopuścić do tego, aby działacze Solidarności byli



Solidarnościowe

wysuwani przez inne organizacje, a także aby z ramienia związku kandydowały osoby, które nie uzyskają akceptacji KO i samego Lecha Wałęsy. Oznaczało to wycofanie się z wolnej konkurencji wyborczej – lansowanej zresztą przez stronę opozycyjną przy Okrągłym Stole na rzecz jednej listy opozycyjnej w każdym okręgu.

Formalną uchwałę w sprawie wyborów przyjęła z kolei – 7 kwietnia – Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność”. Zobligowała ona Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie „do objęcia patronatu” nad kampanią wyborczą, jako Komitet Obywatelski „Solidarność”. Jednocześnie zalecała regionalnym



Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie,
Uniwersytet Warszawski, 1989 r.

FOT. JAN BOGACZ/PAP

prawybory 1989 r.

strukturom związku zorganizowanie (we współpracy z NSZZ Rolników Indywidualnych) wojewódzkich oraz regionalnych KO „Solidarność”. I to właśnie ich zadaniem miało być m.in. „formowanie regionalnych list kandydatów”. Na podstawie tych zestawień zbiorczą listę krajową miał opracować Komitet Obywatelski „Solidarność”.

Krajowa Komisja Wykonawcza „wyrażała nadzieję”, że na listach tych znajdują się „osoby reprezentujące różne środowiska społeczne i różne orientacje polityczne kontynuujące solidarnościową tradycję odpowiedzialności za losy ludzi pracy w Polsce i za losy kraju”, a wśród nich również członkowie związku. Nie do końca tak się jednak stało...

Dzień po uchwale KKW – czyli 8 kwietnia – zebrał się KO „Solidarność”, który ostatecznie przesądził tryb wyłaniania kandydatów na parlamentarzystów, a także podjął decyzję o utworzeniu w Komitecie Obywatelskim zespołów, których zadaniem będzie przygotowanie wyborów (w tym zespołu do spraw koordynacji listy kandydatów i do spraw organizacji).

Wyłoniona w kolejnych tygodniach reprezentacja KO nie była najmocniejszą z możliwych. Wynikało to z kilku przyczyn. Po pierwsze, na start nie zdecydował się sam Wałęsa, a to spowodowało, że z kandydowania zrezygnowali m.in. Zbigniew Bujak czy Władysław Frasyniuk. Przewodniczący Solidarności swoją decyzję uzasadniał, podczas posiedzenia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” 8 kwietnia, w następujący sposób: „Możemy nie zdążyć rozwiązać problemów ekonomicznych i odium spadnie na was, na naszych senatorów. Wy przegracie, a ja będę czysty. Musi być ktoś w odwodzie, by mógł ratować was i kraj”.

Z kolei dla Bujaka i Frasyniuka rzekomo ważniejsza miała być działalność w związku. Prawdziwa przyczyna była zupełnie inna. Jak po latach relacjonował Bujak: „O tym, że nie kandydujemy, zdecydowaliśmy się w momencie, w którym także Lech Wałęsa powiedział: »Nie, ja nie kandyduję«. Uznaliśmy, że jeżeli Lech mówi, że nie kandyduje, tzn. że coś się kroi, nie wiemy jeszcze co, ale coś się kroi. No co? Wiedzieliśmy, że Lech Wałęsa w różnych momentach gotów jest wystawiać ludzi, ale jak coś idzie nie tak, to można ich spisywać na straty, poddawać krytyce. Okazuje się, że on wycofuje się do swojego Sulejówka, ale po to, żeby w odpowiednim momencie skrytykować”. I dodawał: „No dobrze, tylko że taka krytyka klubu parlamentarnego mogła być bardzo groźna. Kto w takim razie mógłby w tym momencie stawać w obronie tego klubu? Oczywiście najważniejsze jest to, co o tych ludziach, a jeśli będzie rząd solidarnościowy, to o rządzie, najważniejsze jest to, co mówi »Solidarność«. W związku z tym uznaliśmy z Władkiem Frasyniukiem, że nasze miejsce jest w »Solidarności“.

Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby przeszła – mało zresztą demokratyczna – propozycja zgłoszona

■ 23 kwietnia 1989 r. na posiedzeniu KO przez Adama Michnika „Zeby zobowiązać Przewodniczącego i wszystkich ludzi przez niego wyznaczonych do startowania w wyborach”.

Wracając do tych, którzy nie zdecydowali się kandydować, to była jeszcze jedna grupa osób (m.in. Aleksander Hall, Tadeusz Mazowiecki czy Jan Olszewski), która zrezygnowała w proteście przeciw odrzuceniu ich koncepcji poszerzenia zaplecza Komitetu Obywatelskiego.

WALKA O MIEJSCA

Inni jednak przystąpili do boju o miejsca na listach KO. Był on bardzo krótki – trwał zaledwie nieco ponad dwa tygodnie, ale czasami bywał niezwykle zacięty i miał po kilka rund. Nie obyło się zresztą bez konfliktów związanych z równoległym tworzeniem KO przez skonfliktowane, czasem zwalczające się środowiska i lokalne grupy solidarnościowego podziemia – w efekcie w niektórych regionach powstawały nawet trzy konkurencyjne struktury komitetowe.

Do sporów w kwestii ich personalnego kształtu, a co za tym idzie – list kandydatów do parlamentu doszło np. w Łodzi, gdzie powstały Łódzkie Porozumienie Obywatelskie i Wojewódzki Komitet Obywatelski „Solidarność”. Podobnie było również w Białymstoku, Bydgoszczy, Koninie, Płocku, Piotrkowie, Radomiu czy Suwałkach. Te różnice, spory były zazwyczaj rozstrzygane przez liderów Komitetu Obywatelskiego lub pozostałych członków zespołu do spraw koordynacji listy kandydatów i do spraw organizacji. Było to o tyle łatwiejsze, że – jak stwierdzały władze PRL, a konkretnie Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – widoczne było „duże zdyscyplinowanie i podporządkowanie centrali”. Zresztą w oczach kierownictwa partii proces wyłaniania kandydatów strony solidarnościowej miał być „ściśle kontrolowany przez opozycyjne centrum”, a nawet „w niektórych fragmentach” rzekomo występowało „ręczne sterowanie”.

Jednak – co warto podkreślić – proces wyłaniania kandydatów na parlamentaryzistów na szczeblu wojewódzkim zazwyczaj przebiegał w sposób demokratyczny. Najczęściej odbywały się prawyborczy przeprowadzane według ustalonych wcześniej

demokratycznych procedur i przyjętych regulaminów, a samo głosowanie często miało charakter tajny i składało się z kilku tur. Tak było np. na Górnym Śląsku, gdzie do wyłonienia zwycięzców niezbędne okazały się trzy rundy. Na marginesie – przynajmniej według katowickiej Służby Bezpieczeństwa – ustalenie kandydatur „pogłębiało antagonizmy wśród działaczy

wą) oraz programy. Odpowiadały one również na liczne pytania. Pięć z nich – w tym nieobecny na posiedzeniu KO Zenon Żłakowski – wywalczyło nominację.

Zdarzało się także, że Komitety Obywatelskie wyznaczały własne kryteria, które powinni spełniać kandydaci na przyszłych parlamentarzystów. Tak było np. w Bolesławcu, gdzie miejscowy KO

Reprezentacja Komitetu Obywatelskiego nie była najmocniejszą z możliwych. Wynikało to z kilku przyczyn. Po pierwsze, na start nie zdecydował się sam Wałęsa, a to spowodowało, że z kandydowania zrezygnowali m.in. Zbigniew Bujak czy Władysław Frasyniuk

»S[solidarności]« w regionie”. Funkcjonariusze dodawali: „Uwidacznia się to m.in. w częstych zmianach na liście kandydatów »S[solidarności]« na posłów oraz w negatywnych komentarzach poszczególnych osób w stosunku do wysuwanych kandydatów. Odrzucono kandydatury m.in. następujących znanych działaczy »Solidarności«: Tadeusza Jędynaka, członka Komisji Rewizyjnej RKW NSZZ »S[solidarności]«, Kazimierza Świtonia, działacza Stronnictwa Pracy, członka RKW NSZZ »S[solidarności]«. Osoby te ubiegają się o wybór na posła, prowadząc indywidualne kampanie wyborcze”.

Oczywiście w poszczególnych przypadkach ten tryb się różnił, niekiedy zresztą znacząco. I tak np. w Olsztynie przeprowadzono wstępny, wewnętrzny sondaż, na którego podstawie 19 kwietnia przygotowano listę kandydatów, uszeregowaną według liczby uzyskanych przez nich głosów. Omawiano ją dzień później podczas posiedzenia Komitetu Obywatelskiego Regionu Warmińsko-Mazurskiego i w „długotrwałej i miejscami bardzo burzliwej dyskusji oraz [przy] licznych wnioskach” ustalono listę osób, które miały zaprezentować swój program (m.in. w jej trakcie odrzucono propozycję, aby jednym z kandydatów był proponowany przez Warszawę Wiewiółowski), i zrezygnowano z osób, które w sondażu otrzymały tylko jeden głos. Ostatecznie na liście znalazło się sześć osób, z których pięć zaprezentowało swoje osiągnięcia zawodowe i społeczne (w tym oczywiście działalność związkową)

zdecydował, że potencjalny kandydat (kandydatka): „1) Może, ale nie musi być członkiem »Solidarności«; bezpartyjny i bez przeszłości partyjnej. 2) Osoba otwarta na problemy innych ludzi, życzliwa i skłonna poświęcić im swoje umiejętności, czas i wiedzę. 3) Osoba o dużym poczuciu odpowiedzialności, o niezłomnej postawie trwania przy powszechnie uznanych za cenne wartościach. 4) Ktoś o zainteresowaniach szerszych niż zakreślone zawodem, zorientowany w podstawowych problemach miasta, Polski i świata. 5) Osoba mniej lub bardziej znana w środowisku i ceniona, z której postawą i poglądami mogą się utożsamiać nasze grupy społeczne. 6) Ktoś, kto głoszone ideały popiera czynem; kto podejmował lub sam uczestniczył w działaniach na rzecz ludzi »Solidarności«, wspólnoty parafialnej, środowiska zawodowego”. Jak przy tym dodawano: „Odstąpienie od jednego z wyżej podanych kryteriów musi być uzasadnione szczególną wagą pozostałych”.

KTO DECYDOWAŁ?

Czasem – jak np. w Warszawie – zdarzały się również odstępstwa od demokratycznej zasady wyłaniania kandydatów. Jak wspomina przewodniczący stołecznego KO Jan Lityński: „Początkowo myślałem, że kandydatów wyłonimy właśnie przez głosowanie w tym Komitecie, ale tutaj natrafiłem na dość duży upór R[egionalnej] K[omisji] W[ykonawczej], która miała ambicję, aby wyznaczać kandydatów na posłów,

w uzgodnieniu z nami, ale... W rezultacie dziesięciu kandydatów na posłów zostało wyznaczonych przez RKW". Tak ten wybór zapamiętał Jerzy Dyner, który uzyskał prawo do startu w wyborach do Sejmu: „To nie była kwestia jak w dzisiejszych czasach, że ktoś chce kandydować, to była kwestia wyboru władz związku [...]. Przypominam sobie doskonale spotkanie na Politechnice Warszawskiej, przed salą no chyba ok. 300–400 osób i to nieprzypadkowych klientów, których tak jak dzisiaj można zbajerować byle opowieściami o świetlanej przyszłości Polski. Byli to starzy wyjadacze związkowi z ruchów różnych, wcześniejszych, którzy nie daliby się nabrać na byle opowieści, więc selekcja była bardzo merytoryczna. Poza tym dbano, jak pamiętam, o to, żeby były reprezentowane poprzez »Solidarność« różne grupy zawodowe. Nie było tak, że jakieś grupy pominięto z definicji, były tam i wielkie zakłady pracy, czyli przemysł, i było środowisko lekarzy, nauczycieli". Zupełnie inaczej wyglądało to natomiast w przypadku Senatu. „Kandydatów na senatorów to już ja wybierałem. Głosowania żadnego nie było. Zwróciłem się do środowisk naukowych, do środowiska nauczycielskiego i do środowiska lekarskiego, żeby wyłonić tych kandydatów. Było dziewięciu kandydatów w dziewięciu dzielnicach Warszawy i trzech kandydatów zatwierdzonych przez to szerokie gremium Komitetu” – relacjonował po latach Lityński.

Na decyzje podejmowane w terenie próbowali – z różnym skutkiem – wpływać liderzy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. I tak np. w Białymstoku Kuroń, z którym były konsultowane tamtejsze kandydatury, zasugerował oddanie dwóch miejsc powstałemu tam w lutym 1989 r. Klubowi Białoruskiemu. Wywołało to jednak „ostry sprzeciw” lokalnych działaczy i w efekcie kandydaci białoruscy wystartowali – oczywiście bez powodzenia – z niezależnego Białoruskiego Komitetu Wyborczego.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że pewien – oczywiście nieformalny – wpływ na dobór kandydatów do parlamentu miał również Kościół, który bardzo mocno wspierał stronę solidarnościową w wyborach czerwcowych, często zresztą odgrywając rolę mediatora i rozjemcy w przypadku lokalnych sporów. Tak było np.

w przypadku Skierniewic, w których miał on wręcz „utracić” kandydaturę przedstawiciela NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” Edwarda Małeckiego.

Wracając do KO „Solidarność”, to na szczeblu centralnym zatwierdzano – przynajmniej według jego działaczy – od 80 do 90 proc. kandydatur zgłoszonych „w terenie”. I tak np. w stolicy odrzucono kandydaturę Eugeniusza Matyjasa zgłoszoną przez Leszno. Byłemu przewodniczącemu Zarządu Regionu Leszczyńskiego i członkowi Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” z 1981 r. zarzucano „niesłuszne zachowanie czy postępowanie i występowanie w środkach masowego przekazu w początkach stanu wojennego, a także brak kontaktu i chęci współpracy z Krajową Komisją Wykonawczą”. Ten pierwszy zarzut był przynajmniej po części uzasadniony – Matyjas na początku internowania wydał oświadczenie (odczytane m.in. w „Dzienniku Telewizyjnym”), w którym wzywał działaczy związku do niepodjęcia działań sprzecznych z prawem stanu wojennego. Jednak jego działalność po odzyskaniu wolności – zwolnieniu z internowania w kwietniu 1982 r. – zde-

innym zdyskwalifikowanym przez Warszawę kandydatem był znany działacz katolicki Janusz Zabłocki, zgłoszony przez Wojewódzki Komitet Obywatelski w Suwałkach. Powodami negatywnej decyzji komisji kwalifikacyjno-kandydackiej były – jak stwierdzano – „przeszłość i charakter zaangażowania politycznego pana Janusza Zabłockiego”.

Funkcjonowała też tzw. obywatelska lista krajowa. Znalazły się na niej znane osoby (głównie członkowie Komitetu Obywatelskiego) z Warszawy i innych dużych miast. Byli oni przedstawiani komitetom regionalnym i wojewódzkim, aby te wprowadziły ich na swe listy. Powodowało to różne, czasem zgoła odmienne reakcje – od przyjmowania kandydatur ze stolicy bez dyskusji do zdecydowanego ich odrzucenia. Czasem zresztą problemem nie był „desant” ze stolicy, ale sam kandydat. Przykładowo w województwie zielonogórskim chciano wystawić Geremka w wyborach do Senatu, a gdy okazało się, że ten będzie kandydować w innym województwie, poproszono o „przydzielenie” Mazowieckiego, Warszawa natomiast zaproponowała

Nieformalny wpływ na dobór kandydatów do parlamentu miał również Kościół, który bardzo mocno wspierał stronę solidarnościową w wyborach czerwcowych, często zresztą odgrywając rolę mediatora i rozjemcy w przypadku lokalnych sporów

cydowanie przemawiała na jego korzyść, stał m.in. na czele Tymczasowego Zarządu Regionu, w grudniu 1982 r. aresztowano go, a następnie w kwietniu 1983 r. skazano (na dwa lata więzienia w zawieszeniu na cztery lata) z powodu działalności podziemnej, był wielokrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany, a w latach 1983–1986 pozostawał bez stałego zatrudnienia.

Trudniej odnieść się do drugiego z tych zarzutów – być może chodziło o jego współpracę z Solidarnością Walczącą, co zresztą nie przeszkodziło mu ponownie w 1989 r. zostać przewodniczącym Zarządu Regionu Leszczyńskiego NSZZ „Solidarność”. W każdym razie reprezentanci KO podczas burzliwego spotkania w Lesznie 24 kwietnia tego zarzutu już nie powtórzyli.

Sławomira Siwka. Ponieważ nie udało się uzgodnić nazwiska kandydata ze stolicy, ostatecznie zielonogórskie miało wyłącznie kandydatów lokalnych.

Zdecydowaną większość kandydatów (150 na przyszłych posłów oraz 94 na senatorów) zatwierdzono podczas kilkugodzinnego posiedzenia Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” 23 kwietnia 1989 r. Do obsadzenia pozostało 11 miejsc na liście do Sejmu oraz 5 do Senatu, do czego konieczne okazały się spotkania przedstawicieli centrali z lokalnymi komitetami obywatelskimi, m.in. w Łomży, Piotrkowie Trybunalskim, Rzeszowie, Skierniewicach czy Włocławku, zorganizowane w dniach następnych.



Z prof. dr. hab. Wojciechem Polakiem,
historykiem, autorem książek
rozmawia Radosław Wojtas

Polska potęga wolności



RADOSŁAW WOJTAS: Chciałbym, aby temat naszej rozmowy korespondował z tytułem pana najnowszego książki – „Blask Rzeczypospolitej”. Pomówmy zatem o tych momentach w historii, gdy nasz kraj święcił największe triumfy. Ale może najpierw zdefiniujmy – Rzeczpospolita, czyli...

PROF. DR. HAB. WOJCIECH POLAK: Już Wincenty Kadłubek użył określenia „Rzeczpospolita”. Z czasem coraz mocniej wybrzmiewało ono w naszych dziejach, zwłaszcza wtedy, gdy rosła rola rycerstwa, a następnie szlachty od XIV/XV w. W wieku XVI szlachta już właściwie współrządziła królestwem, więc – przynajmniej w odniesieniu do niej, ale częściowo w odniesieniu do innych stanów – Rzeczpospolita oznaczała coś powszechnego, coś wspólnego, czyli inaczej – wspólnotę, i tak najlepiej można to przekładać na współczesny język. Polska stała się wspólnotą i zaistniało przekonanie, że wszyscy jesteśmy za nią odpowiedzialni. To było rzadkie w ówczesnej Europie, bo odpowiedzialnych za państwa uważano władców, rodziny panujące.

Tymczasem w Rzeczypospolitej każdy szlachcic, ale w jakimś sensie każdy obywatel, nawet z niższych stanów, czuł się współodpowiedzialny za państwo. Oczywiście król miał bardzo duże uprawnienia i z nich korzystał, ale nie mógł rządzić sam i nie było tak, że mógł sprawować władzę w sposób dowolny, bo ponad nim były prawo i obyczaj.

I jak się taki ustrój sprawdzał?

Był skuteczny i przynosił efekty dopóty, dopóki kultura polityczna szlachty była wysoka. Tak było w wieku XVI, kiedy górę brały postawy patriotyczne i poczucie odpowiedzialności za dobro wspólne. Jednak później, w Europie, w której wszyscy walczyli ze wszystkimi, w której panowały wilcze prawa, taki idealistyczny system, trochę opierający się na założeniu, że człowiek jest z natury dobry, że działa dla dobra wspólnego, doprowadził do tego, że Rzeczpospolita znalazła się w stanie kryzysu. Ościennne mocarstwa zaczęły

działać na naszą niekorzyść, zaczęły stosować korupcję, zaczęły doprowadzać do zrywania sejmów i paraliżowania rządzenia. Mamy z tym do czynienia od połowy XVII w. aż do reform końca XVIII w. W tym okresie obserwujemy głęboki kryzys polegający na zrywaniu sejmów i paraliżu władzy państwowej. Jeżeli za czasów saskich co drugi sejm był zrywany, to jak można było mówić o jakimś skutecznym rządzeniu?

Byliśmy politycznie naiwni.

Byliśmy. Konstytucja 3 maja, wytyczająca plany reform, wykazywała się daleko idącym realizmem politycznym, który dawał Rzeczypospolitej jakieś perspektywy polityczne. Niestety, zabrakło czasu...

Zostaliśmy w XVI w. Jaka była wtedy Rzeczpospolita?

Była państwem, które opierało się na porozumieniu narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Unia w Krewie z 1385 r. wiązała z Polską Litwę, która opanowała



Bitwa pod Chocimiem z 1621 r. jest nieco zapomniana w polskiej pamięci historycznej, a to jedno z tych wydarzeń, które zmieniło dzieje Europy. Tu na obrazie Józefa Brandta

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

gigantyczne tereny ziem ruskich i stała się największym państwem europejskim, sięgającym od Morza Bałtyckiego do Morza Czarnego. Można powiedzieć, że otwarcie na inne narody, na ich potencjał terytorialny, potencjał ludnościowy, potencjał zasobów naturalnych, a także na potencjał kulturowy – że to otwarcie stało się przyczyną naszej potęgi. Etniczni Polacy oczywiście stanowili większość, ale nikt nie mówił, że np. prawosławny Rusin jest kimś gorszym, miał on takie same uprawnienia do sprawowania władzy jak rodowici Polacy. System federacyjny, który doprowadził do umieszczenia w jednym państwie różnych narodów, różnych wyznań, okazał się sprawny i doprowadził nas do stanu potęgi. Wprawdzie w 1569 r. federacja polsko-litewska została zamieniona w unię realną, ściśle jednoczącą obydwa członki, ale potencjał Rzeczypospolitej pozostał olbrzymi i był wykorzystywany za czasów czy to Stefana Batorego, czy to Zygmunta III, już po śmierci ostatniego

z Jagiellonów. Polska ciągle jest wtedy wielkim mocarstwem.

Mocarstwem militarnym, gospodarczym, terytorialnym, a także kulturowym. To taki moment, kiedy w zasadzie wszystko nam się udaje.

Tak. Wiek XVI to także początek polskiego piśmiennictwa, masowo pojawiają się pisarze tworzący po polsku. Mamy do czynienia z rewolucją językową. Akty prawne, które do połowy XVI w. spisywano po łacinie, w drugiej połowie tego wieku są tworzone po polsku. Rodzi się ortografia języka polskiego, początkowo z kłopotami, ale potem język pisany staje się coraz bardziej ujednolicony. Towarzyszy temu coś, co przypomina mi wybuch sieci internetowej, kiedy w latach 90. większość z nas zetknęła się po raz pierwszy z Internetem i nagle okazało się, że bez tego wynalazku w zasadzie nie można już funkcjonować. W XVI w. nastąpił wybuch pisania listów. Nagle Polacy zaczęli masowo wysyłać listy. Pod koniec XVI w. w warstwie szlacheckiej prawie wszyscy piszą do wszystkich, a w wieku XVII to jest już istne szaleństwo. Każdy magnat, niejeden szlachcic spędzał każdego dnia godziny na pisaniu – a jeśli miał sekretarza, to na dyktowaniu – listów. Zaczęły one także odgrywać rolę gazet. Na przykład: król oblega Smoleńsk i przesyła jakiemuś magnatowi relacje z kolejnych szturmów, opisuje, co się działo, co robili Moskale, co robiły nasze wojska. Sekretarz tego magnata przepisuje tę relację w 20 egzemplarzach i przesyła wszystkim swoim znajomym z kręgu korespondencyjnego, a tamci przesyłają dalej... W XVI w. Polska wchodzi mocno na orbitę kulturową Europy.

Skoro przywołał pan wątek militarny, to przejdźmy do niego, bo to czas polskiej siły również na tym polu.

W XVI w. Polska jest aktywna i silna politycznie, włącza się w starcia europejskie, które przesądzą o losach całego kontynentu. Zdobywamy Inflanty, stajemy się ogromną siłą w basenie Morza Bałtyckiego. Polska jest także potęgą w odniesieniu do państw leżących na południu – mamy zwierzchnictwo nad Mołdawią, Wołoszczyzną. Polska chroni Europę przed Turkami

i Tatarami. W XVI w. kształtuje się określenie *antemurale christianitatis* – przedmurze chrześcijaństwa. Po upadku Węgier to Polska staje się tym przedmurzem, czego szczytowym momentem są dwa wielkie starcia w XVII w. Pierwszym z nich jest obrona Chocimia w 1621 r., gdy zatrzymał olbrzymią armię Osmana II. Faktycznie dowodził Jan Karol Chodkiewicz, ale formalnie, co było oczywistą fikcją, królewicz Władysław Waza. Kiedy w 1625 r. królewicz wyruszył w peregrynację po Europie, wszędzie witano go jak bohatera, jak człowieka, który ocalił Europę. Papież proponował mu dowództwo nad Ligą Świętą, ligą antyturecką, oferowano mu też m.in. dowództwo nad wojskiem hiszpańskim. Europę ocaliła również bitwa pod Wiedniem w 1683 r., wygrana dzięki polskiej husarii, ale w tym wypadku wdzięczność Austriaków była – mówiąc delikatnie – średnia. Zresztą do dziś zachowują się dość obrzydliwie, jeśli chodzi o pamięć o odsieczy wiedeńskiej, np. nie zgadzają się na postawienie w Wiedniu pomnika króla Jana III Sobieskiego.

Już zachowanie cesarza Leopolda w stosunku do Sobieskiego i polskich wojsk było „średnie”.

Cesarz wprawdzie przywitał się z Sobieskim, ale polskim żołnierzom powinien uchylić kapelusza na znak czci i podziękowania, czego nie zrobił. Cała polska armia była tym oburzona. Potem Polaków traktowano z pogardą. Rannym nie dano miejsc w szpitalach, masowo umierali, nie pozwalano nawet chować Polaków w grobach na cmentarzach austriackich

Ale chciałbym podkreślić jeszcze jeden aspekt *antemurale christianitatis*.

Przede wszystkim chroniliśmy Europę przed Turkami, Tatarami, których uważano za pogan wyznających islam, ale to określenie dotyczyło także Moskwy.

Ale Moskwa była chrześcijańska, co prawda prawosławna, jednak...

Tak, to prawda, i Polacy byli do prawosławia nastawieni bardzo tolerancyjnie, a nawet życzliwie, natomiast w żadnej mierze nie akceptowaliśmy sposobu sprawowania władzy w Moskwie, który kojarzył



WOJCIECH POLAK
„BLASK RZECZYPOSPOLITEJ. OD X DO XXI WIEKU”
BIAŁY KRUK
2024

■ się nam z zupełnym zwyrodniałstwem Iwana Groźnego. Nie akceptowaliśmy moskiewskiego barbarzyństwa, samodziśzawia, które uważaliśmy za coś nieeuropejskiego i sprzecznego z polskimi tradycjami. Tu przywołam pewien incydent z 1608 r. Dwóch polskich posłów prowadzi rokowania dyplomatyczne w Moskwie i – jak to bywa w takich okolicznościach – dochodzi do wypominania sobie wzajemnych grzechów. W pewnym momencie Moskale zarzucają Polakom, że Zygmunt III zgodził się, żeby wojewoda sandomierski Jerzy Mniszech wydał swoją córkę Marynę „za tego oszusta Dymitra Samozwańca”. „Jak do tego mogło dojść?” – oburzają się Moskale. Polscy posłowie osłupieli i odpowiedzieli zgodnie z prawdą, że w Polsce szlachcic wydaje córkę, za kogo chce, a królowi nic do tego. Że są dziedziny, w które król nie ingeruje, bo jest ograniczony przez prawo i obyczaje. Dla Moskali było to nie do pojęcia. U nich pan, władca, car mógł wszystko.

Zupełnie odmienne światy.

Jeżeli Żółkiewski pisał list do króla Zygmunta III, to podpisywał się Stanisław Żółkiewski, hetman polny koronny, wojewoda kijowski. Jeżeli do cara list pisał np. Piotr Golicyn, jeden z najbogatszych kniaziów moskiewskich, to podpisywał się najbardziej zdrobniąłą formą imienia: Pietruszka, tzn. Piotruś. Jeżeli do cara pisał Iwan Golicyn, to podpisywał się Waniuszka, tzn. Jasio. Te formy poniżenia były w Polsce czymś zupełnie niesłychanym, czymś absolutnie nie do zaakceptowania. Stąd walki z Moskwą, uwarunkowane oczywiście różnymi sprawami politycznymi, sporami terytorialnymi, były uzasadniane przez Polskę propagandowo, że walczyliśmy z moskiewskim barbarzyństwem, które jest takim samym zagrożeniem dla Europy jak Turcy i Tatarzy.

Mieliśmy szansę rozwiązać problem z Moskwą raz na zawsze?

Jeśli była to realna szansa, to w XV w. Litwa obejmuje wtedy większą część Rusi. Rośnie jednak potęga państwa moskiewskiego i wkrótce dochodzi do serii starć litewsko-moskiewskich. Początkowo Litwa dominuje, niestety, w drugiej połowie XV w. i na początku XVI w. Moskwa zaczyna uzyskiwać

przewagę. Litwa traci spore terytoria na rzecz Moskwy. W tych wojnach Polska wspierała Litwę. Wtedy rzeczywiście była szansa na zdobycie całej Rusi i na załatwienie problemu Wschodu po myśli polskiej. Niestety, ta szansa nie została wykorzystana. To, że w 1609 r. uderzyliśmy na Smoleńsk i doszło do wielkiej wojny polsko-moskiewskiej, to wszystko przyniosło nam sukces, przyniosło ogromny przyrost terytorialny, natomiast plany dotyczące przyłączenia Moskwy, kolonizacji jej szlachtą mazowiecką albo podziału jej na księstwa, które będą zależne od Polski, były raczej rojeniami.

Czy są czynniki, które występowały zawsze, kiedy Rzeczpospolita była u szczytu potęgi?

Myślę, że takim czynnikiem, który umożliwiał sukcesy, było nasze poczucie wolności. Osiągaliśmy sukcesy, bo szlachta – która była bardzo szeroką elitą narodową, nie było kraju europejskiego, w którym 12 proc. populacji stanowiłaby szlachta, w Polsce tak było – angażowała się w rozwój Rzeczypospolitej, w walkę zbrojną, w życie polityczne, sejmikowe. Uważała, że to jest jej kraj i że szlachcice są w tym kraju współgospodarzami, są ludźmi wolnymi. Stosunek Polaków do wolności widać szczególnie wtedy, gdy traciliśmy wolność. Praktycznie cały XIX w. jest wiekiem niekończących się inicjatyw na rzecz wolności – powstań, konspiracji, spisków, pracy organicznej nakierowanej na odzyskanie niepodległości. Mam w domu modlitewnik mojej prababci Anny Wysockiej z 1874 r., na którym ona sama napisała, niewprawną kobiecą ręką: „Ta książka jest własnością Anny Wysockiej 1874”. Była chłopką z Białostocczyzny, z terenów Cesarstwa Rosyjskiego, gdzie po polsku nie wolno było mówić, czytać, pisać, polskiego nie wolno było nauczać, zakazywano nawet napisów w alfabecie łańskim na nagrobkach. I ona, chłopka z okolic Brańska (parafia Domanowo w dzisiejszej diecezji drohiczyńskiej), pisze i czyta po polsku. No i pytanie – kto ją nauczył?

Kto?

Odpowiedź może być tylko jedna. Miejscowy ksiądz proboszcz, który uczył miejscowe dzieci religii, bo do tego miał prawo, przy okazji nauczał ich też czytania i pisania po polsku. Myślę, że takich

księży, którzy podtrzymywali polskość, były na kresach tysiące. Rola Kościoła w walce o polskość była olbrzymia. Dzisiejszym skrajnym feministkom przypomnę, że księża uczyli nielegalnie czytania i pisania po polsku zarówno chłopców, jak i dziewczynki!

Musimy pamiętać, że nasze dążenie do niepodległości związane z przywiązaniem Polaków do wolności odbywało się w oparciu o pojęcie, które dla innych narodów nie jest takie oczywiste jak dla nas. To pojęcie ojczyzny. My, Polacy, oprócz państwa mamy także ojczyznę i te dwa pojęcia odróżniamy. Amerykanin spytany, co jest dla niego ojczyzną, odpowie: Stany Zjednoczone Ameryki. Czyli ojczyzną jest dla niego państwo. Dla nas nie do końca, bo my długo państwa nie mieliśmy. Ojczyzna to terytorium, naród, kultura, piśmiennictwo, wiara, język, obyczaj, a może nawet strój i kuchnia, i parę innych rzekomo mniej znaczących rzeczy.

I ojczyzna była zawsze, nawet jeśli nie było państwa.

Zauważmy, że gdy w 1918 r. odzyskujemy państwo, zatrzymujemy sobie osobno pojęcie ojczyzny, na wszelki wypadek. I słusznie, bo w 1939 r. znowu tracimy niepodległość, i to na długie lata, bo aż do roku 1989. Wtedy nasze pojęcie ojczyzny znowu stało się przydatne. Kiedyś zarzucano mi, że krytykuję czasy PRL, a przecież wtedy odbudowano Warszawę, zbudowano wiele zakładów pracy, no więc czego ja chcę od tego PRL. Odpowiadam – to, że Polacy odbudowali Warszawę i zrobili wiele wspaniałych rzeczy po roku 1944, żeby postawić kraj na nogi, zrobili nie po to, żeby komunistycznym kacykom – Gomułce i Bierutowi – było weselej. Oni to robili dla ojczyzny, a nie dla komunistów. My, Polacy, trzymamy sobie pojęcie ojczyzny na wszelki wypadek. I to się okazuje dla nas bardzo przydatne, bardzo potrzebne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. dr hab. Wojciech Polak
– absolwent Uniwersytetu
Mikołaja Kopernika w Toruniu
i wykładowca historii na tejże
uczelni. Autor wielu książek
poświęconych historii Polski,
publicysta, członek Kolegium
Instytutu Pamięci Narodowej.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Niemcy – listy z frontu

Kapitałnym przyczynkiem do badań historii walk III Rzeszy oraz eksterminacji Żydów i Polaków są listy żołnierzy niemieckich z frontu wschodniego do rodzin. Rzekomo potężna i świetnie wyposażona armia niemiecka na froncie wschodnim miała zapasy i siłę rozpędu tylko na kilka miesięcy. Gdy przyszła pierwsza zima (1941/1942), okazało się, że prawdziwy kolos ulegał zdecydowanemu zachwianiu. Żołnierze pisali z frontu do rodzin, aby przysłać im odzież, a nawet... chleb, którego było coraz mniej, mimo ogromnych zdobyczy w postaci zboża, jak również trzody chlewnej i bydła. „Głód i brak papierosów. Przyslijcie trochę chleba”. Pamiętajmy, że pisali to mimo represyjnej cenzury, ryzykując kary!

Na froncie, wraz z nadejściem wielkich (dla Niemców) mrozów i potężnych opadów śniegu, dochodziło do walk żołnierzy o zwłoki zabitych czerwonoarmistów. Nagrodą dla zwycięzców były... kufajki i walonki, bezcenne w takich warunkach. Druga zima (1942/1943) była jeszcze gorsza: „Paskudnie zimno, nie mamy ciepłego obuwia. W zeszytym roku można było skraćć buty filcowe jeńcom lub poległym, w tym roku i tego nie ma [...]. Jesteśmy za dobrzy dla ludności cywilnej”.

Propagandę, również dzisiejszą, że wojsko niemieckie niewiele miało wspólnego z mordowaniem Żydów,

możemy włożyć między bajki. Bardzo dobrze wiedzieli o Holokauście i chętnie brało w nim udział: „Wszystkiemu winni są Żydzi. Najwyższy czas skończyć z tymi wyrzutkami społeczeństwa. W odległości 30 km od Pińska zastrzeliliśmy 5 tys. takich typów. Musieli się rozebrać doszczętnie, obojętnie, czy kobiety czy mężczyźni, po tym nastąpił ich koniec. Tak będzie z każdym” – pisał Soldat Lehr do rodziny we Frankfurcie. Zero współczucia, niechęci do popełniania zbrodni ludobójstwa. Wiedzieli wszystko od samego początku, bo brali w tym udział i chętnie informowali o tym najbliższych.

„Żydów trzeba wytepić na całym świecie... wojna prawdziwa dopiero się zaczyna” – pisał Gefreiter Schäfer w listopadzie 1942 r. Na szczęście nie cały świat był w zasięgu Niemiec, ponadto pamiętajmy, że nie tylko Żydzi byli do wyniszczenia. Niemiecki minister sprawiedliwości (tak, był taki urząd!) Otto Thierack jasno określił cel i kolejność narodów przeznaczonych na zagładę. „Musimy uwolnić naród niemiecki od Polaków, Rosjan, Żydów i Cyganów”. I zawzięcie tępił.

Odbywało się to w różny sposób. „Posuwamy się tylko 50 km dziennie naprzód, wszędzie wysadzają pociągi, wczoraj było 120 zabitych, na szczęście tylko Polacy”. Czyli do pierwszych wagonów ładowali Polaków, bo to żadna strata. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Totart

W połowie lat 80. ubiegłego wieku za jednego z najbardziej oryginalnych polskich poetów uchodził trójmiejski performer, Zbigniew Sajnog. 23 kwietnia 1986 r. założył Tranzytoryjną Formację Totart specjalizującą się w skandalizujących happeningach przekraczających granice oficjalnie uznawanej sztuki. Wymagało to szczególnej odwagi, gdyż lata 80. nie były najlepszym okresem dla awangardowych poszukiwań. Dla rządzących Polską komunistów działalność Totartu stanowiła przykład sztuki zdegenerowanej inspirowanej imperia-listycznymi wzorami.

Obok Sajnoga główne role w grupie odgrywali: Paweł Konnak, Tymon Tymański, Paweł Mazur i Wojciech Stamm. Happenings Totartu nawet dzisiaj wzbudzałyby skrajne emocje, a ich twórcy mieliby zapewne problemy z prawem. I to bynajmniej wcale nie z powodów politycznych, a obyczajowo-estetycznych.

Sajnog do historii polskiej literatury przeszedł jako autor wiersza „Flupy z pi.dy”, którego publikacja na łamach „Brulionu” wywołała w 1991 r. gorące polemiki. Z jednej strony protestowano przeciwko wulgaryzmowi w literaturze, uznając wiersz za przykład zdziczenia młodego pokolenia twórców, ale jednocześnie utwór niemal natychmiast zyskał status

kultowego. Numer „Brulionu”, w którym go opublikowano, został bowiem zapamiętany właśnie dzięki Sajnogowi, a nie utworom Marcina Świetlickiego i Jacka Podsiadły, które mu towarzyszyły.

Poeta jednak od lat nie potrafił dać sobie rady z własną psychiką. Miał skłonności do mistycyzmu i coraz bardziej oddalał się od zinstytucjonalizowanej religii. Gdy siedł do kościoła, by się pomodlić, to „uciekały przed nim ptaki”, a „psy na niego się rzucały”. Prześladowały go niepokojące wizje, słyszał różne głosy, widywał wieszczce znaki. Twierdził, że w kościele zamiast Boga spotykał diabła, a w tym czasie na głowie rosły mu guzy kostne, które uznał za rogi, co wprawiało go w przerażenie.

Na domiar złego Totart zaczął się rozsypywać, gdyż jego główni animatorzy skupili uwagę na własnych sprawach. Tymański zdecydował się na karierę rockmana, Stamm wyjechał do Niemiec, Mazur rozpoczął pracę jako dziennikarz, a Konnak uznał, że czas spoważnieć i zarabiać pieniądze. Na początku lat 90. w Polsce nie byli już potrzebni niezależni artyści awangardowi, a sztuką zaczęła rządzić komercja. W efekcie Sajnog trafił do sekty Niebo Bogdana Kacmajora, który miał go uleczyć. Podobno nawet guzy kostne zniknęły i nie była już potrzebna interwencja chirurgiczna... ©©

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gra w szachy doprowadziła do zgonu Iwana Groźnego?

MARIUSZ SAMP: Przed śmiercią zaproponował swemu bliskiemu współpracownikowi, Borysowi Godunowowi, partię tej gry. Fakt ten zarejestrowano w źródłach z epoki. Natomiast legenda głosi, że po przewróceniu się figur króla i królowej władca z bolesnym okrzykiem osunął się na ziemię.

W istocie nie wiemy, co mogło zabić apodyktycznego Iwana. Według jednej grupy uczony w dniu śmierci doznał wylewu krwi do mózgu, w następstwie czego nastąpiły atak serca i zgon. Najczęściej jednak spekuluje się, że tyranowi w zejściu z tego świata pomógł jakiś truciciel. Wersja ta jest obecnie jedną z najbardziej prawdopodobnych. W 1963 r., kiedy uczeni sowieccy pod kierownictwem prof. A.M. Smirnowa otworzyli sarkofag Iwana Groźnego i poddali badaniom jego kości, okazało się, że zawierają one ślady rtęci, używanej podówczas do skrytobójczych ataków.

A czemu ciało Dymitra Samozwańca zbezczerzono?

Jego historia może służyć do nakręcenia niejednego filmu sensacyjnego. A wszystko dlatego, że ten młody mężczyzna, któremu udało się w spektakularny sposób zdobyć władzę w państwie carów, w równie spektakularny sposób ją utracił. Zresztą na początku XVII w., kiedy włodarze na Kremlu zmieniali się niczym w kalejdoskopie, nie było o to trudno. Dymitr, a właściwie udający cara mnich Griszka Otriepiew, miał wielu wrogów, wśród których prym wiodł książę Wasyl Szujski. I to właśnie on doprowadził do obalenia niepopularnego w Rosji monarchy, wywołując skierowane przeciwko niemu powstanie zbrojne w 1606 r.

Dymitra zasieczono nożami i szablami. Następnie rozszarpane zwłoki przeniesiono na plac Czerwony, wystawiając je na szyderstwo. Po trzech dniach ciało wywieziono za miasto do miejsca, gdzie grzebano zmarłych rzeźmieszków. Jednak dla niektórych taka śmierć była zbyt małą karą dla samozwańczego cara, stąd po jakimś czasie odkopano jego szczątki i za pomocą uwiązane go genitaliów sznura zawleczono na Łobnoje Miasto, gdzie je poćwiartowano i spalono. Prochami Dymitra nabitą następnie armatę



Z Mariuszem Sampem, historykiem, pisarzem i publicystą rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

Carskie pożegnania (ze światem)



„Śmierć Dymitra Samozwańca”
Konstantina Makowskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ustawioną na rogatkach i wystrzelono je w kierunku wschodnich krańców Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która popierała Griszkę.

Piotr Wielki też skołał w cierpieniach?

Idol Putina żegnał się z życiem w ogromnych katuszach! Zapracował sobie na taki koniec, prowadząc niezdrowy tryb życia. Notorycznie objadał się i pił na umór. Był nałogowym alkoholikiem, który już od wczesnej młodości uczestniczył w biesiadach, podczas których gorzałka lała się strumieniami. Mógł pożyć nieco dłużej, gdyby nie to, że zbagatelizował przeziębienie, które go dopadło. Zamiast wyleżeć chorobę, ciężko pracował, uważając się za człowieka ze stali. Nie stosował się do zaleceń lekarzy, których nazywał

otwarcie osłami. Na efekty takiego postępowania nie trzeba było długo czekać...

Caryce Katarzyna I oraz Anna także nie odeszły z tego świata w spokoju...

Pierwszą z nich zabiła bliżej nieokreślona choroba nowotworowa, z którą nie umiano sobie podówczas kompletnie poradzić. Caryca popadła nawet w depresję, lecząc się – jak czytamy w kronikach – „szklaneczkami wina”. I owa terapia wpędziła ją do grobu...

Problemy z alkoholem miała również caryca Anna, która dodatkowo zmagala się z zapaleniem ropnym kości, szkorbutem i podagrą. Pod koniec życia była tak wynędzniała i osłabiona, że przypominała trupa. Zmarła po wielogodzinnej agonii.

Bujne życie erotyczne rzutowało na schyłek egzystencji Katarzyny Wielkiej?

Owszem. Nabawiła się choroby wenerycznej, która powoli ją zabijała. Dzień przed śmiercią zastała w toalecie, w której znaleziono ją z przekrwioną twarzą i pianą na ustach. Próbowano ją wprowadzić jakoś postawić na nogi, ale bez efektu. W oficjalnym komunikacie podano, że przyczyną jej śmierci był wylew krwi do mózgu połączony z jednoczesnym pęknięciem woreczka żółciowego.

Dlaczego panowanie Pawła I zwińczył spisek?

W opinii Juliana Ursyna Niemcewicza kierował państwem niczym pijany woźnica, który porażał strachem siedzących w pojeździe. Car, panicznie bojąc się przewrotu pałacowego, wprowadził rządy terroru, próbując uzyskać kontrolę nad wszystkim. Najbardziej ingerował w sprawy wojska. Było ono wprawdzie rosyjskie, lecz – zgodnie z upodobaniami władcy – przerobiono je na modłę pruską. Dumnych żołnierzy obrócono – jak ktoś trafnie spostrzegł – w „pruskie małpy” i poddawano surowym karom. W sposób szczególnie zwalczano pijaństwo, rozpustę, łapówkarstwo oraz hazard. Represje objęły nie tylko szeregowych żołnierzy, lecz także oficerów, których bito po twarzy grubą trzcina. Wielu wojskowych podwładnych cara, którzy nie mogli znieść postępowania Pawła, często własnoręcznie wymierzającego chłostę, popełniło samobójstwo. Żołnierzy zmuszano do noszenia holsztyńskich mundurów. Włosy spryskiwano im kwasem i posypywano mąką, by do zaschniętej skorupy przyczepić drugi podtrzymujący filcowy kapelusz. Carskie zwierzchnictwo nad armią zmanifestowało się zwolnieniem ze służby siedmiu feldmarszałków, ponad 300 generałów i ponad 2 tys. oficerów. Niektórych oficerów Paweł potrafił jednego dnia zdegradować, a następnie przywrócić do służby.

Nie może dziwić, że Paweł swoimi poczynaniami wymierzonymi w wojskowych zaskarbił sobie wielu nieprzyjaciół, którzy szczerze życzyli mu śmierci. Dołączyła do niej nieoczekiwane w roku 1801.

Zgon Aleksandra I ciągle stanowi zagadkę?

Dziś już nie, ale niewątpliwie dla jemu współczesnych sprawa nie wyglądała jednoznacznie. Znaczący temat wyliczają ponad 50 teorii, które krąży-

ły po Europie w związku z ostatnimi chwilami życia tego władcy. Według jednej z nich po upozorowaniu własnej śmierci (w miejscowości Taganrog nad Morzem Azowskim) Aleksander wsiadł do łodzi i popłynął do Anglii, gdzie został przygarnięty przez sprzyjających mu kwaków, członków bractwa religijnego założonego jeszcze w XVII w. Pobyt w Anglii najwidoczniej Romanowowi nie służył, skoro zdecydował się wyruszyć – jak dowodzą zwolennicy innej koncepcji – do Tybetu. Tam oddawał się ponoć medytacji i przy okazji poznawał tajniki wschodniej medycyny.

Wśród mieszkańców Rosji rozniosła się również plotka, jakoby Aleksander I nie zagrzał zbyt długo miejsca w Tybecie i pojechał do Ziemi Świętej, gdzie wstąpił do jednego z prawosławnych klasztorów (których w tej części świata nie brakowało), aby prowadzić pustelniczy tryb życia. Wersja ta z czasem ustąpiła miejsca innej, według której przeniósł się do znajdującej się nieopodal Taganrogu Pustelni Sarowskiej, gdzie za namową jednego ze świątobliwych starców już pozostał i przybrał imię Fiodor.

Wszystkie przekazy o rzekomym sfingowaniu przez Aleksandra I swojej śmierci zawdzięczały powstanie ludzkiej wyobraźni, żarliwej religijności oraz bezgranicznej wręcz uległości mas ludzkich wobec panującego. W ówczesnej Rosji wielu carom – zarówno tym uwielbianym przez poddanych, jak i szczerze znienawidzonym – nadawano cechy świętości. Z czasem ustępowały one miejsca fantastycznym teoriom, które w różnych odmianach istniały jeszcze przez kolejne dziesięciolecia w umysłach zwykłych ludzi, bezwiednie powtarzających zasłyszane opowieści.

Klęska w wojnie krymskiej doprowadziła Mikołaja I do samobójstwa?

Dało się to słyszeć z ust jego przeciwników. Dowodzili, że car spożył truciznę przygotowaną przez zaufanego lekarza. Do tego kroku – jak twierdzono z przekąsem – miały popchnąć monarchę hiobowe wieści, które przywieziono mu z frontu wojny krymskiej. Złośliwa plotka ukazywała imperatora jako tchórza, niepotrafiącego poradzić sobie z zaistniałą sytuacją, do której sam pośrednio przyczynił się przyczynił.

Następca tronu, Aleksander II, został zmuszony do wydania w kilku językach broszury dementującej pogłoski krążące na temat ojca – w rzeczywistości zmarłego na zapalenie płuc.

Aleksander II zginął z polskiej ręki.

Zmarł w wyniku zamachu bombowego przeprowadzonego w roku 1881 przez Ignacego Hryniewieckiego. Ale dokonując carobójstwa, nie robił tego dla Polski i jej mieszkańców. Przyłączając się do Narodnej Woli, tajnej organizacji usiłującej obalić carat aktami terrorystycznymi, był już człowiekiem zrusyfikowanym.

Ostatni car Rosji zyskał miano męczennika?

Kult Mikołaja II i jego rodziny funkcjonuje oficjalnie w rosyjskim Kościele prawosławnym od kilkudziesięciu lat. I choć wszystkich członków rodziny carskiej uznano za świętych, to sam fakt kanonizacji wzbudził swego czasu ogromne kontrowersje wśród prawosławnych duchownych, z których część była przeciwna wyniesieniu Romanowów na ołtarze. Nie podlega natomiast dyskusji to, że bolszewicy byli bezwzględni wobec całej rodziny carskiej, którą zamordowano w wyjątkowo perfidny i okrutny sposób.

Kult Lenina i Stalina, zmarłych śmiercią naturalną, nie przeminał. To rezultat braku Norymbergi dla komunizmu?

Pewnie tak. Zbrodni komunistycznych do tej pory nie rozliczono i zapewne minie jeszcze sporo czasu, zanim ten proces w ogóle się rozpocznie. Swego czasu w Rosji dyskutowano o rozbiórce mauzoleum Lenina, lecz projekt ten szybko zarzucono. Twórcę ZSRS ciągle uważa się tam za bohatera narodowego, choć miał na sumieniu bardzo wiele istnień. Tak samo wygląda to w przypadku Stalina, którego rządy obciąża jeszcze większa liczba ofiar.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Mariusz Samp – doktor historii, pisarz i publicysta. Autor kilkunastu książek popularnonaukowych, m.in. „1031. Pierwszy rozbiór Polski”, „Bolesław Krzywousty. Piastowski bóg wojny”, „Roskie żony polskich władców” i najnowszej „Szach-mat. Jak umierali władcy Rosji”.

Pomnik Bohdana Chmielnickiego
w Kijowie FOT. ADOBE STOCK



Maciej Pieczyński

**Jaki obraz dziejów Ukrainy
wylania się z podręczników
rekomendowanych przez władze
w Kijowie?**

Ukraina, podobnie jak Rosja, odwołuje się do spuścizny dawnej, średniowiecznej Rusi, która była etniczną, językową i państwową kolebką dla wszystkich trzech wschodniosłowiańskich narodów (także dla Białorusi, która jednak dziś kultywuje głównie przeszłość sowiecką). A w rzeczywistości o tę spuściznę

Kijów na froncie propagandy historycznej

walczą. Według Moskwy Ruś to była Rosja. Według Kijowa – Ukraina. Rosjanie uzurpują sobie prawo do panowania nad całą dawną Rusią, choć „ruski” absolutnie nie oznacza „rosyjski”. Ukraińcy z kolei manipulują historią, sugerując, że w czasie, gdy Kijów był już potężną metropolią, miejsce późniejszej Moskwy zajmowały bagna. Niby to prawda, ale inne miasta późniejszej Rosji nie ustępowały Kijowowi. Zanim późniejsza stolica Ukrainy stała się stolicą Rusi, rolę tę odgrywał równie pradawny Nowogród Wielki nad rzeką Wołchow (dziś: Rosja).

Z oficjalnie zatwierdzonych i rekomendowanych przez ukraińskie ministerstwo oświaty i nauki podręczników do historii wyłania się obraz państwa o ponadtysiącletniej historii. W 860 r. książę kijowski Askold najechał Konstantynopol. W tym samym roku przyjął chrzest i podjął próbę chrystianizacji swojego państwa. Tak narodziło się państwo Ruś-Ukraina. Tego można się dowiedzieć z podręcznika do historii dla klasy VII, napisanego przez Hannę Chlibowską, Oksanę Naumczuk, Marię Kryżanowską i Ihora Burnejkę, wydane go w 2020 r.

AHISTORYCZNOŚĆ W SZKOLE

Jednak, po pierwsze, nie ma ostatecznych dowodów na to, że już wtedy w Kijowie przyjęto chrześcijaństwo. To tylko jedna z hipotez. Wiadomo na pewno, że Ruś przyjęła chrzest w 988 r., przez ówczesnego księcia Włodzimierza, który panował nad ziemiami dziś należącymi do wszystkich trzech państw Słowian wschodnich (tego Ukraińcy nie negują, ale twierdzą, że Askold jako pierwszy spróbował Ruś schryścianizować). Po drugie, autorzy podręcznika nie wspominają, że Askold był Waregiem, czyli wojownikiem skandynawskim. Według legendy, zawartej w najważniejszym latopisie (kronice) ruskim, Waregów na tron wezwali mieszkańcy Nowogrodu. I dopiero stamtąd Askold, jako jeden z bojarów księcia Nowogrodu Ruryka, za pozwoleniem władcy wyruszył na południe i zajął Kijów.

Po trzecie, nazwa „Ukraina” w tamtych czasach nie istniała. W źródłach jest mowa o Rusi, nie o Rusi-Ukrainie. Nieukraińscy badacze mówią albo o Dawnej Rusi (Rosjanie), albo o Rusi

Kijowskiej (Polacy). A skoro wiadomo, że z Rusi ówczesnej wyrosły wszystkie trzy narody wschodniosłowiańskie, to nazywanie jej Rusią-Ukrainą i ignorowanie dwóch pozostałych „owoców” ówczesnej państwowości jest ahistoryczne.

Ahitoryczna jest też data 860 r. jako chrztu Askolda w Kijowie. Według wspomnianej kroniki ruskiej, a także zdaniem większości badaczy spoza Ukrainy Ruryk objął rządy w Nowogrodzie w 862 r. Nie mógł więc wojownik z jego drużyny wcześniej zostać księciem kijowskim. Ponadto Rosja oficjalnie za początek swojej państwowości uważa właśnie datę przybycia Ruryka do Nowogrodu. Najpewniej zatem ukraińskim historykom chodziło o to, aby „wyprowadzić” państwo agresora o te dwa lata w kwestii odwieczności rodzimej historii.

Poza tym, o ile chrzest Askolda jest tylko hipotezą, o tyle badacze są zgodni, że chrześcijanką była panująca w połowie X w. księżna Olga. Przyjęła chrzest osobiście, ale nie schryścianizowała jeszcze Rusi. „Problem” w tym, że pochodziła prawdopodobnie spod Pskowa. Ukraińcy wolą mieć więc „swoją Olgę”, czyli swojego władcę, który przyjął chrzest, zanim to było modne. Bardziej „swój” jest Askold, panujący w Kijowie, więc niedający się, jak Olga, zaszukadkować jako „Rosjanin”. Ponadto, zgodnie z logiką autorów podręcznika, jeśli Kijów był stolicą Rusi-Ukrainy, to Nowogród powinien być stolicą Rosji. To byłoby jednak niewygodne. Dlatego Nowogród określany jest jako „słowiańskie”, a nie rosyjskie miasto.

Zatem, jeśli wierzyć ukraińskim historykom, państwo ukraińskie istnieje od IX w. I to mimo że nikt, poza ukraińskimi historykami, o tym nie słyszał. Co ciekawe, podręcznik powołuje się na wspomniany latopis – „Powieść lat minionych” – w którym słowo „Ruś” pada wielokrotnie, natomiast „Ukraina” – ani razu. Pierwszy raz pada ono w XII w., ale jako określenie terenów przygranicznych, a nie nazwa państwa, narodu czy języka. Ponadto, według podręcznika, już we wczesnym średniowieczu mieszkańcy Rusi mówili w języku „staroukraińskim”, choć już dawno ustalono, że cała wschodnia słowiańszczyzna posługiwała się jednym, staroruskim językiem, który dopiero w XIV w. zaczął ewoluować w trzy różne strony.

W wydanym w 2021 r. podręczniku dla uczniów klasy VIII powstanie Chmielnickiego nazwane zostało „wojną narodowyzwolenczą narodu ukraińskiego”, której skutkiem było „odnowienie się ukraińskiej państwowości”. Historyk Iwan Ohijenko, cytowany w książce, twierdził, że w XVII w. trwały polonizacja i wynarodowienie ukraińskiej inteligencji, która masowo porzucała prawosławie dla katolicyzmu. „Właśnie dlatego język ukraiński powoli stawał się dla Polaków chłopskim językiem – posługiwał się nim bowiem tylko sam prosty lud” – dodaje. Trzeba natomiast przyznać, że w podręczniku pojawia się informacja o rzezi Humania, kiedy to podczas powstania hajdamaków „zostało zabitych tysiące niewinnych mieszkańców – Polaków i Żydów”.

Czasy I Rzeczypospolitej w ukraińskich podręcznikach historii przedstawiane są jako okres walki narodowyzwolenczej Kozaków. Trzeba przy tym zaznaczyć, że narracja autorów jest raczej spokojna i wyważona. Historycy konstatują fakty, związane z polonizacją Kresów, nie demonizując przy tym nadmiernie „polskich panów”. Jarema Wiśniowiecki przedstawiony jest nawet korzystniej niż w „Ogniem i mieczem” Hoffmana. Autorzy nie podkreślają jego okrucieństwa, a jedynie przedstawiają księcia wojewodę jako jednego z wodzów wojsk polskich, tłumiących powstanie Chmielnickiego.

Polonizacja czy katolicyzacja ziem późniejszej Ukrainy nie są opisane tak negatywnie, jak u niektórych ukraińskich publicystów, czyniących z Polaków agresywnych, krwiożerczych kolonizatorów. Pisarka Oksana Zabuzko nazywa wspomniane „Ogniem i mieczem” (ale już Sienkiewicza, nie Hoffmana) „quasi-historyczną powieścią kolonialną”, oddając autorowi sprawiedliwość jedynie w tym sensie, że nie uznał on ukraińskich stepów za pierwotnie polskie. Historyk literatury Wira Ahejewa z kolei, opisując dzieje zmagania Ukrainy z Rosją, kreśli narrację, zgodnie z którą zeuropeizowany, cywilizowany naród musiał bronić się przed zakusami prymitywnego imperium ze Wschodu. Jednocześnie pomija milczeniem fakt, że owa europejska cywilizacja pojawiła się nad Dnieprem wyłącznie dzięki wpływom „polskich kolonizatorów”.

■ Przedrozbiorowa Rzeczpospolita w podręcznikach historii traktowana jest z reguły jako państwo obce, wbrew rozpowszechnionemu w naszej pamięci narodowej przekonaniu o demokratycznej, wieloetnicznej i tolerancyjnej dla innych kultur Polsce. Państwo obce, spod którego władzy usilnie się dawna „Ruś-Ukraina” próbowała wyrwać.

DEKONSTRUKCJA ANTYPOLSKICH MITÓW

Na tym tle wyjątkiem jest dorobek Natalii Starczenko. Badaczka od lat apeluje, aby ukraińska historiografia zaczęła traktować I Rzeczpospolitą jako część własnej historii. Starczenko nie usiłuje udowodniać, że już w XVII w. istniała jakaś świadoma swojej odrębności Ukraina, która celowo i konsekwentnie dążyła do niepodległości w walce z „polskim okupantem”. „Dla ukraińskiej szlachty ojczyzną była Rzeczpospolita, w której obrębie istniało jednak jej zdaniem również »państwo« ruskie (czyli kraina ruska) jako osobna jednostka, obok »państw« polskiego i litewskiego” – pisze Starczenko. Nie miało to jednak nic wspólnego z tożsamością narodową w naszym współczesnym rozumieniu. Nie było wówczas gotowych koncepcji na temat granic, definicji i symboli owej Rusi. „Wszelkie próby zdefiniowania tego wyobrazonego trzeciego członku Rzeczypospolitej zderza się z mieszaną tożsamością” – przyznaje ukraińska badaczka. Rusini czuli się zarówno Rusinami właśnie, jak i obywatelami większej całości – Rzeczypospolitej. Ich ambicje jednak rosły, co musiało skutkować konfliktem. Natalia Starczenko zauważa też, że dla Rusinów językiem polityki były polski i łacina, a prywatnie rozmawiali tak, jak im było wygodnie. Z reguły byli prawosławni, ale zdarzali się wśród nich również katolicy.

Badaczka dekonstruuje antypolskie mity swojej rodzimej historiografii, pisząc: „Do »ukraińskiego« świata bez wątplenia należało chłopstwo, dla którego nasza dominująca ukraińska narracja o przeszłości zarezerwowała wyłącznie epitety »uciśnione« i »zniewolone« przez polską szlachtę. Tymczasem obraz jest znacznie bardziej złożony – choćby dlatego, że pan i poddany niekoniecznie różnili się przynależnością etniczną czy religijną: często mówili tym samym języ-

kiem i należeli do tej samej Cerkwi”. Starczenko podkreśla, że w Rzeczypospolitej chłop nie był własnością szlachcica, „niewola pańszczyzniana” zaś pojawia się wraz z władzą carskiej Rosji.

Badaczka rozprawia się też z mitem kozactwa jako ukraińskiego ruchu narodowyzwoleńczego. Ruska szlachta, która czuła się odrębnym bytem w ramach Rzeczypospolitej, niekoniecznie traktowała Zaporżyców jako swoich. Początkowo Kozacy byli różnorodną etnicznie wspólnotą wojskową z terenów pogranicznych, zasilaną przez tych, którzy nie znajdowali sobie miejsca w świecie norm społecznych. Czyli – przez ludzi marginesu.

Powstanie Chmielnickiego też trudno uznać za wojnę narodowyzwoleńczą, bo przeciwko buntownikom, a w obronie Rzeczypospolitej, wystąpiło również wielu prawosławnych Rusinów. Cytując polskiego historyka Andrzeja Sulimę Kamińskiego, Natalia Starczenko zauważa, że wybór był wtedy nie między Polską a Ukrainą, a między szlachecką, obywatelską Rzeczpospolitą a kozactwem. Co ciekawe, kozacki dyskurs „wojny wyzwolenczej przeciwko Lachom” był na rękę Moskwie i stał się częścią oficjalnej propagandy Rosji – zarówno carskiej (która dążyła do skłócenia Polaków i Rusinów), jak i sowieckiej (która nałożyła na to jeszcze filtr walki klasowej) czy też współczesnej (która straszy Ukrainę recydywą „polskiego kolonializmu”). Ukraińcy zatem, uskarżając się na polskich panów, uciskających prawosławne kozactwo, nieświadomie dostarczają kremłowskiej narracji argumentów na rzecz „wyzwolenia Ukrainy spod okupacji Zachodu”.

Zgodnie z rozpowszechnioną nad Dnieprem narracją w okresie dwudziestolecia międzywojennego Polska okupowała Ukrainę i dyskryminowała Ukraińców. Wyolbrzymiana jest skala wymierzonej w ukraiński nacjonalizm pacyfikacji 1930 r., która określana jest często mianem „zbrodni”. Bereza Kartuska, w której oprócz przeciwników politycznych sanacji siedzieli również bojówkarze OUN, nazywana jest „obozem koncentracyjnym”. Tak określona jest zarówno w ukraińskiej, jak i w rosyjskiej Wikipedii. Akurat pod względem niechęci do drugiej Rzeczypospolitej Kijów i Moskwa są ze sobą mniej więcej zgodne.

Zawyżone są też, podawane przez ukraińskich badaczy, liczby ofiar Berez.

KŁAMLIWY OPIS ZBRODNI WOŁYŃSKIEJ

Według wydanego w 2023 r. podręcznika do historii dla uczniów X klasy (autorstwa Hanny Chlibowskiej, Marii Kryżanowskiej i Oksany Naumczuk) druga wojna światowa to wyłącznie historia zmagania Ukraińców o niepodległość z Niemcami i Sowietami – czy to w szeregach UPA, czy to w szeregach różnych armii alianckich. Sporo miejsca poświęcono też wysiedleniom Tatarów z Krymu. Autorki przyznają, że Roman Szuchewycz organizował zamachy na polskich urzędników i przez pewien czas służył w Wehrmachcie jako dowódca batalionu „Nachtigall”, po czym jednak „odmówił dalszej służby dla Niemców”. Wątek Wołynia przedstawiony został w następujący sposób: „Działacze UPA uważali za swoich wrogów ukraińskich komunistów, nazistów, Polaków. Przyczyną zaostrzenia relacji polsko-ukraińskich stały się masowe mordy na Ukraińcach, dokonane przez Armię Krajową. Była to podziemna polska armia, której dowództwo pragnęło powrotu do granic przedwojennej Polski. Jej ofiarami padli mieszkańcy Chełmszczyzny, Podlasia, Galicji i Wołynia. Krwawa walka polsko-ukraińska, w której ginęli nie tylko żołnierze, lecz także cywile, trwała do 1947 r.”.

Czytelnikowi „Do Rzeczy” nie trzeba tłumaczyć, jak kłamliwy jest to opis. Takiej wersji historii uczą się dziś młodzi Ukraińcy. A ci dorośli w mediach i książkach, adresowanych nie tylko do uczniów szkół, znajdują niewiele bardziej prawdziwy obraz tamtych wydarzeń.

Stan powszechnej wiedzy na ten temat najpełniej oddaje notka wyjaśniająca, którą ukraińskie portale dodawały do tekstów poświęconych rocznicy Wołynia w 2023 r.: „Tragedia wołyńska (w polskiej historiografii – rzeź wołyńska) – wzajemne czystki etniczne polskiej oraz ukraińskiej ludności cywilnej, dokonane przez Ukraińską Armię Powstańczą oraz polską Armię Krajową przy udziale polskich batalionów Schutzmannschaft, partyzantów sowieckich oraz ukraińskiej i polskiej ludności w 1943 r. podczas drugiej wojny światowej na Wołyniu. Chodzi o dziesiątki tysięcy zabitych”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



AWANTURA O OLIMPIJSKIE STROJE

W tym roku oglądać będziemy igrzyska w Paryżu. W ubiegłym tygodniu firma Nike pokazała, jak wyglądać będą nowe stroje, które przygotowała dla kilku reprezentacji. No i gdy na scenę wyszła płotkarka z USA Anna Cockrell, media zapłonęły z oburzenia. Lekkoatletka zaprezentowała się bowiem w stroju podobnym do takich, w jakich od lat występują np. siatkarki plażowe. Miała więc skąpy top oraz mocno wycięte spodenki, przypominające dół stroju plażowego. Felietonistka „Guardiana” uznała, że to powrót do kostiumów z serialu „Słoneczny patrol” z lat 90. Tyczkarka Katie Moon nie śmiało zaproponowała, żeby to jednak same zawodniczki wybierały, w co się ubrać, a firma dodała, że do każdego stroju kobiety mogą ubrać nogawki.

FOT. STEPHANE LECOCQ/REUTERS/FORUM

JAK MIEĆ WOJENNY SUKCES

Szef sztabu irańskiej armii, gen. Mohamad Bagheri, podsumował ubiegłotygodniowy atak na Izrael za pomocą ok. 300 dronów i pocisków: „Z powodzeniem przeprowadziliśmy uderzenie odwetowe”. Tymczasem według izraelskich sił zbrojnych – którym w operacji osłonowej pomagały inne kraje, w tym USA – 99 proc. pocisków lecących na Izrael zostało przechwycone.

DIWA ODSUNIĘTA W CIEŃ

Od lat urodziny najbardziej rozpoznawanej piosenkarki w Rosji – Ałły Pugaczowej – obchodzone z pompą. Pięć lat temu, gdy miała 70. urodziny, stacja Rossija 1 zorganizowała dla niej specjalny jubileuszowy koncert, na którym wystąpiły inne gwiazdy muzyki. W ubiegłym tygodniu Pugaczowa miała 75. urodziny. Rosyjskie media poinformowały, że żadnych specjalnych wydarzeń nie organizują. Powód jest prosty – Pugaczowa skrytykowała wojnę

z Ukrainą. Na początku konfliktu wyjechała do Izraela.

TAŃCZYĆ TYLKO W JEDNYM TEMPIE

Według brytyjskich brukowców w Czechenii władze podjęły decyzję o „dostosowaniu muzyki do mentalności”. Na spotkaniu polityków centralnego szczebla z władzami regionów miała zapaść decyzja, że zapożyczanie muzyki od innych narodów będzie niedozwolone.

SĄD WYGANIA OD RODZICÓW

Włoski sąd wyznaczył dorosłemu mężczyźnie trzymiesięczny termin na wyprowadzkę z domu rodziców. Syna do sądu podał ojciec. Miał dość tego, że 30-latek mieszka wciąż z nimi w Turynie i nie pracuje. Sędzia zauważył, że dorosłe dziecko musi – zgodnie z możliwościami – wносить wkład do utrzymania rodziny tak długo, jak z nią zamieszkuje. Adwokatka ojca powiedziała, że pozew miał „cel wychowawczy”. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ważna kolacja z Trumpem

Prezydent Andrzej Duda spotkał się w środę 17 kwietnia z byłym prezydentem USA Donaldem Trumpem. Politycy zjedli razem kolację w Nowym Jorku.

Ta wiadomość wywołała na polskim podwórku tradycyjną burzę. – Mnie się w głowie nie mieści, że pan prezydent Duda się na coś takiego decyduje. Tu już nie chodzi o mieszanie się w wewnętrzne sprawy amerykańskie, to po prostu nie przystoi – grzmiał na antenie Polsat News minister Sławomir Nitras.

Na szczęście w Departamencie Stanu USA pracują profesjonaliści,

którzy nie dają się wciągać do wojenek polsko-polskich. Rzecznik resortu dyplomacji USA Matthew Miller oznajmił więc, że „kontakty między zagranicznymi rządami a kandydatami największych partii na prezydenta USA to zwyczaj praktykowany od wielu lat, a przywódcy USA często spotykają się z zagranicznymi liderami opozycji”. Przykład? Joe Biden w lutym 2023 r. spotkał się w Warszawie z Tuskiem i Trzaskowskim. I Amerykanie jakoś mu to wówczas darowali...

Z Trumpem 9 kwietnia obecnego roku obiad zjadł np. szef brytyjskiej dyplomacji David Cameron.

Będem byłoby, gdyby Andrzej Duda z Donaldem Trumpem się nie spotkał. Były prezydent USA według sondaży ma bowiem duże szanse na zwycięstwo w listopadowych wyborach. A o wadze dobrych relacji z Białym Domem w obecnych czasach nie trzeba przekonywać. Do tego Trump, mimo kontrowersyjnego stylu prowadzenia polityki, lubi Polskę. I chociaż krytycy zarzucają mu prowadzenie tzw. polityki transakcyjnej, to z pewnością doceni to, że Polska wydaje na obronność ponad 4 proc. PKB, a większość pieniędzy zostawia w Ameryce...



Niemiecki pacjent



Jan Bogatko z Berlina

Medialna bomba wybuchła. I to w Niemczech! Manifest na rzecz reformy mediów publicznych, podpisany przez ich pracowników, to dowód na to, że dyskusja o tym, czy niemieckie media są wolne (jak chcą lewicowe organizacje) czy też nie (jak uważa coraz więcej odbiorców), dotarła po latach do właściwych adresatów: publicznych rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych

Dzisiaj wszystko wygląda tak: ten, kto chce się dowiedzieć, jak wygląda świat z perspektywy lewicy czy zielonych, może skorzystać z licznych formatów stacji telewizyjnych ARD (uważanej na domiar wszystkiego za bardziej „lewicową”) i ZDF (niezastuszenie cieszącej się opinią bardziej „prawicowej”) i rozgłośni Deutschlandradio, opatrzonej etykietą „poważnego” radia. Ciekawości pozostałych konsumentów mediów formaty te nie zaspokoją, mimo że także oni muszą płacić obowiązkową

i rygorystycznie egzekwowaną przez państwo daninę na media „publiczne”. Abonament kosztuje każde gospodarstwo domowe w Niemczech 220 euro i 32 centy rocznie.

Przesłanie „Manifestu na rzecz nowych publicznych mediów w Niemczech” posługuje się językiem powszechnie zrozumiałym. Jego sygnatariusze przypominają „oczywistą oczywistość”, mianowicie to, co wyładowało na zakurzonych półkach archiwów mediów publicznych, do których nikt już nie zagląda: że potrzebna jest „wewnętrzna wolność prasy”, a nie orientacja „na spektrum opinii większości polityczno-parlamentarnej”. Media mają służyć informacji, a nie propagandzie. Tylko tyle i aż tyle.

Oczywiście chodzi autorom manifestu wyłącznie o media publiczne. Na temat prywatnych się nie wypowiadają. Te podlegają swym właścicielom. Media publiczne natomiast są własnością tych, którzy je finansują, czyli obywatele wszystkich nurtów politycznych. Tymczasem nikt ich nie reprezentuje w radzie nadzorczej rozgłośni radiowych czy telewizyjnych. A przecież spora to grupa słuchaczy i widzów.

Niektóre z mediów publicznych są do tego stopnia tendencyjne, że opowiada się o nich dowcipy nie tylko podczas kolońskiego karnawału. Jak na przykład WDR. To skrót nazwy Westdeutscher Rundfunk. Założona w 1956 r. publiczna stacja radio-telewizyjna dla Nadrenii Północnej-Westfalii z siedzibą w Kolonii zatrudnia ok. 4,2 tys. etatowych pracowników i na jej działalność z abonamentu radiowo-telewizyjnego przeznaczają się ponad miliard euro rocznie (dane za rok 2019: prawie 1 mld 200 mln). Zamieszcza ona część swych materiałów także w Internecie. Jest do tego stopnia lewicowa, że mieszkańcy reńskiej metropolii nazywają ją wprost „Westdeutscher Rotfunk”, co znaczy tyle, co „zachodniemieckie czerwone radio”. Zarzut nie jest wyssany z palca. Wielu pracowników WDR ma powiązania z socjalistyczną partią SPD; niektórym zarzuca się zgoła niebezpieczne związki z terrorystami z lewackiej grupy RAF (zwłaszcza bandy Baader-Meinhof).

MEDIA NIE SĄ DLA POLITYKÓW

Mówi się, że procesu opiniowania i informowania nie powinno się zaciemniać,

a odmiennych opinii wyciszać. Deutschlandradio, ZDF i ARD nie powinny też stosować tzw. weryfikacji faktów w celu sugerowania rzekomych prawd absolutnych i ograniczania w ten sposób swobodnego dyskursu – stwierdzają sygnatariusze manifestu. A przede wszystkim: media publiczne należą do abonentów, a nie do firm, nie do lobbystów – a już na pewno nie do polityków. Ich wpływ należy zdecydowanie minimalizować.

Autorzy manifestu przypominają, że media mają służyć informacji, a nie propagandzie

Autorzy manifestu rysują realistyczny obraz strukturalnej choroby niemieckich mediów publicznych. Z pewną przesadą można stwierdzić, że daleko idąca identyczność interesów dziennikarzy, polityków i organów nadzorczych stworzyła w mediach publicznych ideologiczną monokulturę, w której ludzie potwierdzają się nawzajem w swych ocenach, oceniając, upodabniając i antypatiach. Zieloni eksperci jawią się zielonym moderatorom oczywiście jako obiektywni eksperci, podczas gdy eksperci np. konserwatywni wydają się tym samym moderatorom jako nieobiektywni wyraziście opinii, a zatem postrzegani są przez nich nieufnie i krytycznie. Nazywając to wprost: lewicowi eksperci, zapraszani do studia do dyskusji nad jakimś konkretnym tematem mają prawo do interpretacji faktów, a zawstydzeni konserwatywni specjaliści muszą się usprawiedliwiać z zajmowanego stanowiska. Nie prawicowi – prawica w niemieckim słowniku politycznym mediów to naziści.

UKRYTE PODPISY

Manifest poparło ok. 100 osób. Niektórzy z nich – co zarzuca im lewica – krytykowali publicznie jedynomyślność publicznych mediów podczas pandemii koronawirusa czy podejście do wojny na Ukrainie. Wśród sygnatariuszy znaleźć można nazwiska aktorów, jak Henry Hübchen czy Corinna Kirchhoff. Manifest podpisali też były członek Bawarskiej

Rady Etyki Christoph Lütge i dyrygent Christoph Poppen, a także operatorzy i montażyści z WDR, projektanci obrazu z BR, autor programów z RBB czy np. spiker Deutschlandfunk Kultur. Podpisali go także technicy, moderatorzy i kamerzyści.

Na końcu manifestu znajduje się informacja, że do sygnatariuszy należy jeszcze 33 pracowników „nadawcy publicznego”, których podpisy złożono u adwokata. Ich nazwisk zatem – w przeciwieństwie do grupy pierwszej setki sygnatariuszy – w tej chwili nie znamy. I na tym polega skandal. Fakt, że 33 pracowników było gotowych do wyrażenia swej opinii tylko anonimowo, wskazuje na antykulturę podejrzliwości panującą w ARD, ZDF i Deutschlandradio.

Oczywiście przeciwnicy manifestu, o którym dzisiaj mówią Niemcy, zaraz zapytają, jakie znaczenie ma sto kilkadziesiąt protestujących wobec 20 tys. pracowników ARD, 4 tys. ZDF i 1,4 tys. Deutschlandradio. Jednak ten protest publiczny to w kulturze niemieckiej zjawisko wyjątkowe, a zatem to niezwykle ważny głos. I niesłuchanie odważny – zauważa „Berliner Zeitung”. To apel o różnorodność opinii i o przejrzystość, o nieuleganie politycznym naciskom i brak uprawiania polityki. Wygląda na to, że nie jest postrzegany jako coś oczywistego, ale raczej uważany za akt buntu przeciwko konsensowi władzy, która go gwarantuje. Tymczasem to po prostu akt rozpacz ze strony tych, którzy na serio uwierzyli w demokrację i martwią się jej losem. Pokazują oni władzom publicznym instytucji medialnych w Niemczech, co należy zrobić, by ARD, ZDF i Deutschlandradio nie straciły resztek posiadanego zaufania.

A wystarczyłoby przecież, by instytucje te powróciły do przestrzegania wartości, wyrażonych w umowie o mediach publicznych, zwłaszcza takich zasad jak różnorodność. Już choćby to zapobiegłoby zniesławianiu tych, którzy myślą inaczej – zauważa „Berliner Zeitung”. Tylko tak – cytując z manifestu – „media publiczne mogą odzyskać akceptację i odegrać należytą rolę w demokratycznym dyskursie. My, pracownicy ARD, ZDF i Deutschlandradio, a także wszyscy inni sygnatariusze, cenimy silnego, niezależnego nadawcę publicznego w Niemczech”

■ jako niezbędny filar naszej demokracji, komunikacji społecznej i kultury. Jesteśmy przekonani o zasadach zapisanych w Umowie o mediach państwowych i mandacie programowym. Zauważamy jednak, że są one zagrożone. Zaufanie obywateli do nadawców publicznych coraz bardziej maleje. Rosną wątpliwości co do zrównoważenia programu. Od wielu lat dostrzegamy rosnące rozbieżności między mandatem programu a jego realizacją. Napisaliśmy ten Manifest, aby nasz głos i wiedza na temat przyszłości radiofonii i telewizji publicznej były słyszalne w dyskursie społecznym”.

SZEŚĆ PUNKTÓW

Co chcą osiągnąć sygnatariusze manifestu? Dokument wymienia sześć punktów, których realizacja miałaby w Niemczech przywrócić wolność mediów publicznych: po pierwsze – różnorodność opinii i informacji, po drugie – wyważenie i uczciwość, po trzecie – przejrzystość i niezależność (od polityki), po czwarte – promocja kultury i oświaty, po piątą – partycypacja obywateli i po szóste – utrzymanie zasady finansowania z abonamentu radiowo-telewizyjnego.

Największym problemem niemieckich mediów publicznych jest zawężanie przestrzeni debaty w miejsce pożądanego rozszerzenia perspektyw. Sygnatariusze zarzucają mediom rezygnację z misji oferowania widzom i słuchaczom informacji z wielu perspektyw, a nie tylko z jednej, odgórnie narzucanej jako wyłączna prawda. Zamiast tego tworzenie opinii jest sprzeczne z zasadami poważnego dziennikarstwa. Bardzo rzadko dochodzi do istotnych sporów merytorycznych z przeciwstawnymi opiniami.

Głosy kwestionujące konsens społeczny – głoszone przez media – są ignorowane, wyśmiewane, a nawet wykluczane. Postponując krytyków, używa się w tym celu różnych „terminów bojowych”, niczym z mediów totalitarnych, w rodzaju „myśliciele lateralni”, jak gdyby zaleta, wyrażająca się w gotowości do pozbicia się sztywności w postrzeganiu wydarzeń i ich interpretacji, była w oczach funkcjonariuszy medialnych dyskwalifikującą wadą; „negacjoniści klimatu”, „rozumiejący Putina”, jakby nagle oficjalne media przestały nazywać rusofobami krytyków Rosji „takiej, jaka ona jest”. To, rzecz

jasna, niepełny katalog obelg, którymi obrzuca się myślących inaczej, by odebrać im głos w publicznej debacie.

Jak zareagowały niemieckie media publiczne na manifest na rzecz wolności opinii? Zaprosiły do publicznej debaty? Do dyskusji w mediach? Nic z tych rzeczy. Przystąpiły do ofensywy przeciwko krytykom w myśl zasady lewicowych mediów: jesteśmy za wolnością opinii, pod warunkiem że jest to nasza opinia i nasza wolność.

Najpierw, rzecz jasna, media publiczne uciekły się do naczelnej zasady przemilczania niewygodnych informacji. Krzycząca cisza zapanowała w niemieckim eterze. Po chwili landowe rozgłoszenie i stacje telewizyjne wspomniały o stanowisku ARD w odpowiedzi na zapytanie portalu NIUS w Berlinie. Portal NIUS niemiecka lewica uważa za skrajną prawicę, w ich żargonie to

Jak niemieckie media zareagowały na manifest? Przystąpiły do ofensywy przeciw krytykom

„faszyści”. Nie przeszkadza w tym wcale to, że dyrektorem portalu (hasło: „Głos większości”) jest były naczelnik tabloidu „Bild”, Julian Reichelt. W oświadczeniu ARD stwierdza, że w Niemczech toczą się krytyczne dyskusje i że manifest jest postrzegany właśnie jako... wyraz tej debaty. „Fakt, że pojawia się dokument taki jak tzw. Manifest, jest dowodem na to, że w spółkach medialnych ARD istnieje różnorodność opinii i wolność słowa” – stwierdziła ARD.

Potem radio Deutschlandfunk uderzyło w ostre tony, posługując się zwyczajowo w takiej sytuacji wobec autorów manifestu znanymi inwektywami w rodzaju „negacjoniści klimatu” i wspomniani już „lateralni myśliciele”, by tylko pozbawić ich wszelkiej wiarygodności. Mowa nieważności w eterze?

W końcu także Niemieckie Stowarzyszenie Dziennikarzy (DJV) postanowiło zabrać głos. Manifest jest jego zdaniem „wątpliwy”, ponieważ podszyca „noto-

rycznych hejterów mediów”. Tymczasem głos DJV jest przykładem działalności hejterskiej: początkowo mówiono, że „do niedawna” w stopce redakcyjnej na stronie internetowej manifestu podawano „Association Civil Alliance”, kierowane przez Svena von Storcha (męża polityk AfD Beatrix von Storch). Twierdzenie to okazało się fałszywe i DJV musiał je, chcąc nie chcąc, skorygować. To, że DJV w ogóle mogło sobie pozwolić na tak oczywistą manipulację, to odrębny skandal, wymagający reakcji. To jasne, że teksty publikowane przez ARD czy Deutschlandfunk nie przyczynią się do podjęcia rzeczowej debaty na temat przyszłości mediów publicznych w Niemczech. Stwierdzenie bolesne, ale prawdziwe: aktualnie w redakcjach mediów publicznych, takich jak ARD, ZDF i Deutschlandradio, nie istnieje wewnętrzna wolność słowa. Szczególnie wyraźnie widać to na przykładzie informacji i komentarzy na tematy polskie.

Autorzy krytykowanego przez funkcjonariuszy mediów publicznych w Niemczech manifestu zwracają też uwagę na istotną kwestię, mianowicie na to, że w wyborach członków najwyższych ciał kontrolnych w publicznej telewizji i radiofonii nie biorą bezpośredniego udziału abonenci, bez których media te w ogóle by nie istniały. Abonenci nie mają żadnego wpływu na decyzje mediów publicznych z zakresu polityki medialnej, finansowe czy personalne. Nie mają także wpływu na emitowane czy nadawane programy, a ewentualne skargi na nie mają taki skutek, jak swego czasu w nieboszczce NRD. Z reguły pracowników mediów publicznych w ogóle nie informuje się nawet o skargach na temat programu.

Autorzy manifestu piszą, że nowe media publiczne zrezygnują z reklam, aby zapewnić programom (finansowanym przecież przez abonentów) szeroki margines wolności. Media miałyby być nowoczesne w tym sensie, że szerzej korzystano by z przekazu internetowego. Obecnie tylko niewielką część programów można znaleźć w Internecie, i to przez czas ograniczony.

Do niedawna w Niemczech mówiono: „prasa kłamie”. Media publiczne cieszyły się dobrą opinią. Teraz tę opinię tracą w szybkim tempie. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dwie pierwsze poranne debaty polityczne w Telewizji Republika.
Istotne dla Polski tematy. Najważniejsi politycy i eksperci.
Na żywo w rozmowie z **Adrianem Klarenbachem**.

OD PONIEDZIAŁKU
DO PIĄTKU

PO 9:00

PO 10:00

W TELEWIZJI REPUBLIKA



Z Siddharthem Karą,
autorem książki
„Krwawy kobalt”
rozmawia Piotr Włoczyk

Kobaltowe łzy

PIOTR WŁOCZYK: Do czego jest nam potrzebny ten metal?

SIDDHARTH KARA: Bez niego nasze urządzenia elektroniczne, takie jak smartfony, tablety czy laptopy, a także samochody elektryczne działałyby dużo mniej efektywnie. Jest to nieodzowny składnik zdecydowanej większości używanych przez nas baterii.

Skąd się bierze kobalt?

Trzy czwarte światowej produkcji tego minerału pochodzi z Konga. Dużą część kobaltu wydobywają tam ludzie, którzy pracują w potwornych warunkach, urągających człowieczeństwu. Nie

tylko dorośli, lecz także dzieci, które tracą w kobaltowych biedaszybach swoje zdrowie i dzieciństwo. Wygoda ludzi z bogatej północy ma swoją cenę – kobalt wydłubują z ziemi tłumy nieszczęśników, którzy ryzykują życie dla dolara lub dwóch dolarów dziennie.

Ale przecież największe światowe korporacje, które sprzedają nam smartfony i auta elektryczne, podkreślają, że wszystkie ich działania są etyczne i bardzo leży im na sercu nie tylko los wszelkich mniejszości, lecz także ludzi zmarginalizowanych. Słyszymy, że ci giganci biznesu dbają o to, by w ich łańcuchach dostaw nie było „krwawego kobaltu”.

Proszę nie żartować. Gdyby tak było, nie rozmawialibyśmy o dramacie Kongijczyków. Przypomnę tylko, że król Leopold II, który bezwzględnie rabował Kongo i odpowiadał za śmierć milionów ludzi, twierdził, że wszystko, co robił, było dla dobra Kongijczyków, że bardzo zależało mu na polepszeniu ich życia. Dziś historia się powtarza. Największe korporacje przekonują, że nie godzą się na pracę dzieci, a ich łańcuchy dostaw są etyczne. Ale gdy wybierzemy się do Konga, łatwo się przekonamy, że to po prostu jedno wielkie kłamstwo.

Ponad 70 proc. przemysłu kobaltowego w tym kraju kontrolują chińskie firmy.



Dużą część kobaltu wydobywają ludzie, którzy pracują w warunkach urągających człowieczeństwu. Nie tylko dorośli, lecz także dzieci FOT. M. SCHADE/ANZENBERGER/FORUM

rzy prymitywnymi narzędziami wyrywać z ziemi kobalt. Często używają do tego po prostu żelaznych prętów. Górnictwo to ciężki i niebezpieczny zawód nawet w zakładach przestrzegających norm, a co dopiero mówić o ludziach, którzy w sercu Afryki wygrzebują w biedaszybach rudę z kobaltem i wrzucają to do płóciennych worków, które przenoszą dzieci?

Mówienie o „rzemieślniczych górnictwach” to oczywiście nonsens, ale giganci z branż, które wykorzystują kobalt, chcą za pośrednictwem tych dwóch słów ukryć prawdę o ludziach, którzy pozyskują dla nich ten wyjątkowo cenny surowiec, pracując po 12 godzin dziennie za maksymalnie dwa dolary.

Patrząc na światową mapę zasobów naturalnych, właściwie trudno powiedzieć, czego nie ma w Kongu...

Ten kraj jest nieprawdopodobnie bogaty pod tym względem. Jest to jednak zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo. Poza kobaltem Kongo dysponuje jeszcze gigantycznymi zasobami m.in. złota, niklu, diamentów i miedzi. To wszystko jest warte biliony dolarów. W ciągu ostatnich dwóch stuleci te ogromne bogactwa przyciągały uwagę zagranicznych potęg, które bezlitośnie eksploatowały samych Kongijczyków oraz ich ziemię.

W zeszłym roku w Kongu wydobyto ok. trzech czwartych wyprodukowanego na świecie kobaltu. Olbrzymie zyski są jednak wysyłane poza granice kraju i sami Kongijczycy właściwie nic z tego nie mają. Smartfony sprzedawane są za setki, a nawet tysiące dolarów, auta elektryczne kosztują dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy dolarów, a w Kongu prawie nic z tego nie zostaje.

Nie da się zastąpić kobaltu jakimś innym surowcem?

Ten metal jest nieodzownym komponentem prawie każdej ładowalnej baterii litowo-jonowej, ponieważ dzięki swoim właściwościom pozwala im na zachowanie maksymalnej gęstości energetycznej, a także stabilności termicznej. W praktyce oznacza to, że nie musimy ładować naszych urządzeń co chwila, a dodatkowo bateria się nie zapali.

Można wprawdzie używać innych technologii budowy baterii, które nie

opierają się w takim stopniu na kobalcie lub wręcz w ogóle go nie wykorzystują, ale wówczas rezygnujemy z części pojemności baterii i zmniejszamy jej stabilność termiczną.

Jeszcze przez dekady świat będzie potrzebował kongijskiego kobaltu, zarówno dla naszych urządzeń przenośnych, jak i do przeprowadzenia transformacji energetycznej.

Kilka miesięcy temu rozmawiałem z Adamem Hochschildem, autorem książki „Duch króla Leopolda”, która opowiada o horrorze Kongijczyków z przełomu wieków XIX i XX. Ta ówczesna prywatna kolonia króla Belgii była eksploatowana w potworny sposób, a sami Kongijczycy byli traktowani przez Belgów jak zwierzęta. Wychodzi jednak na to, że historia brutalnego wyzysku Kongijczyków wcale się nie zakończyła, a kobalt to po prostu jej najnowszy rozdział.

Niestety, tak to właśnie wygląda. Do Konga cały czas podłączona jest wielka rura zasysająca jego bogactwa, a tamtejsi mieszkańcy cierpią z powodu przemocy, która towarzyszy eksploatacji ich kraju. Bo przecież chciwemu zagarnianiu bogactw naturalnych właściwie zawsze towarzyszy wielka krzywda ludzi zamieszkujących takie tereny. Tego ostatniego rozdziału nie da się w pełni zrozumieć bez poznania historii wyzysku i masowych mordów ery króla Leopolda II.

Ironią historii jest to, że wyzysk z czasów belgijskich był napędzany pierwszą rewolucją samochodową, gdy pojawiło się ogromne zapotrzebowanie na kauczuk, który zbierany był systemem quasi-niewolniczym w niekończących się kongijskich lasach. Teraz mamy z kolei do czynienia z drugą rewolucją samochodową, która również skutkuje rabunkiem innego kongijskiego bogactwa – kobaltu.

Dziś poszukiwacze kongijskich bogactw naturalnych nie obcinają już masowo rąk tamtejszym mieszkańcom, którzy stawiają opór, ale pozyskiwaniu kongijskich surowców wciąż towarzyszy ogromne cierpienie...

Gdy podróżujemy po południowo-wschodnim Kongu, gdzie wydobywany jest kobalt, widzimy krajobraz zdewastowany przez górnictwo. Gigantyczne kopalnie odkrywkowe, które niszczą wszystko na swojej drodze, a także prymitywne szyby i odkryvky tu i tam. W wielkich zakładach piętrzą się zwąły

Wielkie światowe korporacje twierdzą, że wszystko jest tu w porządku, ponieważ ich dostawcy z Chin dają gwarancję, że pozyskują kobalt w etyczny sposób. Wiemy, jak wyglądają prawa człowieka w samych Chinach, ale mamy uwierzyć, że akurat w Afryce chińskie koncerny dbają o to, żeby kobalt pozyskiwany był w cywilizowanych warunkach...

Kim są rzemieślniczy górnicy (ang. artisanal miners)?

Ten termin został ukształtowany przez największych graczy sektora kopalnianego i ma zaciemniać prawdę. „Rzemieślniczy górnicy” to w rzeczywistości biedacy, któ-

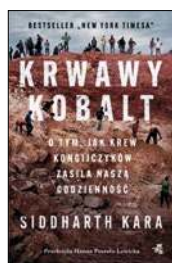
toksyn powstałych w wyniku przetwarzania rudy z kobaltu. Źródła wody są zatrute, co widać w statystykach chorób. Coś takiego jest niemożliwe na globalnej północy. Gdyby pod Warszawą odkryto nagle gigantyczne złoża kobaltu, to wyobrażam sobie, że kopalnie powstałyby w taki sposób, by chronić środowisko i mieszkających tam ludzi. Z kolei pracujący w takich kopalniach górnicy byłiby objęci prawem pracy, otrzymywaliby za swój trud godziwe wynagrodzenie, a zakład przestrzegałby podstawowych zasad BHP.

W Afryce liczy się tylko maksymalny zysk. Największe światowe korporacje mogą tam sobie pozwolić właściwie na wszystko. Nastolatkiwie, a także dzieci poniżej 10. roku życia jak młótki pracują w nielegalnych wyrobiskach, boso, bez rękawic, często w ulewnym deszczu. Szczęśliwie dla tych koncernów w Kongu mają do dyspozycji nieprzebrane rzesze zdesperowanych ludzi, którzy zrobią wszystko, by zarobić na jedzenie. Musimy wiedzieć, że ceną użytkowania przez nas ładowalnych urządzeń i aut elektrycznych jest masowy gwałt na prawach człowieka w pewnym zapomnianym zakątku świata.

Spędził pan w Kongu sporo czasu, zbierając materiał do książki. Jakie historie słyszał pan na miejscu od „rzemieślniczych górników”?

Trudno przedstawić ogrom cierpienia, które tam widziałem. Połamane kończyny, kręgosłupy i cała masa innych uszkodzeń ciała, o co nietrudno, jeżeli pracuje się w tak prymitywnych warunkach. Nikt nie wie, ilu „rzemieślniczych górników” straciło życie w biedaszybach budowanych bez żadnych zabezpieczeń, ale ta liczba musi być ogromna. Co chwila słyhać o kolejnym zawałeniu się takiego szybu. W przypadku katastrofy nie ma raczej szans na profesjonalną akcję ratunkową jak w krajach rozwiniętych. Zawał oznacza zazwyczaj pewną śmierć.

Ludzie mieszkający na terenach, gdzie wydobywany jest kobalt, są zatrutowani każdego dnia, ponieważ woda, którą piją, nie spełnia podstawowych kryteriów bezpieczeństwa.



SIDDHARTH KARA
„KRWAWY KOBALT”
WYDAWNICTWO
W.A.B. 2024

Chyba najbardziej poruszające były dla mnie rozmowy z rodzicami, którzy stracili dzieci w wypadkach w kopalniach. Każdy rodzic potrafi sobie zapewne wyobrazić, co muszą czuć matka czy ojciec, których dziecko zostało zasypane żywcem i być może nigdy nie uda się wydobyć na powierzchnię jego ciała. Musimy też rozumieć, że raczej żadna kongijska rodzina nie godzi się na pracę dziecka ot tak. Każdy dodatkowy dolar dziennie to często dla nich być albo nie być.

W tym miejscu trzeba jednak zadać pytanie o sam kongijski rząd. Czy politycy w Kinszasie jakkolwiek troszczą się o swoich obywateli?

Tak, trzeba uczciwie przyznać, że władze w Kongu też są współwinną tej tragedii, a korupcja w tym kraju jest niezwykle rozpleniona. Kongijski rząd dostaje miliardy dolarów z tytułu wydobycia surowców mineralnych, ale te pieniądze „rozchodzą się” gdzieś po drodze i niemal nic z tego nie trafia do przeciętnego obywatela.

Ale musimy też wiedzieć, że Konga to dość młode państwo. Wciąż żyje dużo osób, które pamiętają czasy, gdy Konga było belgijską kolonią (aż do 1960 r.). Od tego czasu to państwo padało ofiarą zagranicznych interwencji, wojen i epidemii. W Kongu od 1960 r. do 2019 r. tylko raz doszło do pokojowego przekazania władzy. Rozmawiając z Kongijczykami na temat sytuacji w ich kraju – korupcji, słabości państwa i biedy mimo ogromnych bogactw naturalnych – nie usłyszymy raczej zaprzeczenia. Ale nasi rozmówcy przypominają też zapewne, że gdy w 1960 r. Kongijczycy wybrali w końcu swojego przywódcę, Patrice’a Lumumbę, który obiecywał, że wpływy ze sprzedaży surowców będą służyły im samym, a nie zagranicy, po kilku miesiącach Belgia i USA przygotowały zamach i w jego miejsce zainstalowany został krwawy dyktator Joseph Mobutu. Przez kolejne trzy dekady, do 1997 r., Mobutu pozwalał zagranicznym potęgom na rabunek kraju, samemu korzystając na tym procederze. Kongijczycy podkreślają więc, że gdy oni sami chcieli się rządzić, Zachód nie pozwolił im na to i siłą narzucił im kleptokratyczny reżim. Trzeba brać pod uwagę ten czynnik, gdy rozmawiamy o tym,

dlaczego kongijski aparat państwowy wygląda tak, a nie inaczej.

Czy istnieje coś takiego jak „czysty kobalt”? Giganci technologiczni przekonują, że korzystają właśnie z surowca pochodzącego z wielkich kopalni, gdzie pracują ogromne maszyny, a nie dzieci.

Nie ma czegoś takiego jak „czysty kobalt” z Konga. To kompletna fikcja. Każda z takich wielkich kopalni poza sprzętem przemysłowym korzysta też z pracy tysięcy, czasem nawet 10–15 tys. „rzemieślniczych górników”. A niekiedy w tych wielkich kopalniach nie widać ani jednej maszyny, tylko samych biedaków wygrzebujących rękoma z ziemi kobalt. Tak czy inaczej kobalt wyciągnięty z ziemi przez koparki mieszany jest potem z kobaltem wygrzebanym przez „rzemieślniczych górników”, więc nie ma mowy o pozyskiwaniu „czystego” surowca z Konga.

A może po prostu wszystkie nasze urządzenia i auta elektryczne byłyby dużo droższe, gdyby kobalt do baterii produkowany był w Kongu w cywilizowanych warunkach? I tylko dlatego, żeby chronić nas, konsumentów, przed dużymi podwyżkami, wielkie korporacje nie są zbyt docieklive, jeżeli chodzi o źródła, z których pochodzi ich kobalt?

Nie, zapewnienie w Kongu ludzkich warunków wydobycia kobaltu nie oznaczałoby dużych podwyżek produktów końcowych. To nie jest nic nadzwyczaj skomplikowanego czy kosztownego. Zbudowanie szkoły czy szpitala w Kongu naprawdę nie jest drogie. Godziwe pensje dla kongijskich pracowników też nie wiązałyby się z dużym ograniczeniem zysków wielkich koncernów. Odpowiedź jest tu brutalna: ludzie w Afryce nic nie znaczą dla światowych korporacji. Kropka. Dopóki my jako konsumenci nie wywrzemy odpowiednio dużej presji, dopóki prawda na temat prawdziwej ceny pozyskiwania kobaltu nie przebiję się do szerokiej opinii publicznej, dopóty korporacje nie będą zainteresowane zakończeniem dramatu tych ludzi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Siddharth Kara jest amerykańskim pisarzem, ekspertem do spraw. współczesnego niewolnictwa, autorem bestsellerowej książki „Krwawy kobalt. O tym, jak krew Kongijczyków zasila naszą codzienność”.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM**MON przyzna,
że to był błąd?**

Minister obrony Niemiec, Boris Pistorius, publicznie przyznał, że zniesienie przez Niemcy poboru do wojska było błędem.

Niezmiennie mnie ciekawi, co w tej samej sprawie sądzi minister obrony Polski, Władysław Kosiniak-Kamysz – szef PSL – partii, której politycy, do spółki z politykami Platformy, podczas wcześniejszego wspólnego sprawowania rządów, w 2009 r., pobór do wojska w Polsce formalnie zawiesili, a faktycznie zniesli.

Bo że z całą pewnością nie uważa tamtej decyzji za błąd były minister obrony z PiS Mariusz Błaszczak – to wiadomo. W końcu stał na czele resortu obrony przez kilka lat, w tym przez niemal dwa lata po inwazji Rosji na Ukrainę, i nawet się nie zająknął, że pobór w jakiejś formie należałoby w Polsce – zważywszy na mocno zmienione okoliczności – przywrócić. Ani tym bardziej nie starał się do jego przywrócenia doprowadzić.

A chyba minister obrony Błaszczak nie milczał w tej sprawie z powodów populistycznych, czyli ze strachu, że przyznanie przezeń, iż pobór w Polsce należy czym prędzej przywrócić, mogłoby jego partii uszczknąć poparcia wyborców – nieprawdaż? Tym bardziej że w straszeniu Rosją – jej imperialnymi zakusami, także względem Polski – niewielu politykom dawał się wyprzedzać.

A zatem, czy obecny minister obrony Polski Władysław

Kosiniak-Kamysz uważa, podobnie jak minister obrony Niemiec, że zawieszenie/zniesienie poboru było błędem i teraz należałoby go przywrócić, czy ob staje przy tym, że w 2009 r. rząd Platformy i PSL błędu nie popełnił i poboru przywracać nie potrzeba?

Niemcy debatują dziś nad tym, jak sobie poradzić z podniesieniem jakości i liczebności Bundeswehry, w której służy dziś 181 tys. żołnierzy, czyli mniej więcej tyle, ile w siłach zbrojnych Polski, w których dysponujemy 175 tys. żołnierzy. A my – my w Polsce – na ten temat nie dyskutujemy, bo myśmy już po prostu zadekretowali, że nasza armia szybciej – jakimś cudem – liczyć będzie 300 tys. żołnierzy, a najlepiej jeszcze więcej. A jakim cudem – to się zobaczy.

A przecież – to w obecnej sytuacji pewne – rzecz rozbija się nie tylko o jakość i liczebność stałej armii, lecz także o jakość i liczebność armii rezerwowej, czyli tej składającej się z dobrze wyszkolonych i regularnie doszkalanych co najmniej grubych setek tysięcy, a jeszcze lepiej – kilku milionów polskich żołnierzy rezerwistów. Takich, których Finowie – naród znacznie od nas mniej liczny (Finów jest nieco ponad 5,5 mln, a nas prawie 38 mln) – już dziś mają w gotowości 900 tys.

A my – ilu my mamy dziś dobrze wyszkolonych i regularnie doszkalanych żołnierzy rezerwistów? Tajemnica wojskowa?! ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA**De Croo
kontra Kowal**

Próba spacyfikowania przez belgijską policję konferencji National Conservatism, odbywającej się w ubiegłym tygodniu w Brukseli, była czymś wyjątkowym. Nie dlatego, żeby wydarzeń o podobnym profilu nie sekowali już wcześniej zwolennicy specyficznie rozumianej wolności słowa, ale dlatego, że tym razem dotyczyło to wydarzenia wysokiej rangi, w którym uczestniczyli naukowcy, publicyści, a także politycy, w tym byli i obecni przywódcy państw

wewnątrzpolityczne – De Croo jest członkiem flamandzkiego bloku liberalno-demokratycznego (Open Vlaamse Liberalen en Democraten), choć socjaliści są częścią jego koalicyjnego rządu. Najważniejsze jednak, że głos w obronie prawa do wolnej debaty popłynął ze strony polityka, który niedługo wcześniej rezonował narrację o wszechobecności rosyjskich wpływów w Europie w związku ze sprawą portalu Voice of Europe (o czym pisałem w poprzednim wydaniu „Do Rzeczy”). Jak widać, rozciąganie tejeż na poważne spotkanie polityczne ludzi z konkurencyjnego obozu ideowego to było zbyt nawet jak dla De Croo.

Na tle wpisu belgijskiego premiera żenująco i kompromitująco wypadły zachwyty Pawła Kowala, posła KO, nad decyzją Kira, którą podsumował, pisząc: „Brawo, Belgia!”. Cóż, to nie „Belgia” próbowała zakłócić konserwatywne spotkanie, ale jeden socjalistyczny burmistrz jednej z dzielnic. Kowal nazwał zbiorczo uczestników konferencji „putinternem” (nawiązanie do sowieckiego Kominternu), obrażając w ten sposób każdego, kto w tym spotkaniu wziął udział.

Jak widać, De Croo był w stanie zachować zdrowy rozsądek, także w sprawie wolności poglądów i słowa. Kowal to już niestety światoductwo ostatecznego upadku polityka, który swego czasu wydawał się chwilami ostoją zdrowego rozsądku. ©©

**Na tle wpisu
belgijskiego
premier żenująco
i kompromitująco
wypadły zachwyty
Pawła Kowala,
posła KO**

UE. Polecenie przerywania wydarzenia wydał Emir Kir, Belg tureckiego pochodzenia (urodzony w Charleroi), poseł belgijskiego parlamentu i zarazem burmistrz dzielnicy Saint-Josse-ten-Noode, gdzie odbywała się konferencja. Kir jest oczywiście, jakżeby inaczej, członkiem Partii Socjalistycznej.

Znaczące jest, że to działanie skrytykował ostro Alexander De Croo, premier Belgii. Być może stały za tym także jakieś przyczyny

Bilans

20 lat w Unii



FOT. JADWIG STOK



Tomasz Cukiernik

O ile dotychczas bilans członkostwa Polski w Unii Europejskiej mógł być kwestią dyskusyjną, o tyle Europejski Zielony Ład wraz z proponowanymi zmianami traktatowymi spowodują, że na członkostwie będziemy tracić i gospodarczo, i społecznie, i politycznie

Już w 2006 r., na progu pierwszej perspektywy finansowej UE 2006–2013, w której Polska w pełni brała udział, kiedy Polacy byli skrajnie pozytywnie nastawieni do funduszy Unii Europejskiej, w tygodniku „Wprost” opublikowałem artykuł „Plan anty-Marshalla” (nieco nietrafiony tytuł pochodził od redakcji). Dowodziłem w nim, że polskie

koszty związane z absorpcją unijnych dotacji w latach 2006–2013 przewyższą wartość tych dotacji. W kolejnych latach politycy i mainstreamowi dziennikarze opowiadali bajki, jak to zyskujemy na członkostwie w Unii Europejskiej tylko dlatego, że zgodnie z danymi Ministerstwa Finansów wartość dotacji unijnych (ok. 3 proc. PKB) była wyższa niż war-

tość polskiej składki członkowskiej wpłacanej do Brukseli (ok. 1 proc. PKB). Nikt nie zająknął się na temat gigantycznych kosztów (także politycznych) związanych z przyjmowaniem unijnych srebrników. Ale nawet gdyby to wzięto pod uwagę, to nadal nie byłby to żaden bilans członkostwa Polski w Unii Europejskiej.

RYNEK KONTRA REGULACJE

W mojej najnowszej książce „Dwa-dziesiąt lat w Unii. Bilans członkostwa”, wydanej na okrągłą rocznicę przypadającą 1 maja, przedstawiłem kilka autor-skich bilansów dotyczących członkostwa Polski w bloku przede wszystkim z punktu widzenia gospodarczego i finansów publicznych.

Moim zdaniem najważniejszy jest bilans, w którym po jednej stronie mamy

korzyści wynikające z dostępu polskich firm do wspólnego rynku.

Z różnych opracowań Komisji Europejskiej wynika, że ten zysk w przypadku Polski wynosi od 7,1 proc. do 10,6 proc. PKB. Wspólny rynek to bezdyskusyjnie największe osiągnięcie bloku krajów tworzących Unię Europejską. To 128 mln ludzi pracujących w 23 mln firm. To PKB o wartości niemal 16 bln euro. Wolny przepływ kapitałów, towarów, usług i ludzi spowodował, że nasza część świata rozwijała się szybciej, niż rozwijałaby się, gdyby tych swobód nie było. Przede wszystkim oznacza łatwy dostęp do 450 mln konsumentów, ułatwia handel i inwestycje oraz umożliwia mobilność siły roboczej.

Z drugiej jednak strony hamulcowym są unijne (i krajowe) coraz bardziej absurdalne i oderwane od rzeczywistości regulacje, które tłamszą gospodarkę Unii Europejskiej. Dla przypomnienia: w 1993 r. chiński PKB wynosił zaledwie jedną czwartą niemieckiego PKB. Teraz chińska gospodarka wyprzedziła wielkością gospodarkę całej Unii. Z badania przeprowadzonego na zlecenie Parlamentu Europejskiego przez RAND Europe w 2022 r. wynika, że koszty ekonomiczne ograniczeń w funkcjonowaniu jednolitego rynku wynoszą od 650 mld do 1,1 bln euro rocznie, co stanowi równowartość 5–8,6 proc. PKB Unii Europejskiej. Co gorsza, tych coraz bardziej absurdalnych, szkodliwych i kosztownych euroregulacji co roku przybywa w tempie stachanowskim. Skrajnym przykładem jest uderzający w firmy z naszej części Europy pakiet mobilności, a Parlament Europejski już zagłosował za ograniczeniem stosowanej przez polską branżę przetwórstwa rybnego technologii stiffeningu [obniżenie temperatury filetu rybnego, by usprawnić proces mechanicznego krojenia – przyp. red.], w celu pozbycia się niewygodnej dla Francji konkurencji.

Jakby tego było mało, nie tylko Bruksela regulacjami uderza w jednolity rynek. To samo robią kraje członkowskie, tworząc bariery na rynku, uderzające najczęściej w konkurencję z innych krajów członkowskich. Tamtejsze władze – zarówno centralne, jak i lokalne – nie tylko nie ułatwiają prowadzenia działalności gospodarczej, lecz także ją

utrudniają na różne sposoby. Stosowane są bariery formalne (standaryzacja, zezwolenia, kwoty kabotażowe, regulacje środowiskowe), półformalne (nękające kontrole państwowych inspekcji) i nieformalne (kampanie przeciwko produktom, czarny PR). I Unia im w tym nie przeszkadza. Lech Piławski, doradca zarządu Konfederacji Lewiatan, członek Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego, zauważa, że „korzyści z obniżenia barier na jednolitym rynku skutkujące poprawą przepływów handlowych i wzrostem gospodarczym przyniosłyby korzyści rzędu 200–270 mld euro rocznie”.

HANDEL I INWESTYCJE

Przede wszystkim wspólny rynek ułatwia handel towarami i usługami oraz wzajemne inwestycje. Wszystkie te elementy rosły w czasie naszego członkostwa w bloku. Jednak w latach 2004–2022 Polska miała bardzo głęboki deficyt w towarowym handlu zagranicznym. Otóż z danych GUS wynika, że saldo obrotów towarowych handlu zagranicznego wyniosło w tym czasie ok. –567 mld zł. Inaczej sytuacja wyglądała w usługach. Przez cały okres członkostwa Polski w Unii saldo handlu usługami było dodatnie. Szczególnie szybko rosło ono po 2014 r. Według danych GUS w latach 2004–2022 skumulowany bilans zagranicznego obrotu usługami wyniósł 863,5 mld zł. Można powiedzieć, że wielki atut Polski to eksport usług. W rezultacie bilans Polski w handlu łącznie towarami i usługami w latach 2004–2022 był dodatni i wyniósł niemal 300 mld zł.

A jak było z inwestycjami zagranicznymi? Z raportu NBP „Zagraniczne inwestycje bezpośrednie w Polsce i polskie inwestycje bezpośrednie za granicą w 2022 roku” wynika, że napływ kapitału z tytułu zagranicznych inwestycji bezpośrednich w 2022 r. wyniósł 140,3 mld zł, podczas gdy w 2003 r. było to zaledwie 15,5 mld zł. W 2022 r. największymi inwestorami bezpośrednimi w Polsce były kolejno Niemcy, Francja i Holandia. Z kolei dochody z tytułu zagranicznych inwe-



**TOMASZ
CUKIERNIK**
**„DWADZIEŚCIA
LAT W UNII.
BILANS
CZŁONKOSTWA”**
B&T PRESS 2024

stycji bezpośrednich w Polsce w 2022 r. wyniosły 128,9 mld zł, podczas gdy w 2003 r. było to 7,9 mld zł. Oznacza to 16-krotny wzrost. Razem dochody z tytułu zagranicznych inwestycji bezpośrednich w Polsce w latach 2004–2022 sięgnęły kwoty 1,25 bln zł. W 2022 r. najwyższe dochody z tego tytułu w Polsce uzyskały Holandia, Niemcy, Luksemburg i Francja.

Ministerstwo Finansów podaje wysokość dochodów uzyskanych w Polsce przez podatników posiadających

siedzibę lub zarząd na terytorium innego niż Polska kraju członkowskiego Unii Europejskiej, z tytułu: dywidend i innych przychodów (dochodów) z tytułu udziału w zyskach osób prawnych, odsetek, opłat licencyjnych, przychodów z tytułu świadczeń: doradczych, księgowych, badania rynku, usług prawnych. Łączne kwoty powyższych płatności do poszczególnych krajów UE w latach 2005–2022 wyniosły gigantyczną sumę niemal 1,15 bln zł. To równowartość 3,6 proc. PKB Polski w tym okresie. Najwięcej na tym transferze przez te 18 lat zyskały Holandia, Niemcy i Francja.

Wyliczenia Ministerstwa Finansów są prawdopodobnie znacznie zaniżone, ponieważ – jak twierdzi prezes firmy Fakro Ryszard Florek – zagraniczne koncerny mogą dokonywać drenażu kapitału także w inny sposób, którego nie da się zarejestrować, a być może jest on jeszcze bardziej szkodliwy dla polskiej gospodarki. Przedsiębiorca przedstawia ten mechanizm na podstawie działań jednej z duńskich firm z branży budowlanej. – Polega on na tym, że towar wyprodukowany w spółce produkcyjnej w Polsce zostaje zafakturowany z symbolicznym zyskiem do spółki matki w Danii. Spółka matka dolicza koszty swojej działalności oraz bardzo wysoki zysk (co łącznie stanowi nawet 40 proc. ceny zakupu z polskiej spółki produkcyjnej), a następnie eksportuje produkt do kraju konsumenta. W wyniku takiego zabiegu w naszym kraju pozostają bardzo niewielka wartość dodana i niewielki zysk, a większość trafia do Danii jako kraju, w którym siedzibę ma zagraniczny koncern – opisuje proceder Florek.

■ Jednocześnie po 2004 r. doszło do gwałtownego wzrostu polskich inwestycji za granicami (wcześniej były one tak niskie, że niemal nie istniały), głównie w UE i Szwajcarii, ale w dużej mierze mają one na celu optymalizację podatkową (Luksemburg, Cypr, Holandia). Według NBP dochody z tytułu polskich inwestycji bezpośrednich za granicą w 2022 r. wyniosły łącznie 29,2 mld zł, podczas gdy w 2003 r. było to zaledwie 153 mln zł. Natomiast w latach 2004–2022 łączne dochody z tytułu polskich inwestycji bezpośrednich za granicą sięgnęły kwoty niemal 94 mld zł.

Widoczna jest głęboka nierównowaga pomiędzy dochodami z tytułu zagranicznych inwestycji bezpośrednich w Polsce a dochodami z tytułu polskich inwestycji bezpośrednich za granicą. Jeszcze w 2004 r. wartość tych pierwszych była aż ponad tysiąc (!) razy wyższa, w 2018 r. – 23 razy wyższa, ale w 2022 r. – już tylko nieco ponad cztery razy. Ogólnie w latach 2004–2022 łączne dochody z tytułu zagranicznych inwestycji bezpośrednich w Polsce były aż ponad 13 razy wyższe niż łączne dochody z tytułu polskich inwestycji bezpośrednich za granicą. Nie można zarzucać firmom, że transferują wypracowane zyski za granicę, bo celem inwestycji jest generowanie zysku, ale problem polega na tym, że firmy zagraniczne nadal mają zdecydowaną przewagę kapitałową nad firmami polskimi, a przez to mamy do czynienia z nieuczciwą konkurencją.

CO NAS CZEKA?

A czy ktoś policzył straty związane z emigracją Polaków do innych krajów? Polacy, którzy wyemigrowali za granicę, co w decydującej mierze umożliwiło im wstąpienie Polski do Unii Europejskiej i do strefy Schengen, nie przyczyniają się do wzrostu PKB Polski, a państw, w których się osiedlili. Przyjmując skromnie, że będąc w Polsce, przyczyniliby się do wzrostu dobrobytu w takim samym stopniu jak przeciętni Polacy mieszkający w tym czasie w kraju, można oszacować, ile wynosi strata z powodu ich wyjazdu. Według danych GUS w latach 2004–2020 na emigracji przebywało średnio ok. 2,1 mln Polaków (od 1 mln w 2004 r. do ponad 2,5 mln w latach 2016 i 2017).

Zielony Ład to centralne sterowanie gospodarką całej Unii z Brukseli, a jednocześnie odebranie nam wolności

W tym czasie ludzie ci potencjalnie mogliby wytworzyć PKB o wartości ponad 1,65 bln zł. Traciliśmy średniorocznie niemal 6 proc. PKB (od 2,7 proc. PKB w 2004 r. do 7 proc. PKB w latach 2016 i 2017). Co gorsza, niejednokrotnie dochodziło do drenażu mózgow, czyli emigracji osób wybitnych intelektualnie.

Jednak to wszystko, co mieliśmy przez 20 lat, to była tylko przygrywka wobec tego, co nas czeka w najbliższej i nieco dalszej przyszłości.

Otóż według francuskiego Instytutu Rousseau narzucona przez Brukselę dekarbonizacja do 2050 r. ma kosztować Polskę 2,4 bln euro. To coroczna strata w wysokości 13,6 proc. PKB! To niemal 10 razy więcej niż wartość wszystkich dotacji unijnych, które Polska otrzymała przez 20 lat. Poza dekarbonizacją mamy też wdrażać zrównoważony rozwój (zrównoważony, czyli nieoptymalny). Według raportu Warsaw Enterprise Institute „Pod ciężarem ESG. Koszty raportowania ESG dla małych i średnich firm w Polsce” jeśli dyrektywa CSRD zostanie rozszerzona na wszystkie małe i średnie firmy, to same bezpośrednie obciążenia z tytułu regulacji ESG corocznie wyniosą od 9,8 do 23,6 mld zł, a koszty jednorazowe wdrożenia regulacji – od 5,5 do 13,2 mld zł.

Do tych strat ekonomicznych dołączą jeszcze straty polityczne związane z zaproponowanymi w 2023 r. przez czterech niemieckich i jednego belgijskiego europosła zmianami traktatów unijnych. To już nie chodzi tylko o to, że Polacy drastycznie zubożeją, a polskie firmy będą upadały jak domki z kart. Efektem tych zmian będzie przekształcenie aktualnego państwa federalnego o nazwie Unia Europejska w państwo scentralizowane ze stolicą w Brukseli. Czyż interes i czyją racją stanu będzie się kierowało takie scentralizowane państwo europejskie? Niemiecką? Niemiecko-francuską? W najlepszym wypadku

ogólnoeuropejską. Na pewno nie będzie się kierowało polską racją stanu, czego przynajmniej teoretycznie wymaga się od działań polskich polityków.

Niestety, rządzący Polską politycy też nie kierują się polską racją stanu. Gdyby się nią kierowali, to nie przyjęliby ani jednego euro z funduszy unijnych, bo one nie tylko wprowadzają chaos na rynku, są kosztowne, lecz także uzależniają od dających, czego przykładem były szantaże Komisji Europejskiej wobec rządu PiS. Jeszcze gorzej jest w przypadku tzw. Funduszu Odbudowy, który oznacza wyłącznie straty. Chwalił się nim rząd PiS, a teraz wdraża go rząd Donalda Tuska, co potwierdza, że „PiS i PO to jedno zło”.

Dlaczego nie powinniśmy brać kredytów i dotacji z tzw. Funduszu Odbudowy na KPO? Bo, po pierwsze, musimy wdrażać niekorzystne dla nas kamienie milowe. Po drugie, musimy się zadłużyć na olbrzymią skalę. Po trzecie, pieniądze te musimy wydawać na coś, czego nie tylko nie potrzebujemy, lecz także, co jest dla nas szkodliwe, czyli dekarbonizację i cyfryzację, która de facto sprowadza się do zwiększenia inwigilacji. I po czwarte, pieniądze te skutecznieją interwencjonizm państwowy, który sprowadza się do fałszywej zasady, że urzędnik wie lepiej, jak zarządzać gospodarką.

Radosna twórczość legislacyjna unijnych instytucji w postaci regulacji, norm i innych przepisów, które utrudniają życie przedsiębiorcom i mieszkańcom, jest najbardziej niekorzystną stroną członkostwa. Zarówno fundusze dotacyjne, Wspólna Polityka Rolna, Europejski Zielony Ład, jak i tzw. Fundusz Odbudowy to jeden wielki interwencjonizm państwowy i centralne sterowanie gospodarką całej Unii z Brukseli, a jednocześnie odebranie nam wolności. Odejsie od filozofii wolnego rynku będzie miało katastrofalne i nieobliczalne skutki. Do tego dochodzą bardzo niekorzystne zjawisko uwspólnotwienia długów oraz unijne podatki (w tym m.in. ETS, który już płacimy i ETS 2, który wkrótce wejdzie w życie), co jest częścią budowy superpaństwa w postaci ideologicznie sprofilowanego biurokratycznego potwora zarządzanego spoza naszych granic, na którego działania nie będziemy mieli żadnego wpływu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojna w portfelu



Jacek Przybylski

Po izraelskim kontrataku w nocy z 18 na 19 kwietnia wygląda na to, że Izrael i Iran zdołają uniknąć wojny na wielką skalę. Ryzyko eskalacji konfliktu militarnego na Bliskim Wschodzie nadal niepokoi jednak nie tylko z powodów czysto ludzkich. Zaostrzenie konfliktu mogłoby sprawić, że ceny ropy wystrzelą w górę, co również w Polsce odczulibyśmy nie tylko przy dystrybutorach

Napięta sytuacja na Bliskim Wschodzie doprowadziła do błyskawicznego przekierowania uwagi inwestorów na tzw. bezpieczne przystanie. Sprawiała także, że cena złota, które jeszcze w październiku ubiegłego roku kosztowało ok. 1,8 tys. dol., pobiła nowy rekord wszech czasów. Jedna uncja trojańska, czyli zaledwie 31,1035 g, pierwszy raz w historii wyceniana była na ponad 2,4 tys. dol. Drogo? Bardzo drogo, ale według niektórych finansistów to może być nadal wyjątkowo atrakcyjna cena. Amerykański bank inwestycyjny Goldman Sachs prognozuje, że pod koniec obecnego roku uncja złota – jedyne go metalu szlachetnego, który od 5 tys. lat pełni funkcję uniwersalnego pieniądza – kosztować może 2,7 tys. dol. Z kolei według analityków amerykańskiego Citi złoto może przekroczyć poziom 3 tys. dol. i stać się to ma w ciągu najbliższych 6–18 miesięcy. Gdyby te prognozy się potwierdziły, to cena złota od rekordowego poziomu 2,4 tys. dol. poszybowałaby w górę jeszcze o 25 proc.

Złote sztabki i monety bulionowe o próbie 999,9 są również drogie w przeliczeniu na polskiego złotego. W połowie kwietnia w wielu sklepach w Polsce cena jednej uncji zbliżyła się do poziomu 10 tys. zł, a w niektórych mennicach przekroczyła już tę symboliczną barierę. Analitycy przestrzegają jednak przed zakupami pod wpływem emocji – złoto zwykle zyskuje bowiem na wartości w okresach podwyższonego ryzyka geopolitycznego, ale wraz z uspokojeniem sytuacji nadchodzi korekta cen.

Po irańskim ataku na Izrael do najwyższych poziomów od trzech lat wzrosły również ceny „biedniejszego kuzyna złota”, czyli srebra. W górę poszybowała także wycena platyny, czyli rzadkiego metalu, który długo traktowany był jako „bezwartościowa” odmiana srebra, a który jest teraz ceniony nie tylko w jubilerstwie, lecz także w przemyśle motoryzacyjnym. W połowie kwietnia platyna – nazywa już „królową metali szlachetnych” – wyceniana była na niemal tysiąc dolarów za uncję.

W ostatnich miesiącach dużo można też było zarobić na miedzi, która nie tylko zwyżkowała ze względu na napięcie na Bliskim Wschodzie, lecz także rosła

FOT. ANDRZEJ STOK

■ ze względu na nałożenie przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię sankcji na rosyjskie dostawy metali. Jeszcze w lutym obecnego roku tona miedzi wyceniana była na ok. 8,2 tys. dol., tymczasem w połowie kwietnia jej notowania zbliżyły się do ok. 9,6 tys. dol.

MOCNA PRZECENA ZŁOTEGO

Po bezprecedensowym irańskim ataku na Izrael i izraelskiej zapowiedzi zemsty na Iranie w dramatycznym tempie w polskich kantorach drożały również waluty obce. Zanim w kierunku Izraela poleciało 300 irańskich dronów i rakiet, za jednego dolara trzeba było zapłacić 3,92 zł, a za euro 4,26 zł – unijna waluta była najtańsza w stosunku do złotego od czterech lat. W poniedziałek i we wtorek sytuacja diametralnie się zmieniła. Dolar zbliżył się do poziomu 4,10 zł i tym samym stał się najdroższy od listopada ubiegłego roku. Euro wyceniane było zaś na ok. 4,36 zł. Tak gwałtownej zmiany wyceny unijnej waluty w ciągu jednego dnia analitycy rynku nie obserwowali od momentu ogłoszenia przez Radę

jednak istotnie słabszy niż przed bezprecedensowym irańskim atakiem, będącym z kolei odpowiedzią na zbombardowanie przez Izrael budynku irańskiego konsulatu w Damaszku.

Do przeceny złotego w połowie kwietnia przyczyniły się co prawda nie tylko sytuacja na Bliskim Wschodzie, lecz także jastrzębie komentarze członków amerykańskiej Rezerwy Federalnej. W osłabieniu złotego pomógł także rząd w Warszawie, ogłaszając, że kolejne transze wypłacane przez UE wcale nie muszą być wymieniane z euro na złotego, a niektóre inwestycje będą finansowane w unijnej walucie. Szybka wyprzedaż polskiej waluty po irańskim ataku pokazała jednak, że globalni inwestorzy zwracają baczniejszą uwagę na sytuację geopolityczną.

Dowodem na to były nie tylko gwałtowna wyprzedaż złotego, lecz także wyraźne spadki na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Gdy emocje opadły, na polskim parkiecie królował zaś kolor zielony. Chwilowe uspokojenie sytuacji na Bliskim Wschodzie sprawiło również, że rynek

szczych tygodni lub miesięcy spowodować gwałtowny wzrost cen ropy do 100 dol. za baryłkę.

Iran jest bowiem trzecim co do wielkości producentem w międzynarodowym kartelu naftowym OPEC. Jakiegokolwiek zakłócenia w zaopatrzeniu światowych rynków w ten surowiec mogą spowodować wzrost ceny za baryłkę. Aby wycena ropy poszybowała w górę, nie musi więc nawet dojść do zbrojnej konfrontacji między regionalnymi potęgami. Analitycy banku Citi w komunikacie wydanym w połowie kwietnia zauważyli, że wystarczy, iż Iran spróbuje zakłócić ruch tankowców w cieśninie Ormuz – przepływa przez nią mniej więcej jedna piąta globalnej produkcji ropy – a ceny czarnego złota mogą gwałtownie wzrosnąć do 100 dol. za baryłkę. – Każdy atak na zakłady wydobywcze lub eksportowe ropy w Iranie podniósłby cenę ropy Brent do 100 dol., a zamknięcie cieśniny Ormuz doprowadziłoby do cen w przedziale od 120 do 130 dol. – prognozował na antenie telewizji CNBC Andy Lipow, prezes amerykańskiej firmy konsultingowej Lipow Oil Associates.

Taki skok ceny baryłki ropy z pewnością odbiłby się również na kieszeniach polskich kierowców. I nie tylko kierowców, bo wyższe ceny paliw, oznaczające wyższe koszty transportu, szybko znalazłby także odbicie w cenach usług i towarów.

Potencjalna blokada cieśniny Ormuz nie tylko wywołałaby wzrost cen ropy, lecz także oznaczałaby poważne problemy dla globalnej logistyki. Jeszcze gorszy scenariusz zakłada, że po stronie Iranu stanowczo opowiedziałyby się Chiny. Poważne zakłócenia światowego handlu mogłyby szybko doprowadzić do utrudnień w imporcie i powrotu wysokiej inflacji. Kolejne napięcia między Izraelem a Iranem mogłyby również doprowadzić do wzrostu cen podróży. I to nie tylko ze względu na potencjalnie słabszego złotego, czyli droższe wakacje zagraniczne dla Polaków. Jeśli kraje takie jak Iran, Jordania, Irak, Liban i Izrael zamkną swoją przestrzeń powietrzną lub jeśli rzeczywistość ziści się czarny scenariusz regionalnego konfliktu zbrojnego na Bliskim Wschodzie, to linie lotnicze będą musiały znaleźć bezpieczniejsze trasy, z dala od stref konfliktów. Nowe trasy oznaczać

Ewentualne zablokowanie cieśniny Ormuz przez irańską armię wywołałoby duży wzrost cen na rynku ropy, a także oznaczałoby bardzo poważne problemy dla globalnej logistyki

Polityki Pieniężnej zaskakującej decyzji o obniżce stóp procentowych we wrześniu 2023 r. Po nerwowych 15 i 16 kwietnia przyszło co prawda odreagowanie i złoty odrobił część strat, ale i tak pozostawał istotnie droższy niż przed atakiem z 13 kwietnia. W relacji do złotego wyraźnie zyskiwały również funt czy frank szwajcarski. Nieco większą korektę przeceny widać było w dniu zamknięcia tego numeru, czyli 19 kwietnia, czyli już po tym, jak Izrael przeprowadził kontratak na prowincję Isfahan – gdzie znajduje się wiele irańskich obiektów wojskowych i nuklearnych – a Iran ogłosił światu, że praktycznie nic nie zostało zniszczone i nie zamierza w najbliższym czasie przeprowadzać kolejnego uderzenia na Izrael. Nadal złoty był

skorygował ceny rekordowo drogich surowców. Wiele wskazuje jednak na to, że surowce utrzymają wysokie ceny na rynkach.

CO Z CENAMI PALIW?

Po słowach szefa sztabu izraelskiej armii, który zapowiedział, że Izrael odpowie na irański atak, błyskawicznie zdrożało również czarne złoto. Ceny ropy wzrosły w okolice 92 dol. za baryłkę, a gdy nic strasznego się nie wydarzyło, cofnęły się poniżej 90 dol. za baryłkę. Na polskich stacjach benzynowych nie było więc widać gwałtownych wzrostów cen.

Niekończąca się operacja zbrojna Izraela w Strefie Gazy, a także wymiana militarnych ciosów między Izraelem a Iranem mogą jednak w ciągu najbliż-

będą nie tylko dłuższą podróż, lecz także wyższe zużycie paliwa lotniczego, co przełoży się na wzrost cen biletów lotniczych np. z Europy do zachodniej i południowo-wschodniej Azji.

I chociaż w najbliższych tygodniach uwaga inwestorów może być skupiona na próbie oceny ryzyka wybuchu nowej wojny na Bliskim Wschodzie, to na szczególne wydaje się, że Iran i Izrael wołałyby uniknąć konfrontacji na pełną skalę. Z pewnością eskalacja ze strony władz w Tel Awiwie nie byłaby na rękę walczącemu o reelekcję prezydentowi USA. Joe Biden jasno zakomunikował więc już premierowi Izraela Benjaminowi Netanjahu, że Stany Zjednoczone nie wezmą udziału w ewentualnym kontrataku na Iran. Optymistycznie można więc zakładać, że nawet jeśli izraelska armia przeprowadzi operację wymierzoną w irańskie cele, to będzie ona mocno ograniczona. Gdyby zrealizował się pozytywny scenariusz, to złoty mógłby wyraźnie odreagować ostatnie spadki, a wycena euro do końca kwietnia wróciłaby w okolice czteroletnich dołków.

CO Z UKRAINĄ?

Spokojowi globalnych inwestorów zagrażają jednak nie tylko potencjalna wojna Izraela z Iranem, lecz także coraz wyraźniejsze postępy rosyjskich wojsk w inwazji na Ukrainę oraz ataki ukraińskiej armii na rafinerie działające w Rosji, których celem jest ograniczenie wielkości rosyjskich dochodów ze sprzedaży produktów naftowych, przeznaczanych następnie przez Kreml na działania wojenne. Co prawda, jak poinformował „Financial Times”, Stany Zjednoczone wezwały Ukrainę do zaprze-

Spokojowi globalnych inwestorów zagrażają nie tylko potencjalna wojna Izraela z Iranem, lecz także **coraz wyraźniejsze postępy rosyjskich wojsk w inwazji na Ukrainę oraz ataki ukraińskiej armii na rafinerie działające w Rosji**

stania ataków na rosyjską infrastrukturę petrochemiczną, ale jeśli władze Kijowa nie posłuchają apelu sojusznika, to kolejne ukraińskie ataki mogą wywołać wzrost cen ropy na światowej. Dodatkowym ryzykiem jest rosnące prawdopodobieństwo przegranej Ukraińców. Jak informowało na początku kwietnia Politico, Ukrainie grozi załamanie się linii frontu.

Tymczasem rosyjska inwazja na Ukrainę 24 lutego 2022 r. zdaniem ekonomistów już wywarła istotny negatywny wpływ na gospodarki krajów europejskich. Jak szacował w lutym 2024 r. w rozmowie z PAP szef zespołu makroekonomii Polskiego Instytutu Ekonomicznego, Jakub Rybacki, konflikt rosyjsko-ukraiński tylko w 2023 r. przyczynił się do spadku polskiego PKB o 2–3 punkty procentowe. Analizy Parlamentu Europejskiego pokazują zaś, że wojna na Ukrainie oprócz przerażających kosztów ludzkich zaszkośliła również gospodarkom krajów Unii Europejskiej.

Jakby tego było mało, liderzy Unii Europejskiej w ostatnich latach zajmują się głównie utrudnianiem rozwoju gospodarczego. Fatalne efekty działalności lewicowych ideologów w Brukseli widać jak na dłoni w ekonomicznych statystykach. Jak zauważył „The Economist”, „oszołomiona

szokiem energetycznym, który nastąpił po inwazji Rosji na Ukrainę w 2022 r., gospodarka Unii Europejskiej odnotowała w tej dekadzie zaledwie 4 proc. wzrostu w porównaniu z 8 proc. w USA”. Słabe przywództwo w Brukseli sprawia, że europejscy producenci muszą mierzyć się z rosnącą konkurencją ze stron Chin nie tylko bez konkretnego wsparcia, lecz także z kłódami rzucanymi im pod nogi ze strony unijnych biurokratów, obsesyjnie troszczących się o realizację celów klimatycznych, nawet jeśli miałyby to oznaczać upadek europejskiego przemysłu motoryzacyjnego czy gwałtowny wzrost ubóstwa energetycznego mieszkańców UE. Po potencjalnym zwycięstwie Donalda Trumpa w listopadowych wyborach prezydenckich w USA Unia Europejska może otrzymać kolejny cios: Trump, dbając o amerykańską gospodarkę, może bowiem nałożyć ogromne cła na towary importowane z krajów UE.

To wszystko dzieje się zaś – jak podkreślił „The Economist” – w fatalnym dla Europy momencie. Nowe problemy geopolityczne łączą się bowiem z koniecznością zwiększenia wydatków na zbrojenia i poważnymi kłopotami: rozbudowaną biurokracją, Zielonym Ładem czy szybko starzejącą się populacją.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Fundacja
Dorastaj z Nami

www.dorastajz nami.org

**Dla Ciebie zginął żołnierz,
strażak, policjant, a dla
nich *tata***

Pomóż, by chciało im się żyć



**Przekaż
1,5%
podatku**

**KRS
0000 361265**

Jak się ubierać, mając 18 lat – wiadomo: modnie i tak, jak nie podoba się mamie. Potem jest trudniej: po wpisaniu w wyszukiwarkę hasła „jak ubrać się po czterdziestce” wyświetlają się dziesiątki porad i poradników: co należy mieć, w czym wygląda się najlepiej, jak ubrać się na imprezę, do pracy, na wesele, na... itp. Z większości tych porad wynika, że kobieta w piątej dekadzie życia powinna unikać jaskrawych kolorów, ekstrawaganckich fasonów, wybierać delikatne materiały.

„Kupujemy mniej, ale z większą rozważą. Stawiamy na ponadczasowe fasony i dobre składy. Wybieramy modele o klasycznych fasonach. Takie ubrania niezależnie od mody będą zawsze wyglądały dobrze” – radzą blogerki „Z miłości do mody”.

Czytam to i nie wierzę. Czy naprawdę 40-latką to już starsza pani? Może w oczach autorów/autorek tych porad, które mają lat 20, 40-latką jest sędziwą staruszką.

Ale czy w czasach, kiedy pięćdziesiątka to nowa trzydziestka, 50-letnie modelki chodzą po wybiegach, 74-letnia Anna Wintour trzęsie modą na całym kontynencie, należy doradzać paniom, żeby ubierały się elegancko i nobliwie? Może jeszcze kapelusz, rękawiczki i parasolka dla dopełnienia gustownego wizerunku?

Ale jako że żyjemy w czasach rozbudowanego indywidualizmu, istnieje również druga opcja porad zaadresowanych do grupy wiekowej 40+. Można powiedzieć: opcja konkurencyjna, skrajnie różna od pierwszej, zalecającej rozważne obchodzenie się z modą. O ile pierwsza zaleca minimalizm i ostrożność, o tyle tutaj wręcz odwrotnie. Idziemy na całość, na maksa – oto postulat. Kolorowe, szalone szaty, jedne na drugie, jedne niepasujące do drugich, ale cóż to szkodzi, włosy farbujemy na fioletowo, a całość wieńczy – jakżeby inaczej – kapelusz. Jednym słowem, jesteśmy wesołą starszą panią, to nic, że zajeżdża to kostiumem z kabaretu, ale za to jaka zabawa. Babcia wariatka – mówią niektórzy. Niech sobie mówią. Ikoną tego stylu była wielokrotnie przywoływana amerykańska designerka i bizneswoman Iris Apfel, zmarła 1 marca 2024 r. w wieku 102 lat. Kilogramy biżuterii, mocne kolory, dużo

Ubierać się na swój wiek – co to znaczy?



Joanna Bojańczyk

Długie włosy, krótka spódnica, podarte dżinsy. Wolno czy nie wolno, gdy się ma 50 lat? Przecież pięćdziesiątka to nowa trzydziestka. Kobiety nie chcą ubierać się zgodnie z wiekiem



FOT. ADRIAN STOK

złota. Można było popatrzeć i uśmiechnąć się, ale naśladować nie radzę.

CO KAŻE BANK

Społeczne i kulturowe reguły dotyczące ubrania się rozsypały. Ostały się reguły korporacyjne; niektóre instytucje tworzą własne kodeksy ubraniowe. Wyśmiewane bankowe dress code'y, które zabraniają przyjść kobietom bez rajstop nawet w upały, za to z dokładnością co do milimetra określają długość paznokci... Zresztą nie tylko banki i korporacje. Zawsze zastanawiałam się, czy w dress codzie pracowników telewizji występuje formalny zakaz noszenia innych butów niż 13-centymetrowe szpilki i to ma być wzorem dla publiczności. Bawi mnie obserwowanie pogodynek oraz pań obsługujących teleturnieje, które z lękiem stawiają stopy na karkołomnych obcasach. W śniadaniówkach na szczęście nie muszą się męczyć, bo siedzą.

A dzieje się to w czasach, kiedy na świecie kobiety gremialnie porzuciły szpilki i przesiadły się na sportowe buty. Do telewizji ta informacja chyba nie dotarła, tam wciąż króluje ideał sztucznej damulki w modnych (i tanich, bo niski budżet) ciuchach. Telewizja zawsze była dla mnie propagatorem najgorszych wzorów, nie się w tej sprawie ostatnio nie zmieniło.

Ubranie jest ekspresją osobowości, komunikatem o statusie społecznym, wykształceniu, przynależności zawodowej, nawet – ośmieliłabym się powiedzieć – o poglądach. Dajemy też wyraz niezależności lub zależności od mody. Jedni ubierają się bardziej dla otoczenia, inni twierdzą, że otoczenie ich nie interesuje, ubierają się dla siebie. Tak mówią.

W młodości wszystko jest proste. Moda jest o młodych i dla młodych. Prezentują ją 20-letnie modelki, o starszych się nie myśli, tym bardziej że najwięcej pieniędzy na ubrania wydaje grupa wiekowa 15–30 lat. Potem kupuje się już mniej, drożej.

Ale styl ubierania zmiksował się dla wszystkich kategorii wiekowych. Kiedyś 12-letnie dziewczynki czekały, aż dorosną do długich sukni, dziś czterdziestki martwią się, że czas, kiedy wypadało im nosić krótką spódnice, minął. Pytań jest zresztą więcej.

OFERTY BRAK

Kwestia, czy 50-latka powinna nosić długie włosy, pozostaje sprawą indywi-

dualną (moja odpowiedź – raczej nie), spódnice mini (raczej nie), podarte dzinsy, goły brzuch, bikini? Czy w ogóle powinna chodzić w dzinsach? A może przysługują jej już tylko siwe włosy, bezowy kostium? I moherowy beret...

Od czasu, gdy wybiegi mody stały się panoramą rzeczy kompletnie nie do noszenia, uszytych tylko po to, żeby zwrócić na nie uwagę – vide: Balenciaga – sprawa nabrała jeszcze innego zabarwienia. Człowiek 40+ (trzymajmy się tej granicy), który oczekuje od mody zmiany, czegoś odświeżającego, nowego, a także do zastosowania, poczuł się odrzucony. Nie ma dla niego oferty.

Oto przykład. Ostatnio sensacją Instagrama stał się „trend” wylansowany na jesiennym fashion weeku w Mediolanie. „No pants” – bez spodni. Propozycję przedstawiła Miuccia Prada, a liczne, młode i zgrabne celebrytki natychmiast ją podchwyciły. Ale czy to, że Bella Hadid, Kylie Kendall Jenner, Emma Corrin, Cara Delevingne przyszyły w samych gatkach na imprezę w Los Angeles, ma sprawić, że my tak się ubierzemy do pracy?

Pani Macron, kobieta koło siedemdziesiątki, która z uwagi na swoją pozycję musi zachować powagę, nosi się krótko, prezentując ładne nogi. Maryla Rodowicz, jeszcze trochę starsza, nosi długie blond włosy i najdziwniejsze kostiumy, ale należy to do jej wizerunku, choć przyznaję, że dla mnie – zbyt ekstremalne.

Mam znajomą doktor medycyny, 60+, która chodzi w mocno podziurawionych dzinsach, i to także nie razi, bo pani ma luźny styl i nosi go z wdziękiem. Siwe włosy i szczupła figura są sprzyjającą oprawą.

Jak widać, nie da się zastosować uniwersalnych, pasujących dla każdego kryteriów: to wolno, to wypada, tego nie. Wszystko zależy od człowieka.

ROZMIAR IDZIE W GÓRĘ

Trochę się obawiam poruszyć temat rozmiarów, niebezpieczny w czasach poprawności. Ale ważny: to, czy kobieta jest szczupła czy gruba, jest w kwestii ubrania nadzwyczaj istotne. Chudy może więcej; nie bez powodu modelki to chodzące wieszaki. Stąd powszechna obsesja odchudzania. Nie przekonało mnie wprowadzenie do prezentacji ubrań w skle-

pach internetowych modelek tzw. plus size. Pomijając aspekt estetyczny, otyłość nie jest czymś, co należy promować. Taka, którą obserwujemy obecnie, jest wynikiem nie choroby, ale zaburzeń odżywiania. Ale cóż – poprawnościowy nakaz wprowadzenia modeli plus size miał na celu reakcję na tzw. bodyshaming (wyśmiewanie grubych), zjawisko coraz powszechniejsze, jako że otyłość jest globalną patologią.

Sylwetka kobiety zmienia się z wiekiem. Rozmiar idzie w górę, to całkowicie fizjologiczne. Zupełnie co innego niż to, co widać na (niektórych) modelkach H&M w ich sklepie internetowym. I tę zmianę trzeba zaakceptować, zasymilować. Jeśli obcisłe legginsy czy tzw. dżeginsy (fuzja dzinsów i legginsów) można od biedy zaakceptować na derierze 16-latk, to u czterdziestki wygląda to gorzej. Dekolt – świeży i ponętny u dwudziestki – u pań po pięćdziesiątkę staje się smętnym wspomnieniem młodości. Włosy 50-latk straciły zazwyczaj blask i elastyczność z czasów młodości. Trzeba być Moniką Olejnik z jej zastępem fryzjerów oraz (jak podejrzewam) sporym budżetem, aby w wieku 60+ odważyć się na włosy do pasa.

Zważywszy na ogromną różnorodność obecnej mody i jej szerokie granice, żaden wiek nie ma problemów z ubraniem się we własnym stylu. Dwóch tylko zasad należy się pilnować: nie przyspawać się do mody z czasów młodości. Zastanowić się przed uczepieniem najnowszego trendu.

Kilkanaście lat temu Gap Inc., amerykański właściciel ubraniowych sieci Gap, Banana Republic, otworzył w Nowym Jorku sklep Forth & Towne, przeznaczony dla kobiet w wieku 35+. Były tam ubrania modne, ale o fasonach łagodniejszych, prostszych oraz rozmiarach nastawionych na dojrzałe kobiety. „Sklep narodził się ze statystyk – napisał magazyn »Slate«. – Kobiety z powojennego wyżu demograficznego są rynkiem rozwojowym”. Ale sklep okazał się porażką. Kobiety nie chciały być stygmatyzowane ze względu na wiek. Która będzie chciała powiedzieć: „Kupiłam to w tym sklepie dla staruszek”?

Prawda jest taka: kobiety nie chcą ubierać się zgodnie z wiekiem.

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tragiczne zwycięstwo Moskwy



JACEK KOMUDA

Mała wieś na Białorusi, leżąca na południowy wschód od Mohylewa, kiedyś w orszańskim powiecie dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, to miejsce pierwszej bitwy, która pokazała zmianę układu sił na wschodzie Europy. Doszło do niej w 1708 r., w czasie wielkiej wojny północnej, kiedy zwycięski do tej pory król Szwecji Karol XII, nie mając sił na przebicie się do Smoleńska i na tereny Moskwy, zdecydował się skierować na Ukrainę, gdzie miał nadzieję na wsparcie hetmana Iwana Mazepy. Decyzja podjęta 14 września oznaczała jednak, że maszerujący z pomocą królowi z Infant korpus gen. Adama Ludwiga Lewenhaupta zostanie odcięty od głównych sił szwedzkich, gdyż pozostawał

jeszcze za linią dwóch rzek – Dniepru i Soży. Liczył on ok. 16 tys. wyborowych żołnierzy, ale prowadził wielki tabor z zapasami żywności i stadami bydła – które wyżywić miało armię Karola XII.

Tymczasem Piotr I postanowił go zniszczyć. W powszechnej świadomości dopiero późniejsza o rok klęska pod Połtawą oznaczała krach militarny Szwecji, co miało fatalne następstwa dla Rzeczypospolitej. Jednak tak naprawdę już bitwa pod Leśną pokazała, że Rosja I dysponuje ogromną siłą militarną.

Sytuacja polityczna Rzeczypospolitej była tragiczna. Z protekcji szwedzkiej władał nią król Stanisław Leszczyński, który jednak nie był uznawany przez inne monarchie. Poprzedni król – August II

Sas – zrzekł się korony, zdradzając popierających go konfederatów sandomierskich, których zaraz przygarnął car, tworząc pierwsze promoskiewskie stronnictwo polityczne. Piotr I obiecał im, że skoro zostali opuszczeni przez króla, to pomoże im zorganizować nową elekcję. Korona i Litwa rozdarte były przez walki dwóch obozów. „Jeden do Sasa, drugi do Lasu” – takie krążyło wówczas przysłowie. Jednocześnie zaś ciągnęli przez kraj Szwedzi, którzy rabowali i palili miasteczka i wsie jak pół wieku wcześniej za czasów potopu. Pierwsza koalicja antyszwedzka zmontowana przez Piotra I już się rozpadła – wycofały się z niej Dania i Saksonia. W tym wypadku wielkie zwycięstwo lub klęska któregoś z monarchów oznaczać mogły zasadniczy zwrot w wojnie. Car zamierzał wygubić i wyniszczyć armię szwedzką taktyką spalonej ziemi, prowadzonej zresztą na terenie Rzeczypospolitej, a król Szwecji – pokonać wroga w bitwie i wymusić na nim korzystny pokój, jak wcześniej na Augustie II Wettynie.

9 października doszło do bitwy pomiędzy korpusem Lewenhaupta, który usiłował utrzymać drogę na Propojsk, na południe, dokąd odeszły główne siły Karola XII, a carem Piotrem I zamierzającym zepchnąć Szwedów ze wzgórz i pobić, nie dopuszczając do połączenia sił przeciwnika. Piechota rosyjska – pułki żołnierzy piechoty, posadzonych na konie, lejbr-regiment, dragonia i dwa pułki gwardii uderzyły na Szwedów, spychając ich z pozycji. Armia cara, która siedem lat wcześniej pod Narwą uległa panice na sam widok atakujących Szwedów, tym razem zadała im ciężkie straty i zepchnęła w stronę taboru z wozów. Teraz

nastąpiła przerwa w walce, w czasie której Rosjanom zaczęły przybywać posiłki – najpierw kawaleria Bauera; na pole bitwy ciągnęła też dywizja Werdena. Po południu – co za znak czasów – rozpętała się burza śnieżna, niezwykajne zjawisko w październiku. Zdając sobie sprawę, że przewaga liczebna przeciwnika się zwiększa, Lewenhaupt podjął decyzję o odwrocie – w nocy wycofał się do Propojkska, a potem przeprawił przez Soż pod Glinką. Został jednak dogoniony przez jazdę moskiewską, która zadała mu znaczne straty.

„Pobiliśmy nieprzyjaciela na głowę, tak że z 8000 trupów zostało na miejscu (prócz tych, którzy po lasach z ran pomarli lub zostali wybici przez Kałmuków). Cały obóz, a w nim 2000 wozów, 16 dział, 42 sztandary oraz pole bitwy nam się dostało...” – pisał po bitwie car. Chociaż liczba szwedzkich trupów była przesadzona, to w czasie bitwy częściowo został spalony i zdobyty tabor z żywnością. To był cios dla Szwedów, gdyż przebywająca na Ukrainie armia Karola XII utraciła dużą część zapasów. Bitwa pod Leśną była też pierwszym wielkim zwycięstwem armii rosyjskiej nad Szwecją, w dzienniku cara nazwaną „matką batalii połtawskiej”. Jej znaczenie dla Rzeczypospolitej okazało się tragiczne. Oto ze starcia Szwecji, potężnej, nowoczesnej monarchii ze scentralizowaną biurokracją, z przemysłem i doskonałą armią, z Moskwą – państwem peryferyjnym, zacofanym i biednym, ale wprowadzającym z żelaznym uporem reformy – zwycięsko wyszła ta ostatnia. Szwecja straciła Inflanty, Ingrię i Karelię na rzecz Rosji i stała się państwem peryferyjnym, niemającym wielkiego znaczenia, ale i niestanowiącym przeciwwagi dla Moskwy i jej apetytów. ©©

RYS. OBA

FOT. DOMENIA PUBLICZNA

I RZECZYPOSPOLITA

• Mohylew



CITROËN ë-C4

Rodzinny francuski samochód, którego ekstrawagancka sylwetka balansuje między hatchbackiem a SUV-em, doczekał się mocniejszego silnika i bardziej pojemnego akumulatora (54 kWh), dzięki czemu zyskał jednocześnie więcej mocy i większy zasięg.

Nowocześnie zaprojektowane, ciekawie wyglądające auto przyciąga wzrok przechodniów wyrazistymi liniami, licznymi przetłoczeniami oraz ciekawym układem świateł LED, który pozwala Citroënowi ë-C4 wyróżnić się w tłumie innych aut elektrycznych.

Pod maską kryje się silnik elektryczny o mocy 136 KM lub 156 KM. My testowaliśmy tę mocniejszą wersję. Kierowca do wyboru ma trzy tryby jazdy: standardowy, eco i sport. Oficjalny

zasięg wynosi 420 km w cyklu WLTP. W naszym teście podczas normalnej jazdy po mieście, drogach krajowych i autostradzie był on zbliżony do 330 km. Komputerowi pokładowemu w kwestii pozostałego zasięgu na jednym ładowaniu można zaś ufać mniej więcej tak jak politykom w kwestii przedwyborczych obietnic, co może nieco utrudniać planowanie dalszych podróży.

Odważnie zarysowana bryła sugeruje sportowy charakter auta, ale to nie sport, lecz komfort jest tu najważniejszy. Można oczywiście liczyć na efektowne przyspieszenie spod świateł czy podczas wyprzedzania zawalidrogi na krajówce, ale nie jest to model dla rajdowców. Teoretycznie prędkość maksymalna wynosi 150 km/h. W praktyce na autostradzie lepiej nie przekraczać 120 km/h,

bo jeśli jedzie się szybciej, to zapas energii w akumulatorach topnieje niczym bałwan na pustyni. Citroën ë-C4 dużo bardziej niż na sportowe emocje stawia na komfort podróżowania. Jazda nim jest przyjemna i płynna, a zawieszenie wykorzystujące technologię Progressive Hydraulic Cushions świetnie tłumi wszelkie nierówności i wyboje. Francuscy marketingowcy przekonują, że efekt przypomina podróżowanie latającym dywanem, i muszą przyznać, iż coś w tym jednak. Jak to w samochodzie elektrycznym, komfort podróżowania zwiększa także bezgłośna praca silnika.

Kabina jest przestronna, komfortowa i praktyczna, jest bowiem wyposażona w wiele funkcjonalnych schowków. Miękkie fotele przyjemnie otulają i dobrze podtrzymują ciało. Przestrzeni na nogi nie brakuje również z tyłu. W ë-C4 nie zabrakło półki z indukcyjną ładowarką oraz dwóch gniazd USB do ładowania smartfonów. Dziesięciocalowy dotykowy ekran systemu multimedialnego ma wysoką rozdzielczość. Świetna jest także jakość obrazu z kamery cofania.

Jazdę ułatwia wyświetlacz przezierny (HUD), który umożliwia wyświetlanie kluczowych informacji na linii wzroku kierowcy. Samochód jest w sumie naszpikowany aż 20 różnymi technologiami wspomagających kierowcę. Bagażnik ma 380 l pojemności.

Nowy Citroën C4 w wersji benzynowej to wydatek minimum 108,3 tys. zł, a z silnikiem Diesla pod maską – 132,1 tys. zł. Za elektryczną wersję ë-C4 trzeba zapłacić co najmniej 201,6 tys. zł. ©©

MOTOROLA G34 5G

Świetny stosunek ceny do jakości i wydajności, łączność 5G, wytrzymała bateria, praktycznie czysty Android i dość przyzwoity aparat fotograficzny – to największe zalety budżetowego modelu smartfona firmy Motorola.

Motorola G34 5G wyposażona jest w wyświetlacz IPS o przekątnej 6,5 cala, rozdzielczości 1600 x 720 pikseli, maksymalnej częstotliwości odświeżania 120 Hz i jasności do 500 nitów.

Sercem urządzenia jest ośmiorzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 695 5G współpracujący (w zależności od wersji) z 4 lub 8 GB pamięci RAM. Miejsca na pliki jest 128 GB. Warto zwrócić uwagę na obsługę sieci 5G, która wciąż nie jest standardem w smartfonach kosztujących poniżej tysiąca złotych.

Aparat fotograficzny z głównym obiektywem 50 Mpx i jasnością f/1.8 umożliwia zrobienie przyzwoitych zdjęć w dobrych warunkach oświetleniowych (przy gorszym świetle jakość jest już marna). Na pokładzie jest też obiektyw makro, ale brakuje obiektywu szerokokątnego.

Na dużą pochwałę zasługuje również bateria o pojemności aż 5000 mAh, dzięki której Motorola G34 5G nie wymaga codziennego podłączania do prądu. Plusem jest też to, że w zestawie znajduje się ładowarka 20 W oraz silikon-



wy futerał. Są też moduł NFC i slot na kartę microSD. Bez zarzutu działa również umieszczony z boku czytnik linii papilarnych. Cieszy obecność głośników stereo Dolby Atmos, a także wejścia na stare, dobre wejście mini jack, dzięki czemu można słuchać muzyki nie tylko przez Bluetooth, lecz także na porządnym słuchawkach z kablem u szyi.

Wady? Po pierwsze ekran. 720p to w dzisiejszych czasach stosunkowo mało nawet jak na telefon budżetowy, choć w codziennym użytkowaniu nie jest to minus szczególnie irytujący. Przeżyć można też kolory, które nie są tak nasycone i piękne jak w panelach AMOLED. Gorzej jest z maksymalną jasnością: 500 nitów to w słoneczny dzień zdecydowanie za mało. Kolejna wada: słabe zabezpieczenie smartfona. Panel IPS nie został pokryty szkłem Gorilla Glass. Cały smartfon spełnia zaś wymogi normy IP54, więc co prawda deszcz przetrwa, ale do wanny lub na basen lepiej go nie zabierać.

Powyższe wady można jednak wybaczyć, biorąc pod uwagę cenę. Smartfon kosztujący ok. 800 zł może okazać się dobrym wyborem dla seniorów, uczniów, a także dla tych użytkowników, którzy wcale nie potrzebują flagowego telefonu za kilka tysięcy złotych. ©©



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Bakłażan w nowej odświeżeniu

Jakież mamy szczęście, że możemy cały rok korzystać z dobrodziejstw wszelkich warzyw, które dostępne są w popularnych marketach. Mimo że to nie sezon na bakłażana, to przyszedł nam do głowy przepis, który robimy bardzo często latem. To bakłażan zapiekany z serem mozzarella w przepysznym sosie pomidorowym. Zaczniemy od bakłażana, który pozornie wydaje się być warzywem, a jest owocem, konkretnie jagodą. Pochodzi z tej samej rodziny, co pomidory i ziemniaki. Odmian kolorystycznych bakłażana jest wiele – nie tylko ciemnofioletowe, lecz także marmurkowe i pomarańczowe. Są niskokaloryczne, bo w 100 gramach mają tylko 25 kcal, zawierają wapń, błonnik, białko i przeciwutleniacze. Są doskonałym źródłem kwasu foliowego i wzmacniają nasze naczynia krwionośne.

Aby pozbyć się goryczki, należy je obficie posypać solą i odczekać minimum 25 min, aż puszczą sok. Następnie delikatnie odsączamy je nadmiar ręcznikiem. Bakłażana można dusić, zapiekać, grillować, może być dodatkiem albo daniem głównym. Jest ulubieńcem wegetarian, doskonale smakuje w towarzystwie passaty pomidorowej, świeżych ziół i z dodatkiem wszelkich serów oraz oczywiście mięsa. Doskonała jest również pasta z pieczonego bakłażana z dodatkiem czosnku, jogurtu i owoców granatu. W Bliskim Wschodzie popularne są nawet dżemy z bakłażana. Jest bardzo popularny w kuchni bałkańskiej, śródziemnomorskiej i wschodniej, szczególnie w Indiach oraz w Afryce Południowej.

Na co powinniśmy zwrócić

szczególną uwagę? Otóż bakłażan bardzo absorbuje tłuszcz, więc trzeba ostrożnie z nim postępować; jeśli smażyć, to na dobrze rozgrzanej patelni teflonowej z małą ilością tłuszczu, aby nie był zbyt ciężkostrawny i nie za bardzo kaloryczny.

Zapiekanka z bakłażana z serem mozzarella

- 3 sztuki bakłażana • 40–50 dag mozzarelli tartej • 1 butelka passaty pomidorowej • 1 ząbek czosnku
- 1 cebula • przyprawy: sól, pieprz, oregano, czosnek w płatkach, czerwona papryka, bazylia, 1/2 łyżeczki cukru
- oliwa z oliwek do smażenia

Potrzebujemy dwie patelnie i naczynie żaroodporne.

Bakłażana myjemy, kroimy w plastry, posypujemy solą i odstawiamy na ok. 25 min, odsączamy nadmiar wody papierowym ręcznikiem.

Na patelni rozgrzewamy oliwę, podsmażamy czosnek i cebulę, dodajemy passatę pomidorową, przyprawy oraz 1/2 łyżeczki cukru. Sos pomidorowy dusimy ok. 15 min.

Na kolejnej patelni rozgrzewamy odrobinę oliwy i smażymy każdy plaster bakłażana z obu stron. Odkładamy. W naczyniu układamy plastry bakłażana, jedną warstwę posypujemy serem mozzarella i nakładamy warstwę sosu pomidorowego, kolejno robimy to samo. Na wierzchu powinny znaleźć się ser i świeża bazylia.

Wkładamy do nagrzanego do 180 st. C pieca na ok. 50 min. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Człowiek z innej sfery

Ona – Ewa, lekarka z miasta średniej wielkości. W środowisku i w swoim mieście znana z bezinteresowności i życzliwości do pacjentów. Gotowa przyjechać do chorego o każdej porze, a gdy trzeba, nic nie wziąć za wizytę. Pochodzi z rodziny lekarskiej w trzecim pokoleniu, inteligencji prześlancowanej po wojnie ze Lwowa na Śląsk, jak wiele innych. Ojciec Ewy był profesorem medycyny, wspinał się na szczyty, pierwszy małżonek też był lekarzem i także profesorskim dzieckiem. Studencka miłość, szybki ślub, dwie córki urodzone zaraz po studiach. I po czterech latach rozwód. Podobno kobieta... Cóż, zdarza się.

Przyjaciele ze studenckiego kręgu Ewy, paczka narciarska i brydżowa, nie mogli uwierzyć, kiedy jakiś rok po rozwodzie Ewy dostali zaproszenie na ślub. – Niemożliwe, wychodzi za Andrzeja?

On, Andrzej, kolega z podwórka, płatał się przy Ewie jeszcze za czasów Jacka, ale był kimś na obrzeżach grupy towarzyskiej. Z Ewą znali się od dziecka, reszta traktowała go jako kogoś, kto może naprawić rower, zamek w drzwiach, podholować samochód. W brydża nie grał, na nartach nie jeździł, był miłym prostym chłopakiem z innego kręgu społecznego. Ojciec Andrzeja był hydraulikiem, dziadkowie, chłopcy prześlancowani ze wsi pod Lwowem w okolice Wrocławia, zmarli w latach 80. Andrzej skończył

technikum i założył małą warsztat napraw wszelakich. Działo to całkiem nieźle. Ale partner Ewy, inteligentki od pokoleń? W tej roli znajomi Andrzeja nie widzieli. O czym ona będzie z nim gadać? – zastanawiali się koledzy. Przecież to prostak – mówili ci najbardziej bezpośredni.

Po ślubie Ewa i Andrzej zaczęli bywać na imprezach koleżeńskich starej paczki. Andrzej niespecjalnie się udzielał, widać było, że w większym gronie czuje się nieswojo. Gdy rozmowy wchodziły na wyższy poziom abstrakcji, starał się zająć czynnościami gospodarczymi. Jeśli przyjęcie było u nich, to przynosił kawę, sprzątał ze stołu, jeśli gdzie indziej, to rozmawiał z dziećmi, bawił się z psem. Był nieofensywny. Ale drobne gesty, obserwacje zachowań świadczyły, że ich związek z Ewą jest szczęśliwy. Był dla niej czuły i opiekuńczy, a jej nie irytowały jego niezbyt mądre odzywki. Gdy Ewa zachorowała na chorobę immunologiczną, Andrzej z czułością opiekował się żoną. Ogólnie wszyscy go lubili. Zdobywał sympatię przez swoje pogodne usposobienie, kompletny brak zadęcia, udawanie kogoś, kim nie był. A z tym, że mówi „poszłem”, wszyscy się pogodzili.

O czym ona będzie z nim gadać? Pamiętacie, że tak mówiliśmy – przypomniał ktoś z grupy.

Gadanie? Przecież to nie o to chodzi. Miłość rozgrywa się poza konwenansem. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Krystyna już nie wyjdzie

Przykryty aborcyjną wrzutką, czyli tematem nieśmiertelnym, odwrotnym znaczy się do jak najbardziej śmiertelnego dziecka abortowanego, przeszedł przez brukselskie sale temat regulacji imigracyjnych. Dyżurny unijny językoznawca, ten od wymyślania mylących nazw dla nieomylnych inicjatyw, tym razem miał dobry humor, gdyż całość nazwał pakietem solidarności. A któż przeciw solidarności, no któż? A już na pewno nie Polacy.

Jak się poczyta, na czym ta solidarność ma polegać, to z grubsza na tym, byśmy posprzatali po błędach Zachodu w kwestii imigracyjnej. Tamtejsze społeczeństwa narozrabiały w tym względzie i chcą się tym dobrem podzielić. I to z tymi, którzy się (jeszcze) nie dali zwieść własnym podniętom humanitarnym, w które udrapował się lewacki globalizm, a którego jednym z narzędzi przemiany świata ma być dekonstrukcja cywilizacji za pomocą tarana migracyjnego. W zachodnich społeczeństwach efekty tego ruchu dają się już tak we znaki, że demos żąda od rządzących, by coś z tym zrobić. A że decyzje migracyjne są słabo odwoływalne, czego doświadczymy za chwilę, to ciężko ten problem rozwiązać. I będziemy mieli jego rozważanie, czyli to, co już tu wjechało na humanistyczną nutę, bez papierów, będzie rozprawiane po Europie. Ciekawe, według jakich kryteriów, czyli komu trafią się inżynierowie

i lekarze, a komu wojowniczy social i gangsterka.

Ale jest nadzieja, pan Donald Tusk powiedział, że to jakoś załatwi i nam nie przyśła, bo my mamy już u siebie ze 2 mln Ukraińców i swojeśmy zrobili. Ale w przyjętych w Unii papierach słowa nie ma o tym, za to w sprawie imigrantów pamiętam rewelację pana Sikorskiego, jeszcze za rządów PiS, jak ten stwierdził, że nie ma się co w tej sprawie szarpać, bo i tak wszystko zostało podpisane i klamka zapadła. Nie dziwota więc, że słowny przecież premier obiecuje, że się ten temat po polsku „załatwi”, bo zbliżają się wybory do Brukseli i cała sprawa może mu obniżyć poparcie. Mus więc obiecać, ale czy dowieźć...

Decyzje imigracyjne mają swoje konsekwencje i są done w zasadzie nieodwoływalne. Widzą to społeczeństwa zachodnie i chcą się tą troską podzielić z nami. Mają już swoje zamknięte dzielnice eksterytorialne, gwałty i napady, rosnące kolejne pokolenia dziedziczących wykluczenie, alternatywne życie w swych państwach. Co będzie z nami, moją Krystyną, która wieczorami samotnie wyprowadza psa? Czy mam się już martwić, zabronić, stróżować? Czy Polska zniknie z map przodownictwa w europejskim bezpieczeństwie publicznym? Dlaczego? To wiemy, bo tak uśmiechnięta sama wybrała. OK. Ale za co? Co zawiniła Krystyna, która już z psem nie wyjdzie? ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Przebudzenie

Mobilizacja środowisk katolickich, która 14 kwietnia wyraziła się imponującą frekwencją na Narodowym Marszu Życia, budzi otuchę w powodzi ponurych zdarzeń. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi (według różnych szacunków nawet 50 tys.) postanowiło poświęcić niedzielę na zmanifestowanie sprzeciwu wobec procedowanych w Sejmie projektów uchylenia prawnej ochrony życia. Tak liczne uczestnictwo wielu stowarzyszeń, ruchów i wspólnot kościelnych nie było wcale oczywiste. Od lat obserwujemy uwiad aktywności chrześcijańskiej opinii publicznej. Uśpienie laikatu, czyli trwała niezdolność do mocnego zabrania głosu w sprawach społecznych, tylko na chwilę zostało przerwane 2 kwietnia 2023 r. – marszem w obronie Jana Pawła II. Marsz papieski był zupełnie oddolną, spontaniczną inicjatywą świeckich, potem dopiero, w wydzwiku medialnym, zawłaszczony został bezczelnie przez TVP i PiS.

Patrząc na doświadczenie z lat 2020–2021, gdy biskupi, a za nim wierni, bez wyrażonego sprzeciwu dali sobie narzucić zamknięcie kościołów, trudno było spodziewać się teraz jakiejś mocniejszej reakcji. Tym bardziej że Tusk i jego akolici szli do wyborów z jasną deklaracją wprowadzenia w Polsce mordu prenatalnego. Stąd wprowadzenie pod obrady Sejmu aborcyjnych projektów zaraz po wyborach

nie mogło być zaskoczeniem. Tym bardziej wydarzenie 14 kwietnia (data opatrnościowo zbiegła się z rocznicą chrztu Polski) można potraktować jako zwiastun zmiany. Obsadzenie aktywistami radykalnej lewicy kluczowych resortów – od edukacji, przez Ministerstwo Sprawiedliwości, do MKiDN i podległych instytutów – a także swoisty „konkurs” czterech aborcyjnych projektów zadziały jak pobudka. Otrzeźwienie chrześcijańskiej opinii i gotowość działania to naturalna reakcja na rewolucyjne przyspieszenie rządu Tuska.

Za wcześniej, by wyrokować, na ile ten zryw okaże się trwały. Pierwsza weryfikacja będzie miała miejsce podczas wyborów 9 czerwca, a następna 16 czerwca. Właśnie w tym terminie odbędzie się kolejny Marsz dla Życia i Rodziny. Nie czekając na te wydarzenia, już teraz można wywierać presję na posłów. Formą nacisku może być inicjatywa „Obrona nienarodzonych” na portalu pch24.pl, polegająca na pisaniu apeli do parlamentarzystów. Można też podpisywać rezolucję Narodowego Marszu Życia, która jest żądaniem natychmiastowego zaniechania wywrotowych działań obecnej władzy i rządowej większości parlamentarnej przeciw przyrodzonemu prawu do życia potwierdzonemu w Konstytucji Rzeczypospolitej. Swoją podpis można złożyć na stronie: narodowymarszzycia.pl. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Piątek zawija strzałki...

Kiedy świat wiedział już, że historii miłosnej pełnej bolesnych meandrów Kazimierza z Marcinkiewiczów z Izabell przebić się nie da, na scenę wkroczył cały na biało Jacek Protasiewicz – też polityk, też w sile kryzysu wieku średniego. Stop. Jacek ów, lat 57, tarł ser i czynił kanapki z ogórkiem dla swej białogłowy Darii, lat 22, donoszącej pilnie o miłości – no, tu można trochę rozszerzyć: w ogóle donoszącej m.in. na studenta Oskara. Stop. Jacek ser trący zaczął ubliżać ludziom skupionym na platformie społecznościowej niepolitycznie. Stop. Podejrzewano, że Jacek znów przedawkował substancję, bo już kiedyś przedawkował, krzycząc na niemieckim lotnisku „Heil Hitler”. Stop. Dziś sytuacja jest następująca: bohater nasz, utraciwszy stanowisko wicewojewody za wpisy, walczył o miłość białogłowy. Stop. Społeczeństwo zakupiło popcorn i śledzi przebieg miłości nieoczywiście. Stop. Młodym życzymy tłustych dzieci.

Tomasz Piątek, brawurowo nazywany przez niektórych dziennikarzem, jest autorem metodologii strzałkowej. Stop. Kiedyś uzależniony od heroiny (napisał o tym książkę), teraz wydaje się uzależniony od strzałek. Stop. Otóż przy pomocy strzałek jest w stanie w zasadzie wykazać powiązania każdego z czym czy z kim tam potrzeba, chociaż on preferuje, że z Rosją i Putinem. Stop. Więc jeśli czytałeś

Dostojewskiego, to musisz wiedzieć, że Dostojewskiego czytano też na Kremlu, mamy cię, ruska onuco, możemy to pokazać na strzałkach. Stop. W podobny sposób Piątek zaatakował Krzysztofa Stanowskiego, zarzucając mu poprzez kretynizm metodologii strzałkowej powiązania z Rosją. Stop. O tym wszystkim poinformowało i napisało Radio Zet, ale na poważnie. Stop. Ktoś jednak w końcu w Radio Zet przeczytał to, co Piątek napisał, i tekst zdjęto, a Stanowskiego przeproszono. Stop. Tymczasem Piątek siedzi i zawija strzałki w sreberka...

Dzieje się coś niepokojącego. Czy aby to nie jaskółki rasizmu? Stop. Nancy Faester, minister niemieckiego MSW z SPD, poinformowała, że aż o 18 proc. wzrósł odsetek obcokrajowców popełniających na terenie Niemiec przestępstwa. Stop. Według niej duża część świeżych przestępców ubiega się o azyl, a przestępczość osiągnęła najwyższy poziom od 2016 r. Stop. Jątrzące informacje... W koalicji rządzącej niespokojnie, mimo że przedstawiciel PSL Marek Sawicki dał minister od spraw równości Katarzynie Kotuli z Lewicy zielone światło. Stop. Otóż pani Kotula chce, żeby Polki mogły się sterylizować, jeśli mają ochotę. Stop. A na to pan Sawicki: „Jeżeli minister Kotula chce, to może się wysterylizować. Nic nie stoi na przeszkodzie”. Niby dobrze, ale niedobrze, skomplikowana sytuacja. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Trema od sukcesów

Zaskakujące słabości zmysłów dają o sobie znać w kierownictwie zwycięskiej po raz dwieście partii PiS. Członkowie kierownictwa tego ugrupowania poza osobą prezesa nie widzieli na wieczorze wyborczym niczego. Więcej zauważyli telewizorzy, odkrywając za plecami Jarosława Kaczyńskiego radosne oblicze Jacka Kurskiego. Indagowany o obecność Kurskiego na scenie były minister rozwoju i technologii Waldemar Buda przyznał, że nawet Kurskiego nie zauważył. Gdy zmysły szwankują, inne funkcje umysłu stają się bardziej wyostrzone. W wypadku ministra Budy wystrzeliła się pamięć. „Widziałem go dwa, trzy lata temu” – wspomniał polityk, rozrzucony jak licealistka nad kolonijnym albumem.

Ofiarą podobnego zaćmienia padł kandydat na prezydenta Warszawy Tobiasz Bocheński. Ten przypominał sobie wprowadzanie byłego prezesa TVP, nie pamiętał jednak niczego więcej. Nie wie też, co Kurski na scenie robił. „Widziałem go pierwszy raz w życiu” – zapewniał od niedawna bawiący w stolicy Bocheński.

Niewiele większą wiedzą wykazał się były minister Mariusz Błaszczak. Nazwał Kurskiego „ekspertem w swojej dziedzinie”, obecność na wieczorze wyborczym wyjaśnił enigmatycznie: „Korzystaliśmy z jego doradztwa”. Pamiętał jedynie, że Jacek

Kurski „nie pojawił się w roli sztabowca”.

W żadnej zupełnie roli nie pojawił się na scenie wieczoru wyborczego premier Mateusz Morawiecki. Indagowany, czy jest to oznaką utraty wpływów, pochwilił się z przyrodzoną skromnością: „Zwykle w takich okolicznościach nie biegnę na scenę. Byłem wśród kierownictwa zwycięskiej partii. Kto tam podbiegł na koniec, tego nawet nie zauważyłem”.

Znawcy partyjnych hierarchii ogromną rolę przypisują kolejności pojawiania się dygnitarzy na scenie, ich odległości od przywódcy, serdeczności uścisków i długości powitań. Jedną z dotkliwych kar jest podobno nieodzywanie się lidera do wypadłych z łask dygnitarzy. Dotknięci taką represją biedacy stoją smutni i bladzi przy samym brzegu ekranów. Na ostatnim wieczorze wyborczym miejsce to zajął pewien przypominający włoskiego komika Totò były minister. Wyglądał, zdaniem świadków, mizernie, ze zgrzyoty nie nałożywszy nawet niezbędnego przed kamerami makijażu.

Bywały lata, gdy karani „cichymi dniami” chórzyści, niemalujący się z rozpacz tancerze i wyskakujący do okłasków za plecami Maestro tenorzy kojarzyli się raczej z mieszczącym się przy ulicy Nowogrodzkiej muzycznym teatrem Roma. Jak twierdzą miłośnicy operetki, stosunki w tym teatrze bardzo się ostatnimi czasy poprawiły. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Chodź, gołąbku, mam pokój

Hej, te kongresy intelektualistów. Hej, ów kongres we Wrocławiu w 1948 r. Picasso gołąbka malował” – ironizował Mrożek w swoim dzienniku. Jednak zwłaszcza ten we Wrocławiu był w istocie zorganizowaną i wyreżyserowaną przez Moskwę, wielką, międzynarodową agitką, sprytnym kamflażem przedstawiającym komunistów jako miłośników pokoju, przykrywką sowieckich zbrojeń i prac nad bombą atomową. Cała prasa wylczyła z zachwytem nazwiska przybyłych gości, choć byli nimi głównie lewicowcy i komuniści, tzw. pożyteczni idioci – m.in. Pablo Picasso, Bertolt Brecht, Louis Aragon, francuscy i włoscy poeci Paul Éluard i Salvatore Quasimodo, Irène Joliot-Curie, a także Sowieci – Ilja Erenburg, Michaił Szołochow – i Polacy Iwaszkiewicz, Broniewski, Kruczkowski, Tuwim, Nałkowska.

Początkowo marionetki Stalina zachowywały się według napisanego przez niego scenariusza, ale już drugiego dnia doszło do skandalu, gdy sowiecki delegat, zagorzały stalinista Aleksander Fadiejew, zaatakował ordynarnie całą dekadentką kulturę Zachodu. „Gdyby szakale i hieny nauczyły się pisać na maszynie, to, co stworzyłyby, przypominałoby dzieła Malraux, Eliota i Sartre’a” – powiedział. Wielu oburzonych zachodnich delegatów demonstracyjnie zdejmowało słuchawki, wyjeżdżało z Wrocławia. Prerażony szef bezpieczeństwa Jakub Berman telefonował do sowieckiego ministra spraw zagranicznych Mołotowa, który zakazał swoim delegatom konfrontacyjnych wystąpień.

Inaugurujący kongres Jarosław Iwaszkiewicz zapewniał gości, że przyjechali do spokojnego, pra-

worządnego kraju, choć likwidowano właśnie ostatnich Żołnierzy Wyklętych, w więzieniach siedziało wielu AK-owców, m.in. Rzepecki, Jasienica, a wrocławski sąd wojskowy skazał na karę śmierci członków WiN, w tym asystenta i studenta Politechniki, w której gmachu odbywały się obrady.

Kongres „zabezpieczył” setki funkcjonariuszy UB. Politechnikę naszpikowano tajniakami, którzy kilkakrotnie legitymowali delegatów. Karty wstępu wręczano im dopiero przy wejściu, żeby nikt ich nie podrobił. Zagraniczni goście mogli wychodzić do miasta wyłącznie z przydzielonymi im „opiekunami”, którzy pisali raporty o ich zachowaniu, komentarzach. Większość przybyszów z krajów egzotycznych – Cejlonu, Brazylii – mówiła znakomicie po rosyjsku. Nie liczonego się z kosztami. Po raz pierwszy w Polsce zastosowano tłumaczenia symultaniczne w pięciu językach. „Uczestnicy Kongresu otoczeni byli przepychem. Podawano nam kolejno: kawior, łososia, zimne mięsa, sałatki, potem zakąski gorące, cynadarki, parówki. Moi angielscy przyjaciele, podjadłszy sobie, oczekiwali deseru. Diabła tam, podano zupę i to nie było jaką, bo chłodnik, potem ryby na gorąco, drób z jarzynami, krem czekoladowy. W kraju tak zniszczonym i biednym jak Polska to ucztowanie było jednym z importowanych rytuałów stalinowskich” – wspominał Antoni Stonimski.

Gwiazdą kongresu został Picasso. Budził sensację, bo jako jedyny gość był w swetrze, a nie w garniturze. Przyleciał do Wrocławia przydzielonym mu specjalnie prywatnym samolotem. Zorganizowano mu wycieczkę po Polsce.

W Krakowie kupił sobie haftowany góralski kożuszek, w Warszawie dostał najlepszy apartament w hotelu Bristol. Gdy zwiedzał Muzeum Narodowe, pozwolono mu palić papierosy.

Podarował Polsce wielki prezent, który jednak zlekceważono i zniszczono, a jego los nadawałby się na scenariusz filmu Stanisława Barei. Podczas zwiedzania ukończonego właśnie robotniczego osiedla na Kole w jednopokojowym mieszkaniu na parterze Picasso narysował węglem wielką na całą ścianę warszawską Syrenkę (ale nie z mieczem, tylko z młotem i ze zbyt dużym cycem – komentowano ze zgorzeleniem). Zamiast od razu urządzić w mieszkanku muzeum Picassa czy choćby świetlicę, przydzielono je kolejarzkiej rodzinie, która miała dość sprzątanego po wycieczkach oglądających Syrenkę i w 1952 r., po pięciu latach gehenny, zwróciła się do Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej z prośbą o jej zamalowanie.

WSM pytała Ministerstwo Kultury, co zrobić z rysunkiem, jednak nie odpowiadało ono na jej pismo. Niejaki towarzyszy Wyrzykowski podjął więc decyzję sam. „Pikacca” zamalowano, a przedtem skuto ścianę. Obraz został tylko na fotografii.

We Wrocławiu, w hotelowej kawiarni, Picasso narysował gołąbka, który został ikoną stalinowskiego ruchu pokoju – trafił na plakaty, ulotki, sztandary. Artysta zarobił na nim miliony dolarów. Oprócz niego na Kongresie zarobiły też panie lekkich obyczajów, które zjechały tu na zarobek z całej Polski i podobno kusiły klientów, mówiąc: „Chodź, gołąbku, mam pokój...”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

W amerykańskich sądach istnieje ława przysięgłych. Obywatele „z ulicy” decydują o winie lub niewinności. Sędzia jedynie wymierza karę i steruje ruchem na sali rozpraw, tak aby proces toczył się zgodnie z regułami. (Sędzia na amerykańskiej sali sądowej ma rolę bardzo podobną do sędziego na meczach piłkarskich).

Ławę przysięgłych się dobiera. Najpierw dobór jest przypadkowy – z ogólnej puli obywateli. Dostają wezwania i przychodzą, bo muszą. Potem część próbuje się wykręcić od tej roboty, gdyż w dużych, czyli długotrwałych, procesach bycie przysięgłym oznacza wyrwanie z życia niekiedy na wiele miesięcy. A ty... właśnie kończysz studia i przepadnie ci semestr... Pewnej grupie ludzi udaje się wymigać. Inni odpadają z powodów formalnych – powiązania rodzinne lub biznesowe z osobą oskarżoną itp.

Potem odbywa się druga eliminacja. Tej dokonują prawnicy obu stron – przesłuchują kandydatów na przysięgłego i eliminują tych, którzy z dowolnego powodu nie będą umieli być bezstronni. Przykład: aktywista organizacji rasistowskiej odpada, gdy podsądnym jest Murzyn.

W najnowszym procesie Donalda Trumpa pojawił się następujący kłopot: rozprawa odbywa się w Nowym Jorku, Nowy Jork to gniazdo demokratów, miasto i stan Nowy Jork są liberalne, a nawet lewicowe czy lewackie. Krótko mówiąc, statystyczny mieszkaniec Nowego Jorku nienawidzi Trumpa. Jak w tej sytuacji dobrać bezstron-



nych sędziów? Niewykonalne. I nie tylko dlatego, że prawie wszyscy obywatele to zwolennicy demokratów, czyli przeciwnicy Trumpa, kłopot polega także na tym, że jeżeli ktoś mieszkający w Nowym Jorku nie jest demokratą, to oznacza, że jest bardzo twardym konserwatystą, który się jakoś uchował w nieprzyjaznym dla konserwatystów środowisku. Taka osoba będzie stronnictwem w drugą stronę – mocno popiera Trumpa, więc musi odpaść.

Znalezienie osób bezstronnych, którzy mają do Donalda Trumpa stosunek obojętny, jest NIEWYKONALNE. Trumpa się kocha lub nie lubi, nienawidzi, zwalcza. Wobec Trumpa nie ma środka, nie ma obojętnych. Nie istnieją osoby, które zapytane o to, jaki mają stosunek do Trumpa, odpowiedzą „nie wiem”. Czyli nie da się dobrać bezstronnej ławy przysięgłych.

I co teraz?

Gdyby to był proces jakiegoś lokalnego polityka, można by przenieść rozprawę do innego miasta lub stanu i tam szukać ludzi, dla których ten polityk nic nie znaczy lub którzy go nie znają. No ale Trumpa zna cały świat, więc przenoszenie procesu nie pomoże.

I co teraz?

Ano trzeba jakoś nagiąć prawo do nietypowego przypadku. Jak? Jeżeli nie daje się zebrać grupy bezstronnej, to trzeba się postarać, aby była stronnictwa, ale najmniej, jak się da. Rozwiązanie naciągane i niesprawiedliwe. Bardziej sprawiedliwe, bo całkowicie bezstronne, byłoby losowanie

winny-niewinny za pomocą rzutu monetą.

W jednym z poprzednich procesów Trumpa na ławie przysięgłych zasiadła lewicowa aktywistka. Chciała tam być, chciała się załapać i dosolić wrogowi. Dlatego w trakcie przesłuchań udawała głupią-naiwną, która nie jest zorientowana w polityce. Gdy ostatecznie szydło wyszło z worka, została zdyskwalifikowana, a jej miejsce zajął ktoś inny.

Przysięgłych powinno być 12, ale na sali widzimy 14. Dwaj są rezerwowi i żaden nie wie, czy to on jest tym rezerwowym. Dowiedzą się tego na samym końcu, gdy grupa udaje się na tajne obrady, gdzie w zamkniętej sali zdecydują o winie lub niewinności podsądnego – wtedy dopiero tych rezerwowych odsyła się do domu. (U zarania tego systemu rezerwiści byli na wypadek śmierci któregoś z przysięgłych w trakcie rozprawy).

W przypadku tamtej aktywistki udającej głupią-naiwną udało się ją podmienić. Ale co robić, gdyby takich było więcej?

Aktywiści antytrumpowskich organizacji nawołują do tego, by za pomocą kłamstw o swojej bezstronności wejść do ławy przysięgłych, a potem zniszczyć Trumpa. Gdyby w trakcie rozprawy okazało się, że stronnictw jest np. czterech, wówczas nie ma ich na kogo wymienić, bo w rezerwie mieliśmy tylko dwóch.

I co wtedy?

Wtedy proces zaczyna się od początku. In ten sposób można

sabotować procesy Trumpa przez wiele lat w kółko. Najpierw wiele miesięcy w sądzie, potem okazuje się, że ława przysięgłych jest stronnictwa, sędzia dyskwalifikuje ławę przysięgłych i zaczynamy od zera. Każdy dzień rozprawy kosztuje Trumpa kupę forsy, musi płacić prawnikom, nie może chodzić do pracy ani uczestniczyć w kampanii wyborczej. Demokraci kalkulują tak: Nie możemy go skazać, bo nie ma dowodów winy, ale... możemy go procesować i procesować, aż w końcu zdechnie od tego, zbankrutuje lub przegra wybory, bo większość kampanii przesiedzi w sądzie.

Każdy sędzia ma wiele możliwości prawnych, by nękać podsądnego i robić to zgodnie z przepisami. Przykład: Donald Trump chciał pojechać z żoną na rozdanie matur – ich syn właśnie zdał. Sędzia odrzucił prośbę – Trump ma siedzieć na rozprawie, mimo że nie będzie przesłuchiwany oraz zatrudnia pełnomocników, którzy go reprezentują i doskonale wiedzą, co robić. Ma siedzieć bezczynnie tylko po to, aby nie mógł w tym czasie być w innych miejscach. To coś w rodzaju aresztu bez aresztu. Po co to komu? Po to, by Trump zamknięty w sali sądowej nie mógł prowadzić kampanii wyborczej.

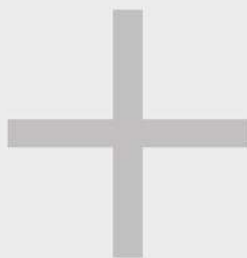
Trump chciał też pojechać do Waszyngtonu na ogłoszenie wyroku w Sądzie Najwyższym USA; bardzo ważna rozprawa przed najważniejszym sądem w Ameryce. W tym przypadku sędzia też się nie zgodził i kazał Trumpowi pozostać w Nowym Jorku. Czyli sędzia najniższej instancji sądowej w USA blokuje obywatelowi możliwość uczestniczenia w rozprawie przed najwyższą instancją w USA. ©

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SZCZYSKI

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI:
„ZAGROŻONE DZIEDZICTWO”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~869~~ ZŁ

404,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl f9ee7e6f8a

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



DRAMAT POLSKICH ZWYCIĘZCÓW

Niemiecka twierdza – Zacięta obrona południa Włoch dawała III Rzeszy nadzieję na wygraną w wojnie

Droga śmierci pod Monte Cassino – Wstrząsające wspomnienia weterana 2. Korpusu Polskiego

Tajemnica ostatniej uczty – Nic nie mogło wskazywać na to, że uroczysta biesiada zakończy się dla Kazimierza Sprawiedliwego tragicznie

Tragedia w Mayerlingu – Dramatyczna śmierć austriackiego następcy tronu i jego kochanki do dzisiaj inspiruje historyków, dziennikarzy, pisarzy i kompozytorów

Eunuch niszczycielem imperium – Przebiegły kastrat Zhao Gao unicestwił cały dorobek pierwszej cesarskiej dynastii Państwa Środka

Konungahela w słowiańskim ogniu – Zablockowany na lądzie Bolesław Krzywousty zorganizował wyprawę morską na największe miasto na Półwyspie Skandynawskim

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**